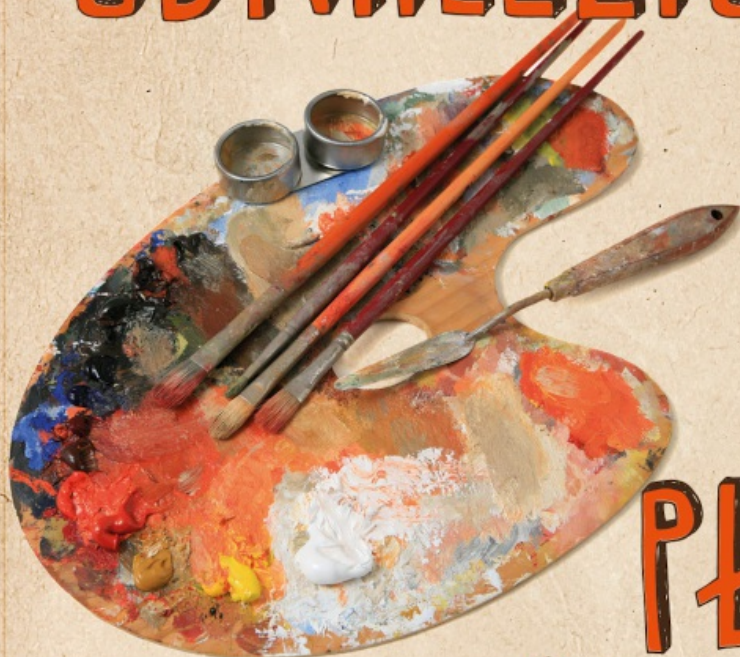


M.L. LONGWORTH

**TAJEMNICA
ODNALEZIONEGO**



**PŁÓTNA
CÉZANNE'A**

Głos Longworth jest jak wykwintny rocznik
musującej Dorothy Sayers i dojrzałej Donny Leon.

— Booklist

M.L. Longworth

Tajemnica odnalezionego
płótna Cézanne'a

Przekład:
Małgorzata Trzebiatowska

smak  słowa
Sopot 2020

Tytuł oryginału: The Mystery of the lost Cézanne
Copyright © Mary Lou Longworth, 2015.
Published by arrangement with Macadamia Literary Agency and Curtis
Brown, Ltd.
All rights reserved. The moral rights of the author have been asserted.
Copyright © 2020 for the Polish edition by Smak Słowa
Copyright © for the Polish translation by Małgorzata Trzebiatowska

Wszystkie prawa zastrzeżone.
Książka ani żadna jej część nie może być publikowana ani powielana w
formie elektronicznej oraz mechanicznej bez zgody wydawcy.

Edytor: Anna Świtajska
Redakcja: Małgorzata Jaworska
Korekta: zespół
Skład: Piotr Geisler
Projekt okładki: Agnieszka Karmolińska
Foto na okładce: ©istockphoto.com/ROMAOSLO

ISBN: 978-83-66420-31-1

Smak Słowa
ul. Bohaterów Monte Cassino 6A
81-805 Sopot
tel. 507-030-045
Zapraszamy do księgarni internetowej wydawnictwa



www.smakslowa.pl



Spis treści

[Strona tytułowa](#)
[Karta redakcyjna](#)
[Dedykacja](#)
[Od autorki](#)

- [1 La Fête des Rois](#)
- [2 Prośba Pierre'a](#)
- [3 Manon](#)
- [4 Opowiadanie, fotografia i malowidło](#)
- [5 Herbata od sąsiadów](#)
- [6 Paul](#)
- [7 Jabłka i gruszki Cézanne'a](#)
- [8 Pomoc doktora Bonneta](#)
- [9 Zadziwić Paryż](#)
- [10 Manon i Cézanne](#)
- [11 La Sale Peinture](#)
- [12 Piwo z inspektorem Schoelcherem](#)
- [13 Zachwył komisarza Paulika](#)
- [14 Trzyosobowa rodzina](#)
- [15 Piękno to niełatwy temat](#)
- [16 Droga do Luberonu](#)
- [17 Le Mas des Lilas](#)
- [18 Przeczucie Edmunda Lydgate'a](#)
- [19 Dedans/dehors](#)
- [20 Jasne chmury Graneta](#)
- [21 Kółko i krzyżyk](#)
- [22 W domu](#)
- [23 Frustracja Flamanta](#)
- [24 Ogród japoński](#)
- [25 Teppanyaki](#)
- [26 Wizyta w studiu Cézanne'a](#)
- [27 Samotne śniadanie](#)
- [28 Portret Manon](#)
- [29 Dwa atrakcyjne mieszkania](#)
- [30 Dalej niż Place des Vosges](#)
- [31 Jamel à la conduite](#)
- [32 Dzienniki Amandine](#)
- [33 Tak czy nie](#)
- [34 Le Fou rozpoznany](#)
- [35 Miłość i strata](#)

36 Grób Cézanne'a



Dla Sophie i Philippe'a

Od autorki

W 1885 roku Paul Cézanne miał romans z „tajemniczą mieszkanką Aix”. To ciekawostka, o której przeczytałam po raz pierwszy w artykule w „New Yorkerze”, a informacja potwierdziła się przy ponownej lekturze książki *Paul Cézanne: Letters*, redagowanej przez Johna Rewalda w 1976. Bliscy przyjaciele Cézanne’a, Émile Zola i Philippe Solari, oczywiście istnieli, ale wszystkie inne postacie w tej książce są wytworem mojej wyobraźni.

La Fête des Rois

Styczeń był jego ulubionym miesiącem. Kochał prowansalskie zimy – były chłodne i suche, często towarzyszyło im jasnoniebieskie niebo. Prastare platany – tak ważne w lecie, dające upragniony cień – teraz, pozbawione swoich grubych liści, wyglądały jak wysokie, guzłowate rzeźby. Ich zimowa nagość pozwalała jednak dostrzec złotawą architekturę miasta: siedemnastowieczne rezydencje, obecnie przekształcone w banki, kancelarie prawników, kawiarnie oraz sklepy amerykańskich sieci, tak typowe dla XXI wieku. Ale nadejście stycznia oznaczało, że minął już komercjalizm i gorączka Bożego Narodzenia, a on wracał do rutyny chodzenia do pracy, spotkań w klubie palaczy cygar i spędzania czasu z Marine. W tym roku będzie lepszym szefem, lepszym przyjacielem, lepszym kochankiem. A przynajmniej się postara. „To jak kliknięcie przycisku «odśwież» na komputerze” – pomyślał.

Antoine Verlaque zatrzymał się na środku Cours, oparł się o jedno z drzew, o mieniącym się szarościami i bladymi zieleniami pniu – i ponownie zapalił cygaro. Powoli zaciągał się swoim partagasem, a kiedy palił, przyglądał się innym mieszkańcom miasta, przechodzącym aleją. Trzy nastoletnie dziewczęta – z identycznymi fryzurami i ogromnymi, drogimi skórzanymi torbami – szły obok siebie i mówiły tak szybko, że niemal niczego nie udało mu się podsłuchać. Było w tym trio coś, co przypomniało mu o jego młodości spędzonej w Paryżu. Być może to ich widoczne bogactwo – którym zawsze się afiszowano w Aix i w niektórych dzielnicach Paryża – albo też wzajemna bliskość podlotków, ich pewność siebie. Miał koleżanki takie jak te dziewczęta, ale ich twarze zatarły mu się w pamięci. Pozostały imiona – imiona, które świadczyły o dobrym guście, wykształceniu, czy też katolicyzmie ich rodziców: Victoire, Mazarine, Josephine, Marie-Clothilde.

W przeciwnym kierunku szła starsza kobieta. Wydawało się, że ma na sobie szlafrok i kapcie. Serce Verlaque’a ścisnęło się ze smutku, ale kiedy się zbliżył, z ulgą stwierdził, że jest ubrana w zimowy płaszcz, chociaż cienki i zużyty. Na nogach jednak rzeczywiście miała kapcie.

Zatrzymała się, by odpocząć, i opierając się na swojej lasce, popatrzyła w górę na sędziego i uśmiechnęła się.

– *Bonne journée, monsieur* – powiedziała wolno i starannie.

– *Bonne journée, madame* – odparł Verlaque, uśmiechając się i kłaniając

z szacunkiem.

Kobieta westchnęła głęboko i podniosła wzrok ku niebu.

– Niebieskie i czyste – odezwała się.

– W całej Francji tylko my mamy niebieskie niebo – odparł sędzia. –

Patrzyłem rano na prognozę pogody. – Powstrzymał się przed powiedzeniem „na moim komputerze”. Wyobraził sobie stary pudełkowy telewizor w rogu mieszkania tej kobiety, z pokojową anteną.

– Och – westchnęła szcękając zębami. Chwyciła mocniej laskę, przygotowując się do dalszej drogi. – I Boże Narodzenie nareszcie się skończyło.

Verlaque głośno się roześmiał.

– Na szczęście.

Zamiast powiedzieć „do widzenia”, skinęła głową i odeszła. Sędzia odwrócił się, by za nią popatrzeć, i zaczął się zastanawiać, gdzie też ona mieszka. Czy w małej, zapuszczonej kawalerce? A może jest ekscentryczną arystokratką utrzymującą zbyt wiele kotów w wielkim burżuazyjnym hotel particulier? Jedno wiedział na pewno – ta kobieta mieszka sama. Jego rodzice mieli przynajmniej siebie nawzajem – chociaż nieczęsto ze sobą rozmawiali – i służbę, która o nich dbała.

Szedł dalej, kierując się na północ, na brukowaną część Cours, do swojej ulubionej *pâtisserie*. Zauważył parę idącą w jego stronę i starał się nie zmarszczyć brwi. Byli takimi mieszkańcami Aix, jakich nie znosił: ona zbyt chuda, za bardzo wymalowana i obnosząca z dumą tę samą fryzurę i taką samą torbę, jak napotkane wcześniej nastolatki. Szła na niemożliwie wysokich obcasach i pchała przed sobą wózek dziecięcy, prawie tak duży, jak jego porsche z 1961 roku. Verlaque nie mógł sobie wyobrazić, w jaki sposób kontaktowała się z niemowlęciem w środku, najwyraźniej zaliczało się ono do innych jej akcesoriów. Nagle uświadomił sobie, że chyba jest niesprawiedliwy. „Staraj się być lepszym człowiekiem, Antoine”.

Zazwyczaj patrzył ludziom w oczy, by uchwycić coś z ich charakteru, ale zarówno kobieta, jak i mężczyzna mieli na twarzy olbrzymie okulary przeciwsłoneczne, z rodzaju tych, w których wygląda się jak mucha. Dolce & Gabbana. Włosy obojga były tak samo ufarbowane w pasemka (chyba że fryzura w dwunastu odcieniach blond i rudego mogła być naturalna). Mężczyzna miał na sobie skórzaną kurtkę motocyklową pokrytą nazwami marek i różnymi symbolami. Verlaque starał się stłumić poirytowanie tym, że ci dwoje wyraźnie pozowali. Wiedział, że Marine prawie nie zauważała ludzi wokół siebie. Zaciągnął się resztką swojego cygara i przysiągł sobie, że będzie częściej oddawał się własnym myślom, tak jak robiła to jego dziewczyna.

– Kolejne cholerne postanowienie – mruknął pod nosem. I wtedy zobaczył kolejkę: – Co u...?

Złożony z co najmniej dwudziestu osób ogonek wylewał się z Michauda

na chodnik. Verlaque wyjął swój telefon komórkowy i sprawdził datę.

– *Merde!* – W tym momencie telefon zadzwonił i sędzia odebrał, prawie krzyżąc: – *Oui!*

– Dzień dobry, *sir*. Nie przeszkadzam?

– Nie, nie – odparł. – Przepraszam, Bruno. Stoję na Cours, głodny, przed Michaudem, i zapomniałem, że jest szósty stycznia.

Komisarz z Aix roześmiał się i zakasłał.

– Przepraszam, *sir*. Czy ci ludzie czekają, by kupić *galettes des rois*?

– Oczywiście, że tak! – potwierdził Verlaque, ustawiając się za innymi. – Naprawdę tak je lubią?

Bruno Paulik znowu zakasłał.

– No cóż – powiedział. – Najwyraźniej.

– Chcę tylko kupić brioszkę, nie miałem czasu na śniadanie – wyjaśnił sędzia. – Tak szybko nie wrócę.

– *Sir* – zaczął Paulik – skoro i tak stoi już pan w kolejce...

– Też chcesz brioszkę? Nie ma problemu.

– Nie – odparł Paulik, – obiecałem Hélène i Léi, że kupię im *galette* na wieczór.

– *Oh, mon Dieu.*

– Wystarczy średniej wielkości – dodał Paulik, ignorując komentarz swego szefa. – I proszę nie zapomnieć o papierowej koronie – mówił dalej. – Léa wpadnie w furję, jeśli jej zabraknie.

– Wiem o koronie, Bruno – odpowiedział sędzia, posuwając się o pół kroku w kierunku drzwi sklepu. Wszedł na pierwszy stopień prowadzący do środka i zgasił cygaro na parapecie, mając zamiar zabrać niedopałek po wyjściu. Zapach masła i ciepłego cukru sprawił, że zaburczało mu w brzuchu. – Nie pamiętam, kiedy ostatni raz jadłem *galette des rois*. Nigdy nie przepadałem za masą migdałową...

– Tak naprawdę – kontynuował Paulik, jakby nie usłyszał z tego ani słowa – dziś po południu obchodzimy *Fête des Rois* w Pałacu Sprawiedliwości. Zapomniałem panu powiedzieć.

Verlaque odsunął telefon od ucha i spojrzał na niego, zdumiony entuzjazmem swojego komisarza, zawodnika drużyny rugby.

Paulik mówił dalej:

– Léa zapytała dziś rano, czy nie wybrały się pan do nas wieczorem razem z Marine, żeby uczcić ten dzień.

Sędzia uśmiechnął się, wzruszony szczerym zaproszeniem dziewczynki. Ale na myśl o zjedzeniu ciasta z masą migdałową dwukrotnie w ciągu jednego dnia wszystko przewróciło mu się w żołądku.

– Chętnie przyjdziemy – odparł, widząc przed oczyma wyobraźni jasną twarz dziesięciolatki. – Dziś mam spotkanie klubu palaczy cygar, ale mogę się spóźnić.

– Świetnie. Jak było w sądzie dzisiaj rano?

– Nasze wysiłki nie poszły na marne, Bruno – odpowiedział Verlaque. – Kévin Malongo pozostanie za kratami przez następnych dwadzieścia lat.

– Doskonale. Do zobaczenia wkrótce.

Sędzia wreszcie znalazł się w środku sklepu Michauda. Półki ze stali nierdzewnej zostały wyciągnięte z zaplecza, każdą z nich wypełniały puszyste *galettes*. Klienci w kolejce wychylali się, by zobaczyć ciasta, i już wybierali swoje ulubione. Verlaque skrzywił się, dla niego wszystkie wyglądały tak samo. Inni klienci, w kolejce przed nim, wskazywali na wybrane *galettes*, a ubrane w czarno-białe fartuchy sprzedawczynie delikatnie podnosiły ciasto i umieszczały je w błyszczących czerwonych pudełkach. Ceny, jakie Verlaque słyszał z nad kasy, zdumiewały go. Trzydzieści euro? W cieście ukryte było ziarno fasoli, a nie jakiś cholerny diament. A dlaczego w Pałacu Sprawiedliwości miało się dzisiaj odbyć przyjęcie? Próbował sobie wyobrazić grupę policjantów zgromadzonych wokół *galette* i najmłodszego spośród nich, Julesa, siedzącego po turecku pod biurkiem i wywołującego imiona. Sędzia westchnął – czasem uwielbiał tradycje swojego kraju, ale czasem...

– *Monsieur le juge?* – zapytała ekspedientka.

Verlaque rozpoznał ją – pracowała u Michauda, odkąd tylko pamiętał. Najwyraźniej też go znała.

– *Un galette des rois, s'il vous plait, et deux brioches* – odparł.

– Które? – chciała wiedzieć.

Sędzia spojrzał na ciasta. Te niżej wyglądały na zbyt małe, wyeliminował też krążki, które wyglądały na krzywe i niedoskonałe. Sprzedawczyni przeniosła ciężar ciała z nogi na nogę i wskazała na górną półkę. Jeżeli ma być ich pięćdziesiąt tego wieczoru, to Léa będzie chciała duże ciasto.

– Proszę nie zapomnieć o koronie – zawołał.

*

Natalie Chazeau patrzyła na Antoine'a Verlaque'a przez okno. L'Agence de la Ville była najbardziej luksusowym biurem nieruchomości w Aix-en-Provence, przynajmniej do tego lata, kiedy firma John Taylor Realtors otworzyła filię po przeciwnej stronie ulicy. Mme Chazeau, atrakcyjna, wysoka kobieta po siedemdziesiątce, była właścicielką biura. Stworzyła je z niczego wraz ze swoim mężem, który przed dwudziestoma laty zmarł na zawał serca. Kiedy kupili biuro w prestiżowej lokalizacji na Cours Mirabeau, byli młodymi nowożeńcami i przez lata żyli skromnie, żeby spłacić kredyt. Teraz biuro było warte majątek.

Mme Chazeau wieszala nowe kolorowe fotografie dwóch nieruchomości na sprzedaż – jedna tuż za Aix, a druga w Luberonie – w dużej witrynie, obok której mieszkańcy Aix mogli spacerować, patrzeć na zdjęcia, zatrzymać się i marzyć. Ludzie, którzy kupowali nieruchomości przez

L'Agence de la Ville, rzadko jednak robili to po zobaczeniu fotografii w oknie. Częściej zatrudniali agenta, który szukał dla nich doskonałego (często drugiego lub trzeciego) domu. Mimo to agencja była znana ze swojej wystawy okiennej, podobnie jak Pâtisserie Michaud po przeciwnej stronie ulicy, gdzie z niecierpliwością stał teraz w kolejce Verlaque.

Mme Chazeau przypięła ostatnią fotografię i spojrzała na sędziego, który z pochyloną głową rozmawiał teraz przez telefon, próbując zaciągać się cygarem. Kolejka powoli posuwała się do przodu. Verlaque przypominał jej jedyne go syna, Christophe'a, który był przyjacielem sędziego i jego kompanem od palenia cygar. Ostatnio przeprowadził się do Paryża, by otworzyć własną agencję. Gdyby była młodsza, zrobiłaby wszystko, by znaleźć się w ramionach Antoine'a Verlaque'a. Ale te dni już dla niej minęły i wiedziała, że sędzia postrzega ją tak jak inni – jako wyjątkową, ciężko pracującą kobietę, która z pewnością farbuje swoje gęste czarne włosy (choć nie musiała tego robić). Spojrzała na szerokie ramiona Verlaque'a, ubranego w czarny płaszcz, według niej kaszmirowy, i sięgnęła do ucha, by przekręcić jeden z diamentowych kolczyków – prezent od Christophe'a.

Kiedy zadzwonił służbowy telefon, odebrała go, a do czasu, gdy zapadł zmrok, tuż przed osiemnastą, odpowiedziała na ponad piętnaście telefonów. Wychodząc z biura, powiedziała Julie, sekretarce, że ta może już skończyć pracę i że sama zamknie biuro po wieczornych spotkaniach. Podziękowała Julie za jej wysiłki, poprawiła cienki wełniany szal otulający szyję dziewczyny i przystanęła, wyglądając przez szklane drzwi na kolejkę po drugiej stronie ulicy. Sędziego już nie było, nie widziała, ile ciasta kupił. Chciałaby pójść do domu, włożyć kapcie, zadzwonić do przyrodniego brata, Franza, i opowiedzieć mu o słynnych galettes des rois Michauda. Ale dzisiaj musiała pracować, miała przed sobą spotkanie wspólnoty w czteropiętrowym budynku przy 23 rue Boulegnon. Kiedyś łatwiej było o transakcje i wtedy odmawiała pracy jako *syndic*. Mniejsi, mniej znani agenci nieruchomości brali na siebie uciążliwe codzienne problemy zarządzania małymi budynkami mieszkalnymi. Szczególnie tymi zbudowanymi w starym Aix ponad pięćset lat temu. Ale ponieważ znalezienie klientów – z Francji albo z zagranicy – którzy kupowaliby nieruchomości o wartości przekraczającej dwa miliony euro, stawało się coraz trudniejsze, zgodziła się reprezentować właścicieli budynku przy 23 rue Boulegnon, choćby dla prestiżu. Był to piękny, dobrze utrzymany budynek, w którym przed śmiercią mieszkał Paul Cézanne.

Z zamyślenia wyrwało ją łomotanie do drzwi. Za szybą zobaczyła René Rouqueta. Zaskoczona, otworzyła.

– M. Rouquet – powiedziała – powinien pan wejść z podniesioną głową. Witam. Jest pan pierwszy.

Rouquet wymamrotał powitanie, wszedł, nadal zgarbiony, i stanął tyłem

do marmurowego biurka Julie, bawiąc się swoim wełnianym kapeluszem. Mme Chazeau uśmiechnęła się, gdy gderliwy emerytowany listonosz przypomniał sobie o manierach i zdjął nakrycie głowy. Odwróciła się, gdy mały dzwonek przy drzwiach odezwał się ponownie. Jak się wydawało, pozostali właściciele przyszedli wszyscy w tym samym czasie. Pierre Millot, który przybył z nowymi właścicielami swojego mieszkania na najwyższym piętrze – młodą parą, której Mme Chazeau dotąd nie spotkała – doktor Pitavy, podolog posiadający dwupokojową przychodnię na parterze, na lewo od wejścia do budynku, oraz Philomène Joubert, właścicielka dwóch wynajmowanych mieszkań na pierwszym piętrze, nad przychodnią doktora Pitavy.

– Czy widziała dziś pani kolejkę do Michauda? – zapytała Mme Jourbert wchodząc i chuchając na dłonie. Żałowała, że wyszła z domu przy rue Cardinale bez rękawiczek.

– Kupiłem *galette* dziś rano – odezwał się doktor Pitavy, uśmiechając się z wyższością.

– Ja swoje zrobiłam sama – odparła Philomène Joubert, piorunując wzrokiem doktora. „Co za pretensjonalny nudziarz” – pomyślała.

Pierre Millot zwrócił się do pary młodych ludzi, którzy właśnie przeprowadzili się do Aix, i wyjaśnił:

– Michaud to instytucja – powiedział – nawet Cézanne kupował tam ciasto.

– Chodźmy na górę, do sali konferencyjnej – odezwała się Mme Chazeau. Przekręciła zamek w drzwiach i pozostawiła w nim pęk kluczy.

– *Et le Belge?* – zapytał René Rouquet, kiedy wchodzili na schody.

– M. Staelens – odpowiedziała wolno Mme Chazeau – dzwonił do mnie dziś po południu. Jest w domu, w Brukseli, i przesyła pozdrowienia.

Kiedy wszyscy usiedli, Mme Chazeau z przyzwyczajenia zamknęła drzwi sali konferencyjnej. Podeszła do szczytu stołu i otworzyła czerwoną teczkę.

– Pierre, może przedstawiś nam nowych właścicieli swojego dawnego mieszkania – poprosiła. Nie dodała, że jej zdaniem, obecność Pierre’a Millota dziś wieczorem była co najmniej dziwna, skoro nie był już właścicielem mieszkania pod numerem 23. Ale widywała to już wcześniej – niektórym ludziom trudno było się pogodzić ze stratą, nawet kiedy wszystkie dokumenty zostały podpisane. Przed laty jedna ze sprzedających odczuwała taki żal, że każdego wieczoru podjeżdżała pod swój dawny dom, parkowała na ulicy i patrzyła na teren, o który dbała przez poprzednich trzydzieści lat. Kiedy zaczęła wałęsać się po podwórku, właściciel musiał się postarać o nakaz sądowy.

Pierre wyprostował się i zaczął:

– Chciałbym przedstawić Erica i Françoise Legendre, którzy przed sześcioma dniami wprowadzili się do mojego mieszkania. Wracają do Francji po ponad dziesięciu latach w Nowym Jorku.

– Nowy Jork? – zainteresowała się Mme Chazeau. – Jak tam było?

– Drogo – beznamiętnie odpowiedział Eric Legendre.

– Tak słyszałam – odparła Mme Chazeau. – Witam w Aix. Jeżeli mają państwo pytania dotyczące naszego miasta, chętnie odpowiem.

– Dziękujemy – odezwała się cicho Françoise Legendre, patrząc na męża z uśmiechem.

Mme Chazeau sięgnęła po długopis. Tego wieczoru będzie także sekretarką.

– Na pierwszym miejscu w porządku obrad znalazło się sprzątanie holu wejściowego i schodów. Cena poszła do góry o piętnaście euro. Czy wszyscy to akceptują?

– A jaki mamy wybór? – zapytał doktor Pitavy.

– Mogą państwo zmienić firmę sprzątającą – odparła Mme Chazeau. – A to oznacza przeprowadzanie z nimi rozmów. Już zbadałam sprawę. Ta, z której usług korzystamy, wciąż jest najtańsza, mimo że podniosła opłaty.

– W takim razie ja się zgadzam – odezwała się Mme Joubert, podnosząc rękę.

– Podobnie jak M. Staelens – dodała Mme Chazeau. – Omówiliśmy plan dzisiejszego spotkania przez telefon. – Spojrzała na Legendere'ów i wyjaśniła: – Jan Staelens jest właścicielem dużego mieszkania na trzecim piętrze. Korzysta z niego w wakacje. Co państwo sądzą o opłatach za sprzątanie?

Eric Legendre zerknął na żonę i wzruszył ramionami.

– Myślę, że się zgadzamy.

– Ja też – westchnął doktor Pitavy.

– M. Rouquet? – zapytała Mme Chazeau.

René Rouquet podniósł wzrok. Wcześniej obracał kapelusz w rękach i myślał o czymś innym. O czymś ważniejszym.

– Głosowaliśmy nad podniesieniem opłat za utrzymanie części wspólnej budynku – przypomniała mu gospodyni. – Wszyscy je zaakceptowali.

– Dobrze – powiedział Rouquet.

Mme Chazeau zastukała długopisem w stół.

– Zgadzam się – dodał listonosz.

Mme Chazeau podziękowała mu, robiąc notatki. Spodziewała się większego oporu ze strony René Rouqueta, który był znany ze skąpstwa. Zazwyczaj słuchał bardziej uważnie.

– Drugi punkt naszych dzisiejszych obrad... – zaczęła.

– Tajemniczy magazyn – wtrącił się doktor Pitavy.

– Tak.

– Chcę płacić czynsz za jego wynajem – mówił dalej doktor. – Znajduje się naprzeciw mojego gabinetu. Mam sprzęt, który muszę gdzieś trzymać, i dokumenty, które według urzędu skarbowego oraz izby lekarskiej powinienem przechowywać przez dziesięć lat. Jeśli nie znajdę miejsca na

te rzeczy, to będę musiał przenieść gabinet gdzie indziej. A jak państwo wiedzą, dużo milej jest mieć na parterze spokojny gabinet podologiczny niż dentystę i odgłosy borowania albo – Boże uchroni – sklep z przekąskami i zapach smażonego mięsa...

– Kto teraz korzysta z *débarras*? – chciała wiedzieć Philomène Joubert. – Jedna z moich studentek, ta, która wynajmuje mniejsze mieszkanie, pytała, czy może tam wstawić rower.

Mme Joubert z radością wynajmowała swoje dwa mieszkania przy rue Boulegon studentkom – nigdy studentom – i traktowała je jak rodzinę (zwłaszcza te, które chodziły do kościoła). Już nie musiała ogłaszać swych mieszkań do wynajęcia na uniwersytecie, wieść niosła się do przyjaciółek, sióstr, kuzynek pocztą pantoflową.

– Sklep odzieżowy przy ulicy Boulegon dwadzieścia jeden – odparł doktor Pitavy.

Mme Chazeau westchnęła i odłożyła długopis. Wydawało się, że podolog przejął kontrolę nad spotkaniem.

– Wykorzystują to pomieszczenie jako dodatkową przestrzeń magazynową – mówił dalej doktor Pitavy. – I nie ujawniają, od kogo je wynajmują!

– M. Rouquet – powiedziała delikatnie Mme Chazeau, patrząc na René – ponieważ temat magazynu na parterze nigdy dotąd nie pojawił się jako problem, dopiero dzisiaj spojrzałam na akt notarialny i odkryłam, że pomieszczenie należy do pana. Czy chciałby pan je wynająć doktorowi Pitavy?

René Rouquet spojrział na nią zaskoczony, a potem rzucił gniewne spojrzenie Pierre'owi. Chwycił swój płaszcz i wstał, przewracając krzesło i mrużąc coś przy otwieraniu drzwi. Eric i Françoise Legendre ze zdumieniem spojrzeli na Mme Chazeau. Philomène Joubert wyjęła druty i włóczkę i zaczęła robić na drutach.

– Proszę, niech pan nie wychodzi, panie René – zawołała Mme Chazeau za byłym listonoszem.

– Porozmawiam z nim – zaofiarował się Pierre Millot, wstał i szybko włożył płaszcz. – René po prostu...

– Panie René – powtórzyła Mme Chazeau, kiedy usłyszała, jak otwierają się i zamykają drzwi wejściowe, poruszając przy tym zainstalowany przy nich dzwoneczek. Wstała i podeszła do dużego okna z widokiem na Cours Mirabeau. U Michauda nadal była kolejka, a René i Pierre zatrzymali się na środku chodnika. René gwałtownie gestykulował, a Pierre położył dłoń na jego ramieniu – tylko po to, by starszy mężczyzna ją strząsnął.

– Na czym stanęliśmy? – zapytała, odwracając się do mniejszej teraz grupy.

2

Prośba Pierre'a

– Wyglądasz głupio, kiedy prowadzisz porsche z koroną na głowie – stwierdziła Marine, zerkając na swego chłopaka.

– Naprawdę? – zapytał Verlaque, udając zaskoczenie. – Chcesz powiedzieć, że gdybym jechał innym samochodem, powiedzmy, nowszym modelem peugeota albo zniszczoną furgonetką, wyglądałbym lepiej w koronie?

Marine głośno się roześmiała.

– Dobrze się bawiłeś, prawda?

– Zawsze się dobrze bawię z Paulikami – odparł Verlaque. – I tak jak nie lubię ciasta, tak cieszę mnie, kiedy najmłodsza osoba w pokoju siedzi pod stołem i wywołuje imiona. U nas zawsze robił to Sébastien.

– A u nas ja – powiedziała Marine. Marine Bonnet, profesor prawa, była jedynaczką, urodzoną w rodzinie lekarza rodzinnego i jego żony, pani teolog. Po chwili dodała: – Léa była wniebowzięta, że dostałaś kawałek z fasolką.

– Moja wierna służka.

– Myślę, że najbardziej cieszyła się z tego, jak wyglądasz w koronie.

– Za tę uwagę zostaniesz osadzona w więzy.

Marine się uśmiechnęła i wyjrzała przez okno samochodu. Chociaż było ciemno, oboje woleli wybrać wąską, krętą Route de Cézanne, a nie prostszą Route de Nationale. Reflektory porsche oświetlały liście drzew oliwnych. Kiedy jechała tą drogą, za każdym razem myślała o sławnym synu Aix, Paulu Cézannie, i o tym, jak chodził tędy codziennie ze sztalugą przypasaną do pleców. Ta droga przyniosła mu śmierć, gdy napotkał gwałtowną burzę i nabawił się zapalenia płuc. Zmarł kilka dni później.

– To niesamowite, kiedy Léa dla nas śpiewa, prawda? – zapytał Verlaque z uśmiechem.

– Tak – odparła Marine i zmarszczyła brwi. – Martwię się jednak ilością czasu, jaki szkoła muzyczna zabiera młodej osobie.

– Widziałaś jej twarz?

– Tak – odparła Marine powoli. – Oczywiście, że była szczęśliwa, kiedy śpiewała. Miała oddaną publiczność.

– Więc uważasz, że jej szczęście nie było prawdziwe? – zapytał Verlaque, patrząc na Marine.

– Jest taką dziewczynką, która zrobi wszystko, żeby zadowolić rodziców.

Verlaque wrzucił pierwszy bieg i obrócił porsche o sto osiemdziesiąt stopni.

– Skąd wiesz?

Marine próbowała się uśmiechnąć.

– Ponieważ sama byłam taką dziewczynką.

– A spójrz na siebie teraz.

– No właśnie. Uważaj, przed nami jest śpiący policjant.

Verlaque zwolnił, żeby ostrożnie przejechać przez próg zwalniający.

– Dziękuję – powiedział.

Był szczęśliwy, gdy słuchał, jak Léa śpiewa, a teraz zasmuciły go słowa Marine, które rzuciły cień na ich wieczór. Wjechali na przedmieścia Aix, gaje oliwne ustępowały małym domkom i niskim apartamentowcom. Była to spokojna dzielnica miasta, La Torse, prawie tak kosztowna, jak Route de Cézanne. Za każdym razem, kiedy spotykał ludzi z tej okolicy, chwalił się, że mają trzy minuty do centrum piechotą, trzy minuty jazdy do autostrady, poza tym mogli parkować bezpośrednio przed domem. Nie znosił La Torse.

– A wracając do Léi – odezwał się. – Nie sądzisz, że Bruno i Hélène przestaliby ją posyłać na lekcje muzyki, gdyby widzieli, że cierpi?

Marine przygryzła dolną wargę.

– Nie znam ich na tyle dobrze, by odpowiedzieć.

– Ale twierdzisz, że znasz ich córkę.

– Och, zapomnij już o tym, Antoine.

– Co cię gryzie? Dlaczego jesteś w tak ponurym nastroju? Ostatnio dziwnie się zachowujesz.

– Nie, wszystko dobrze.

Sędzia skręcił w prawo, w *le périph* – drogę okalającą stare miasto w Aix – a potem szybko skierował się w lewo, w wąską i stromą rue Emeric David, która kończyła się prawie ślepo białym klasycystycznym Pałacem Sprawiedliwości.

– Nie brzmi to przekonująco – stwierdził, patrząc na nią ponownie.

– Nie lubię się skarżyć – odparła. – Wiem, że powinnam być szczęśliwa: mam dobrą pracę naukową, którą lubię i która jest dla mnie wyzwaniem – no może poza licznymi bezcelowymi spotkaniami. Oboje rodzice żyją i są w dobrym zdrowiu. Kupiłam mieszkanie, zanim nowa stacja TGV przywiodła do Aix całe pociągi paryżan, którzy zalali nasz rynek nieruchomości. I – dodała, wyciągając rękę i gładząc Verlaque'a po ramieniu – kocham cudownego mężczyznę. Ale dzisiaj mam chandrę i sama nie wiem dlaczego. Trochę mi wstyd...

– Jesteś na mnie zła?

Marine westchnęła.

– Daj spokój, Antoine. – Prawie dodała: „Nie wszystko kręci się wokół ciebie”, ale zachowała tę myśl dla siebie. Antoine oczekiwał wyjaśnień –

słów i odpowiedzi. Ale choć na uczelni Marine przez cały dzień posługiwała się słowami i argumentami, dziś nie potrafiła opisać swoich uczuć. Umiała jedynie opisać to, co widziała: Paulików w ich trzystuletnim wiejskim domu, którzy śmiali się z przeciekającego dachu w jadalni, śpiewającą Léę, której oczy rozbłyskiwały za każdym razem, gdy patrzyła na Antoine'a. A on, mimo że był jednym z najbardziej kapryśnych ludzi, jakich kiedykolwiek spotkała, śmiał się beztrudnie. Nie mogła tego pojąć, a nie znosiła ulegać emocjom z powodu czegoś, czego nie rozumiała. Podśluchała Antoine'a, jak myjąc z Hélène kieliszki do wina, opowiadał jej o swoich mieszkających w Paryżu rodzicach.

– Myślę, że spotykają się raz na tydzień w korytarzu – powiedział.

Ale opisał to tak lekko – naśladując wiecznie niezadowoloną minę matki – że Hélène się roześmiała. A Marine zdradził imiona swoich rodziców po roku spotykania się.

– Miasto jest piękniejsze w nocy – odezwała się, patrząc przez okno od strony pasażera. – Przynajmniej w zimie. Budynki są nie tylko złote, są błyszczące.

– Ojej – skomentował Verlaque. – Jak zrećcznie zmieniłaś temat. – Zwolnił, by przejechać przez kolejnego śpiącego policjanta na rue d'Italie. – Jesteśmy prawie pod twoim domem, ale nie wysiądziesz, dopóki nie powiesz mi, co jest nie tak. – Skręcił w prawo w rue Fernand Dol i zatrzymał się przed zielonymi drzwiami domu Marine.

– Proszę, nie mów mi, co mam robić, Antoine.

– Co? – zapytał, włączając światła awaryjne. W tym momencie zatrzymał się za nim volkswagen polo, który głośno trąbił. Z jego wnętrza dochodziła łomocząca muzyka. Verlaque skrzywił się i powiedział: – Marine, staram się zrozumieć, jak rozmowa o małej, szczęśliwej dziewczynce doprowadziła do tego, że przyznałaś, iż nie jesteś szczęśliwa.

Kierowca polo znów nacisnął klakson. Marine otworzyła drzwi po swojej stronie i cicho wyszła. Sędzia wyszedł z samochodu i podbiegł do niej.

– Jest późno, Antoine – powiedziała Marine, szukając kluczy na dnies torebki. – Porozmawiamy o tym jutro.

– O czym? – zapytał. – Co się stało?

Polo znowu zatrąbił, a Verlaque zaklął i podszedł do niego, pokazując kierowcy, by otworzył okno.

– Wytrzymaj dwie sekundy – zwrócił się do kierowcy, młodego mężczyzny z kolczykami z diamentów i tatuażami na szyi.

Kierowca spojrział w górę na Verlaque'a i zaśmiał się.

– Dziś rano poświęciłem dwie godziny na to, by wsadzić za kratki kogoś takiego, kto wygląda jak ty. Na dwadzieścia lat.

Kierowca polo wzruszył ramionami, nadal z uśmiechem, a Verlaque usłyszał trzaśnięcie drzwiami. Odwrócił się i zobaczył, że Marine zniknęła.

– *Putain de merde!* – krzyknął, opierając się pokusie uderzenia pięścią

w dach volkswagena. Podszedł z powrotem do swego samochodu i wsiadł, wrzucił jedynkę, po czym wolno odjechał.

Spotkanie klubu palaczy cygar odbywało się w mieszkaniu Jean-Marca i Pierre'a, niedaleko – przy rue Papassaudi. Nie miało sensu wracać do Marine. Będzie spał dzisiaj u siebie, po drugiej stronie miasta, a jutro, kiedy przeanalizuje każdy szczegół dzisiejszego wieczoru, postara się zrozumieć, co było nie tak. Czy powiedział coś do Paulików, co mogło rozniewać Marine? Czy zbyt dużo uwagi poświęcał Léi? To prawda, uwielbiał hymny Faurégo, a Léa pięknie je śpiewała. Marine lubiła jazz, szczególnie brazylijski, i dlatego nie brała udziału w ich rozmowach o muzyce klasycznej. Czy poczuła się wyobcowana? Verlaque zdał sobie sprawę z tego, że dużo rozmawiał z Hélène, która, jako producentka win, zajmowała się czymś, co zawsze w skrytości ducha uznawał za swoją profesję. Być może praca w winnicy byłaby łatwiejszym *métier* i prawdopodobnie bardziej satysfakcjonującym niż ściganie wszystkich Kévinów Malonosów z Aix. Spojrzał na lusterko wsteczne i zobaczył, że polo za nim już zniknęło.

Zwolnił, już z daleka szukając wolnego miejsca, nie miał czasu, by udać się na drugą stronę starego miasta, gdzie, w przeciwieństwie do mieszkańców La Torse, wynajmował parking. Powoli podjechał do jednego z nielicznych pustych miejsc, lecz akurat wtedy, kiedy miał zasygnalizować, że tam wjeżdża, z naprzeciwka nadjechało mini. Nacisnął hamulec i zaklął. Mini – samochód, którego wyjątkowo nie znosił, a ten miał czerwone i białe pasy wyścigowe na bokach – szybko wjechało na miejsce parkingowe.

– *Son of a...* – wykrzyknął po angielsku. Odwrócił się, by nawiązać kontakt wzrokowy z kierowcą, ale nie mógł jej czy jego dostrzec. Ruszył dalej, minął Collège Mignet, liceum Cézanne'a i Zoli w czasach, gdy wciąż byli przyjaciółmi i marzyli, że zmienią świat. „*Salut, le gars*” – wyszeptał do ich duchów. Właśnie miał się poddać i skierować się na swój parking, kiedy zobaczył miejsce, ostatnie przed zakolem drogi i końcem parkingu. Włączył kierunkowskaz i szybko wjechał, po czym wyłączył silnik i wyjął swoją podróżną cygarniczkę ze schowka w samochodzie. Zamknął auto i powoli ruszył w górę rue Laroque, obok kina, mijając Michauda, gdzie niemal spodziewał się zobaczyć kolejkę. Piekarnia była już zamknięta, ale ulicę wciąż wypełniał zapach masła.

Cours Mirabeau było ciche w ten zimowy wieczór i mimo pośpiechu Verlaque zanurzył rękę w parującej fontannie La Moussue. Poczul ciepłą wodę termalną przelewającą się przez jego palce. Skręcił w rue Clemenceau, która miała go doprowadzić do klubu palaczy cygar. Mieszkańcy Aix uśmiechali się, kiedy ich mijali. Odpowiadał im uśmiechem.

Nacisnął przycisk domofonu na budynku Jean-Marca i Pierre'a, numer

dziewiętnaście, a ciężkie drewniane drzwi wydały głuchy odgłos, otwierając się na kilka centymetrów. Pchnął je i wszedł do foyer, po czym upewnił się, że drzwi się za nim zamknęły, na starym mieście bowiem szerzyły się kradzieże. Wchodził na wydeptane schody, stawiając stopy na co drugim stopniu. Przeszedł obok biura architektonicznego na pierwszym piętrze, a potem udał się na drugie. Jean-Marc i Pierre dzielili je z sąsiadem, emerytowanym pracownikiem urzędu skarbowego, który za głośno włączał telewizor – pomimo wielu prośb innych lokatorów – i nigdy nie wychodził.

Drzwi do mieszkania, nadal ozdobione wieńcem bożonarodzeniowym, były uchylone i Verlaque wszedł w opary cygarowego dymu. Głęboko wciągnął powietrze i powiedział:

– Dobry wieczór, przyjaciele. Co za wspianiała woń.

Jean-Marc Sauvat wpatrywał się w Verlaque'a z otwartymi ustami, a jego partner, Pierre, zaczął się śmiać. Gaspard Baille, student prawa i najmłodszy członek klubu, położył rękę na sercu i klęknął przed sędzią. Prezes klubu, Fabrice, właściciel sieci sklepów hydraulicznych w południowej Francji, odezwał się pierwszy.

– *Mon roi* – powiedział, kłaniając się lekko i strząsając jakiś pyłek z wydatnego brzucha. – Jesteśmy unizonymi sługami.

Antoine Verlaque od razu zdał sobie sprawę z tego, co się stało. – Ach, to dlatego ludzie się do mnie uśmiechali – stwierdził, sięgając ręką do czubka swojej głowy.

Na chwilę oślepił go błysk telefonu komórkowego. Zdjął swoją nagrodę, złożył ją i wepchnął do kieszeni kurtki.

– Jaką wartość ma dla ciebie to, że nie wyślę tego zdjęcia do gazet? – zapytał Julien, wsuwając komórkę do kieszeni.

Sędzia spojrzął na niego – towarzyskiego sprzedawcę używanych samochodów *très gourmand*, któremu powierzyłyby swoje życie, i roześmiał się.

– Mojego pierworodnego? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

– Umowa stoi – odparł Julien. – Ale sądzę, że twoja piękna doktor Bonnet miałaby problem z zaakceptowaniem tej obietnicy.

Mężczyźni się roześmiali, a Jean-Marc spoglądał nerwowo na swojego przyjaciela sędziego. Antoine Verlaque nigdy dotąd nie wspomniał o małżeństwie ani o dzieciach z Marine Bonnet ani z nikim innym.

– Jadłeś kolację, Antoine? – zapytał.

– Tak – odparł sędzia, głaszcząc się po brzuchu, co przypomniało mu o postanowieniach noworocznych. – Dziękuję.

– Masz ochotę na whisky? – spytał Jean-Marc, ujmując przyjaciela pod ramię. – Mamy trochę bardzo dobrego Johnny'ego Walkera.

Verlaque podniósł wzrok na Jean-Marca i już miał odmówić, kiedy prawnik, stary przyjaciel Marine, zaczął się uśmiechać.

– Tylko żartowałem – powiedział. – Mamy trochę Ardburga, jeśli Julien i Fabrice jeszcze go nie skończyli.

– Resztę ukryłem – poinformował Pierre, pojawiając się między nimi.

– Dobra robota – skomentował sędzia. Przyglądał się, jak Pierre szybko objął ramieniem Jean-Marca, ale równie szybko się wycofał. Mężczyźni właśnie zamieszkali razem i dopiero niedawno ujawnili swój związek w klubie palaczy cygar.

– Cudownie, jeśli uda ci się przemycić dla mnie trochę Ardburga – wyszeptał Verlaque. – Rano byłem głównie w sądzie, a potem przez większość dnia musiałem jeść *galettes des rois*.

Pierre spojrzał na Jean-Marca.

– Dziś wieczorem mamy zjeść jeszcze więcej *galettes*, prawda? – zapytał Verlaque, idąc za Jean-Markiem i Pierre'em do kuchni.

– Julien i Fabrice kupili trzy u Michauda – odparł Jean-Marc.

– Za chore sumy – dodał Pierre.

– Jedno jest nawet udekorowane – mówił dalej Jean-Marc, a w jego głosie pobrzmiwał sarkazm. – Z dużym cygarem w brązowym lukrze. Julien i Fabrice przekonali jedną ze sprzedawczyń, by poprosiła piekarza o dodanie takich dekoracji.

Verlaque uśmiechnął się na myśl o dwóch mężczyznach w średnim wieku, z nadwagą, którym udaje się zauroczyć młode dziewczyny po dwudziestce.

Marc otworzył szafkę i sięgnął do środka, nalał whisky do kryształowej szklaneczki, potem szybko zamknął szafkę i wręczył trunek Verlaque'owi.

– Możesz sobie darować *galette* – powiedział Pierre.

Verlaque wziął drinka i uśmiechnął się.

– *Ah, la tourge d'Islay*. Lubię ten ciężki smak – powiedział. – Dzięki za próby zaoszczędzenia dla mnie odrobiny. – Westchnął i pochylił się nad ladą kuchenną.

– Ciężki dzień? – zapytał Jean-Marc.

– Zaczął się okropnie, ale później uratowała go dziesięciolatka śpiewająca Faurégo, a jeszcze później... – zamknął oczy i pociągnął następny łyk... – Nie jestem pewien, co się potem stało. Coś było nie tak z Marine, ale nie mam pojęcia co. Czy wy kiedykolwiek miewacie takie zachwiania komunikacji?

– Nigdy – odparł Jean-Marc, podczas gdy Pierre mówił: – Przez cały czas.

Roześmiali się, a Verlaque rzucił: – Chyba zrezygnuję z deseru.

– O co chodzi z tym deserem? – zapytał Julien, wchodząc do kuchni. – Kiedy dostaniemy nasze *galettes*? – poczęstował się czekoladką, a Pierre klepnął go po ręce.

– Jeszcze jesteś głodny? – zapytał. – Zjadłeś dwie porcje gulaszu Jean-Marca.

– Nie martw się, Julien – odezwał się Jean-Marc, któremu pochlebiało to, że jego prowansalska potrawa została tak dobrze przyjęta. – Antoine właśnie powiedział, że być może zrezygnuje z deseru.

– Co?...

– Kto nie chce *galettes des rois*? – zapytał Fabrice, wpychając się do małej kuchni.

– Antoine – odparł Julien, patrząc podejrzliwie na szklankę Verlaque'a.

– Hej, chłopaki! – zawołał Gaspard nad ich głowami. Gaspard Baille miał ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu, prawie trzydzieści centymetrów więcej niż Julien czy Fabrice. – Chcemy zacząć palić hoyo de monterreje. Co tam wszyscy robicie w kuchni, paplając jak stado starych bab?

– *Merci*, Gaspard! – odkrzyknął Jean-Marc, popychając mężczyzn do wyjścia. – Potrzebuję trochę miejsca w kuchni, by załadować i włączyć zmywarkę.

Nigdy nie czuł się dobrze, gdy podejmował gości obiadem, dopóki nie sprzątnął kuchni, a zmywarka nie była *en route*.

Pierre, znając dziwactwa swojego chłopaka, podążył za wychodzącymi z kuchni mężczyznami i w korytarzu odciągnął Verlaque'a na bok.

– Kiedy wszystko się trochę uspokoi, będę miał do ciebie prośbę.

– Nie ma problemu – odparł Verlaque, starając się nie słyszeć hałasu, jaki robili Julien i Fabrice, kłócąc się o miejsce na fotelu. – Czy sprzedaż twojego mieszkania doszła już do skutku?

– Tak, bez kłopotów – odpowiedział Pierre. – Kupione za gotówkę. Przysługa w istocie dotyczy tego mieszkania. Właściwie nie samego mieszkania, ale lokum mojego sąsiada.

– Tego stukniętego starszego gościa?

Pierre roześmiał się.

– Tak, wyprowadziłem się z rue Boulegon na bardziej ekskluzywną ulicę w Aix, tylko po to, by skończyć z kolejnym stukniętym starszym gościem jako sąsiadem.

– Zamożni ludzie potrafią być bardziej gburowaci...

– Antoine! Pierre! Otwieramy pudełko cygar!

– Idziemy! – odkrzyknął Verlaque.

Wszedł do niewielkiego, lecz eleganckiego pokoju dziennego Jean-Marca i Pierre'a i zobaczył Julienu pochylającego się nad Fabrice'em – który wygrał walkę o fotel – z zegarkiem w ręce.

– Liczę Fabrice'owi czas – powiedział Julien, próbując nacisnąć na małą tarczę swojego kosztownego zegarka marki Heuer. Miał jednak za duże dłonie i Virginie, jedyna kobieta w klubie, zaoferowała mu pomoc. Verlaque przyglądał się temu zdumiony.

– Fabrice ma trzydzieści minut na fotelu – wyjaśniła Virginie, nastawiając budzik na zegarku szczupłymi palcami.

– Och, na litość boską – skomentował sędzia, ale nie mógł powstrzymać

śmiechu.

Gaspard puścił w obieg niewielką wiązkę cygar, już drugą tego wieczoru. Verlaque wybrał sprężyste, wciąż wilgotne cygaro i wyjął obcinarkę.

– Nie ma banderoli – zauważył, biorąc do ręki ciemnobrązowe cygaro o kształcie torpedy. Poczul, że jego telefon komórkowy wibruje w kieszeni marynarki, i miał nadzieję, że to Marine.

– Przywiozłem z Kuby – odpowiedział Gaspard.

– *Bijou!* – zawołał Fabrice.

– Klejnot? – zapytał sędzie, patrząc na Gasparda.

– To mój kubański pseudonim – wyjaśnił z powagą Gaspard. – Wszyscy mają pseudonimy, kiedy jadą do tego kraju. Następnym razem musisz się z nami wybrać.

Julien dodał:

– Witająca nas kobieta – duża i gruba Kubanka – tylko spojrzała na naszego przystojnego Gasparda i od razu nadała mu ten przydomek.

– *Bijou* doskonale do Gasparda pasuje. A jakie imiona nadała wam? – zapytał sędzie, wskazując na Juliena i Fabrice'a.

Julien zakasłał, a Fabrice zmienił temat:

– Kupiliśmy te cygara w prywatnej firmie zwijającej cygara, w Centro Habana.

Verlaque uśmiechnął się na celowe użycie przez Fabrice'a głoski „b” w słowie Hawana.

Fabrice obciął swoje cygaro i zapalił.

– Tak naprawdę było dwóch ludzi na zapleczu starego hotelu – kontynuował Fabrice. – Jeden z nich zwijał, drugi, Emilio, był szefem. Przynosił rum i kawę i siadał z tobą, żeby zapalić. Kupiliśmy całe tony cygar. Oczywiście bez banderol. Szykownie, prawda?

– Kilka lat temu to samo zrobił pewien projektant mody – odezwała się Virginie. – Odwrócony marketing – ukrywanie nazwy firmy. Zostawiał tylko cztery szwy wykonane białą nitką z tyłu sukienek i koszul...

– *Gracias, Virginie* – powiedział Fabrice.

Virginie wzniosła oczy ku górze.

– No, opowiedz wszystkim o tym dzieciaku, Albercie, którego spotkaliście.

Fabrice, prezes klubu, pochylił się do przodu.

– Wyjechaliśmy na dwa dni samochodem na pola tytoniu w Viñales – powiedział. – Musieliśmy je pokazać *Bijou*. Zatrzymaliśmy się w maleńkiej wiosce, znaleźliśmy pensjonat prowadzony przez starszą panią i jej córkę.

– Utrzymany w idealnym porządku – odezwał się Julien.

– Można było jeść z podłogi – dodał Fabrice.

– I kiedy piliśmy mojito na tarasie...

– Oczywiście – wtrącił Verlaque.

– Z patio w sąsiednim domu podszedł do nas ten kubański dzieciak,

może dwunastoletni, i zapytał, czy może z nami porozmawiać po francusku – powiedział Julien. – Powinniście usłyszeć jego francuski.

– Paryski akcent i tak dalej – przerwał mu Fabrice.

– Co więcej, doskonały slang – dodał Gaspard. – Taki jak u każdego studenta prawa w Aix.

– Gdzie się tego nauczył? – zapytał Jean-Marc. – Słyszałem, że kubańska edukacja jest wspaniała...

– Zero analfabetyzmu – odezwał się Gaspard.

– Bijou zainteresował nas komunizmem – wyjaśnił Julien.

Gaspard westchnął.

– Dużo rzeczy tam ma sens – powiedział, odchylając się do tyłu i zaciągając się cygarem. – Darmowa edukacja do poziomu doktoratu, żadnego analfabetyzmu, darmowa opieka medyczna.

– My też to mamy – powiedział Jean Marc.

– Nie jestem pewien, czy u nas sto procent społeczeństwa potrafi czytać i pisać – odparł Gaspard. – Bardzo mi się też podoba, że nie są połączeni z cyberprzestrzenią, tak jak my...

– Ha! – prychnął Julien. – Jakby to był ich wybór!

Gaspard przechylił głowę.

– Ja na przykład nie cierpiałbym, nie mając internetu, Facebooka czy Twittera.

– Poradziłabym sobie bez mediów społecznościowych – stwierdziła Virginie. – Nie musiałabym codziennie oglądać dziesięciu zdjęć dzieciaka mojej siostry.

– Ten Alberto – odezwał się Pierre, nalewając szampana do kieliszków gości i starając się wrócić do opowiadanej historii. Nie znosił politycznych dyskusji na przyjęciach. I do tej pory nikt nie wspomniał o jego nowych szampanówkach, kupionych w komisie obok fontanny Rotonde. Na każdym z kryształowych szkiełek ukazywał się wyryty smok – jego ulubione stworzenie – i był tym zauroczony. – Kiedy zatem Alberto nauczył się francuskiego?

– Zakochał się we francuskiej dziewczynie – wyjaśnił Fabrice.

– Klasyka – zawołał Verlaque.

– Studiowała muzykę w konserwatorium w Hawanie – dodał Fabrice. – Alberto wyjaśnił, że najlepsi studenci muzyki z Francji często są wysyłani na Kubę, gdzie szkoły muzyczne są bardziej rygorystyczne niż nasze.

– Rozumiem – powiedział Gaspard.

Verlaque pomyślał o małej Léi i próbował ją sobie wyobrazić na Kubie za dziesięć lat.

– Już nie są razem – Gaspard poinformował pozostałych. – Lecz Alberto raz nawet ją odwiedził. W Manosque!

– Manosque! – zakrzyknął znowu Verlaque.

Miejscowość ta, znajdująca się około godziny jazdy na północ od Aix,

należała do najbardziej autentycznych małych miast.

Julien pomachał ręką, podekscytowany.

– A teraz najlepsza część – powiedział. – Alberto rozplywa się nad Prowansją – jak wspaniałe jest tu jedzenie i wino, jakie mamy spokojne życie...

– Ja nie mam – przerwał Jean-Marc, prawnik w popularnej firmie w Aix.

– Ależ masz – nie zgodził się z nim Pierre.

– Czy mogę kontynuować? – zapytał Julien.

– Przepraszam – szepnął Pierre.

– Kiedy więc Alberto poszedł do łazienki, połączyliśmy siły naszych trzech wspaniałych umysłów – prawda, Bijou?

– Tak – odparł Gaspard. – I zaczęliśmy planować, jak sprowadzić Alberta do Francji, na stałe.

– Jak zebrać jego papiery, zorganizować zbiórkę na bilet lotniczy i tak dalej – powiedział Fabrice.

– Świetny pomysł! – odezwała się Virginie. – Wchodzę w to!

Fabrice podniósł swoją grubą rękę.

– Ale to nie koniec – powiedział. – Kiedy Alberto wrócił z toalety, przedstawiliśmy mu swój plan. Był w szoku.

– Oczywiście – odezwał się Pierre. – Nieoczekiwane przejawy dobroci...

– Nie! – zaprotestował Fabrice. – On nie chciał tu przyjechać!

– Oznajmił, że nigdy nie opuściłby Kuby – dodał Julien.

Gaspard odchylił się do tyłu z uśmiechem.

– Alberto poinformował nas, że jest muzykiem i że jego muzyka pochodzi z jego wyspy – mówił Fabrice. – W każdym razie było to coś równie romantycznego. Oświadczył, że chociaż kocha Francję, nie chciałby tu mieszkać. Możecie to sobie wyobrazić?

– Nigdy nie wiadomo, co ludzie myślą – skomentował Julien, zaciągając się cygarem. – To może być coś zupełnie przeciwnego do tego, co założyłeś lub czego byś sobie życzył.

– Fajne filozofowanie – skomentował Fabrice, przewracając oczyma.

Verlaque zaciągnął się cygarem i pomyślał o Marine. Ale niestety nie potrafił nawet zgadnąć, co było nie tak. Wyjął z kieszeni telefon komórkowy i spojrzał na wiadomość. Przysłał ją Sébastien, jego młodszy brat, potentat na rynku nieruchomości.

– Gaspard – powiedział, odkładając telefon. – Czy teraz, gdy dostrzegłeś pozytywne strony komunizmu, zamierzasz podjąć pracę *pro publico bono*, kiedy skończysz studia prawnicze? Działanie na rzecz społeczności lokalnej i temu podobne...

– Żartujesz? – zachnął się Fabrice.

W tej chwili rozległ się alarm w zegarku Julienu, który wydmuchał dym z cygara w stronę niezadowolonego Fabrice'a.

Verlaque pociągnął łyk szampana i obrócił szampanówkę w dłoni.

– Ładne kieliszki – powiedział.

Pierre odchylił się do tyłu i palił z zamkniętymi oczyma. Klub palaczy cygar w Aix nauczył Verlaque'a, że amatorzy cygar pochodzą ze wszystkich środowisk. Patrzył, jak Pierre, który pracował w księgarni przy Cours Mirabeau i prawdopodobnie zarabiał niewiele więcej niż płaca minimalna, rozkoszuje się ostatnim zaciągnięciem hoyo de monterrey.

*

– Gotowi, by kontynuować historię? – zapytał Verlaque. – Teraz, kiedy wszyscy wyszli.

Wszedł Jean-Marc. Na staroświeckiej tacy przyniósł trzy espresso i ostrożnie postawił ją na stoliku do kawy.

– Tak, oczywiście – odparł Pierre, siadając prosto.

– Nie miałem zamiaru przerywać ci ostatnich sztachnięć – wyjaśnił Verlaque. – Ale niedługo muszę iść spać.

Pomyślał o spacerze wzdłuż ulic i o wspinaniu się po czterech biegach schodów do swego mieszkania. Chociaż kochał to mieszkanie z widokiem na wieżę kościoła Saint-Sauveur i z małą kolekcją obrazów, nie mógł pogodzić się z tym, że nie będzie dziś spał obok Marine.

– Oui, oui – odezwał się Pierre i odłożył niedopałek na przeskalowaną jasnoniebieską popielniczkę Havana Club. – Przepraszam, miałem ciężki dzień, który na domiar złego zakończył się *réunion de copropriétaires* – powiedział.

– Nienawidzę tych spotkań – stwierdził Verlaque.

– Oj, tak – przytaknęła Jean-Marc. – Pierre wrócił do domu w fatalnym nastroju.

Pierre posłał Jean-Marcowi nienawistne spojrzenie, co zaskoczyło sędziego. Czy wszyscy się dzisiaj kłócili?

Pierre zaczął:

– Tak więc mój stuknięty sąsiad, a właściwie były sąsiad, nazywa się René Rouquet. Przyszedł do księgarni i poprosił mnie o pomoc. Czuję, że jestem mu to winny, chociaż jest...

– Stuknięty.

– Właśnie.

– René pomógł Pierre'owi kupić kawalerkę – wyjaśnił Jean-Marc. – Prawie piętnaście lat temu.

– Naprawdę? – zapytał Verlaque.

– Tak – potwierdził Pierre. – Poinformował mnie o rządowym planie pomocy przy zakupie pierwszego mieszkania. Nie mam pojęcia o finansach, więc nigdy bym się o tym nie dowiedział, gdyby nie René. Odziedziczyłem kilka tysięcy po dziadkach i razem z rządową dopłatą to wystarczyło na zaliczkę.

– I oczywiście ceny w Aix były wówczas dużo niższe – dodał sędzia.

– Właśnie – przytaknął Pierre. – Kto by pomyślał, że sprzedam trzydziestometrową kawalerkę za takie pieniądze?

– To ten sam budynek, w którym niegdyś mieszkał Cézanne – dodał Verlaque. – Wystarczy wspomnieć nazwisko tego słynnego malarza, a ludziom uginają się kolana, zwłaszcza tutaj, w jego mieście rodzinnym. Wszyscy chcielibyśmy posiadać jakiś kawałek Paula Cézanne’a.

Pierre rzucił spojrzenie Jean-Marcowi.

– Ależ jesteś mądry, Antoine – powiedział Jean-Marc, popijając kawę.

– Co takiego powiedziałem? – chciał się dowiedzieć sędziego.

– Mów dalej, Pierre – odezwał się Jean-Marc.

– René przyszedł wczoraj do księgarni – powtórzył Pierre. – Był bardziej poruszony niż zwykle. Powtarzał, jak mu smutno, że się wyprowadziłem. To było bardzo dziwne, bo rzadko kiedy słyszałem od niego „dzień dobry”. W końcu udało mu się odciągnąć mnie od klienta, który nie mógł się zdecydować, czy wybrać nowego Johna Grishaman, czy też nowego Johna Le Carré, i zapytał, czy możemy gdzieś porozmawiać. Gdzieś, gdzie jest dobre światło.

– Dziwne – zauważył Verlaque.

– Będzie jeszcze lepiej – rzekł Jean-Marc. – Powiedz Antoine’owi o tym, jak René zmienił zamki.

– Tak, tak – powiedział Pierre, i machnął ręką ze zniecierpliwieniem. – Właśnie do tego zmierzałem.

– Przepraszam, Pierre – odezwał się Jean-Marc, po czym wstał i zabrał tacę z filiżankami do kuchni.

Pierre pokiwał głową, głęboko zaczerpnął powietrza i mówił dalej:

– René był blady jak ściana, kiedy powiedział, że chce wymienić zamki w drzwiach wejściowych.

– Czy ktoś włamał się do mieszkania? – zapytał Verlaque.

– Nie – odparł Pierre. – Od razu go o to zapytałem. Ale wydawał się przerażony i z niepokojem oglądał się za siebie. Wprowadziłem go więc do pokoju szefa i zamknąłem drzwi. Dopiero wtedy zauważyłem, że bardzo ostrożnie trzyma pod pachą plastikową torbę. A właściwie tuli ją do siebie. Zapytał mnie, czy mogę zamknąć drzwi na klucz.

Verlaque się roześmiał, ale w tym samym momencie zauważył, że twarz Pierre’a stała się szara jak popiół.

Pierre mówił dalej:

– Powiedziałem mu, że nie mogę tego zrobić, więc musimy zaryzykować, bo już się domyśliłem, że zamierza mi pokazać, co chowa w plastikowej torbie.

– I do tego potrzebne było dobre oświetlenie – zauważył sędziego.

– René usiadł i chwycił mnie za rękę tak mocno, że to prawie bolało – powiedział Pierre. – I oznajmił: „Jesteś jednym z ludzi, którym mogę zaufać”.

- Choć rzadko ze sobą rozmawialiście – zasugerował Verlaque.
- Właśnie. A potem ktoś wszedł na korytarz i René prawie rzucił mi się w ramiona.
- Poczekaj chwilę – zająknął się Verlaque, pochylając się do przodu i wznosząc palec wskazujący. – Czy chcesz powiedzieć, że René właśnie miał ci pokazać Paula...
- *Oui.*
- Mówiłem ci, że to dobra historia – zawołał z kuchni Jean-Marc.

3

Manon

Mijając matkę, która myła ganek frontowy, Manon Solari uniosła swą czarną bawełnianą spódnicę, starając się nie zamoczyć jej skraju.

– Dzwony jeszcze nie zaczęły bić, *maman* – powiedziała, obdarzając matkę *bise*. – Nie musisz się śpieszyć.

Manon nie lubiła patrzeć, jak Mme Solari, która w tym roku miała skończyć sześćdziesiąt dwa lata, tak ciężko pracuje. M. Solari, kamieniarz, zmarł w wieku pięćdziesięciu siedmiu lub pięćdziesięciu ośmiu lat – sam nigdy nie był pewien, ile ma lat. Jego rodzina wyjechała z Piemontu, kiedy był mały, a żadne z jego rodziców nie nauczyło się czytać i pisać ani po włosku, ani po francusku.

– Zaraz się odezwą – odparła Mme Solari, wylewając resztkę wody na ulicę. – Wkrótce pojawi się policja, żeby sprawdzić, czy tu umyliśmy. Nigdy nie żałuję, że to robię, nie wyobrażasz sobie, jak brudne były ulice, zanim się urodziłaś.

Manon nerwowo zerknęła na południe. Mme Michaud urwie jej głowę, jeśli nie pojawi się w sklepie do ósmej piętnaście. A dzisiaj był szósty stycznia.

– Francuzi to brudasy – mówiła dalej Mme Solari, wycierając teraz wodę ze stopnia przed drzwiami. Skinęła głową w stronę sąsiadki, Mme Janot, która właśnie zaczęła sprzątać swój ganek. Manon skrzywiła się – miała nadzieję, że Mme Janot nie usłyszała komentarza matki na temat czystości w tym kraju. Matka Manon, podobnie jak jej ojciec, przyjechała do Prowansji z Piemontu jako młoda dziewczyna.

– Kiedy byłam w twoim wieku, ulicami chodzili w tę i z powrotem rzeźnicy, niosąc wieprzowe lub baranie tusze i zostawiając za sobą ślady krwi. Odrażające. Twój ojciec – Mme Solari przerwała i zrobiła znak krzyża – mawiał, że zawsze akceptował prawo wprowadzone w latach pięćdziesiątych.

Jak na komendę, odezwał się zegar na ratuszu miejskim.

– O, słyszysz? – zapytała Mme Solari, ocierając czoło. – Wybiła ósma. Spóźnisz się.

Manon uśmiechnęła się, jak zwykle, kiedy matka przestrzegała ją przed spóźnieniem, choć tak naprawdę to jej gadulstwo sprawiało, że dziewczyna każdego ranka prawie biegła do Michauda. Po raz kolejny powiedziała „do widzenia”, obiecując matce, że przyniesie wszystkie połamane

i nienadające się do sprzedaży kawałki ciasta. Manon nie miała pojęcia, jak jej matka dożyła tak sędziwego wieku, ale jedna z jej siostr – a miała ich pięć – żartowała, że to dzięki jej upodobaniu do słodczy.

Prawie skacząc wzdłuż rue des Gurriers, Manon spojrzała na jasnyniebieskie styczniowe niebo. Cieszyła się, że przyszła na świat 1859, pięć lat po tym, jak włodarze miasta zakazali jego mieszkańcom wyrzucania śmieci przez okna. Jej starszy brat, Philippe, mawiał, że na ulicach można było znaleźć dosłownie wszystko, zwłaszcza w pobliżu garbarni. Nawet arystokraci pozbywali się odpadków, wysypując je przez okna rezydencji.

Solari byli biedni, Philippe, obecnie znany rzeźbiarz, wciąż musiał używać gliny. Nie mógł sobie pozwolić na marmur. A Manon wiedziała, że ma szczęście, iż znalazła pracę, choć w niepełnym wymiarze godzin, w *pâtisserie* Michauda. Jej siostra Clara obdzierała króliki ze skóry, którą przeznaczano na czapki. Catherine i Suzanne pracowały jako *casseuses*, każda z nich miała czwórkę dzieci, więc pracowały w domu, tłukąc kasztany do sklepów ze słodczymi, takich jak Michaud. Isabella miała szóstkę dzieci i zarabiała trochę groszy, uprawiając pięć morw, wykorzystywanych w produkcji jedwabiu. Maria – jak mawiała Mme Solari, największa szczęściara spośród nich – wstąpiła do zakonu.

Jako najmłodsza z siedmiorga dzieci, Manon zawsze była rozpieszczana. Nazywali ją rudowłosym maluchem. Do czasu, gdy skończyła dziesięć lat, jej rodzice nie mieli już energii, żeby się nią zajmować, ale zawsze znalazł się ktoś z rodzeństwa, kto mógł ją zabrać na spacer. Ich mały dom znajdował się na północnym krańcu rue des Guerriers, skąd wystarczył krótki spacer przez masywne bramy miejskie i na północ, wzdłuż rue Pasteur, by znaleźć się na wsi. Zbieranie polnych roślin i kwiatów było wtedy (i teraz, jeśli tylko znajdowała na to czas) ulubionym zajęciem Manon. Nie mogła się doczekać wiosny.

Kiedy zbliżała się do placu L'Hôtel de Ville, usłyszała głosy ludzkie, rżenie koni i szum wody spływającej z fontanny miejskiej. Tu znajdował się ratusz, w którym mer udzielił ślubu jej siostr (oczywiście z wyjątkiem Marii), zanim odbyły się uroczystości kościelne. Było to ulubione miejsce Manon w Aix i gdyby miała pieniądze, mieszkałaby właśnie tutaj, a nie w modniejszym Quartier Mazarin. Przepadała za kolorowymi domami otaczającymi zachodnią część placu. Chociaż nigdy nie wyjeżdżała z Aix, wiedziała, że te kolory pochodzą z włoskich budynków: ochra, czerwień, pomarańcz i żółć.

Uśmiechnęła się, wspominając, jak Philippe nie przestawał mówić o rzeźbach z tego placu, w większości wykonanych przez Chastela. Podeszła do fontanny i spojrzała na kamiennego mężczyznę z brodą i zmarszczonymi brwiami, który wypluwał wodę z ust. Philippe inspirował się Chastelem i przesuwał palcami po pomarszczonym czole rzeźby za

każdym razem, gdy przechodzili obok.

– I pomyśleć, że rewolucja zniszczyła Chastela! – zakrzyknął kiedyś do młodszej siostry. – Zmarł w przytułku dla ubogich w 1793 roku.

Manon, wówczas ośmioletnia, spojrzała na brata.

– Czy go zabili?

– Nie, nie bezpośrednio – odparł, spoglądając na arcydzieło Chastela ponad Halles aux Grains i ujmując rękę siostry w swoją dłoń. – Zabili jego klientów.

Manon, już nie dziecko, ale trzydziestoletnia kobieta, zerknęła w górę, na halę zbożową i masywne rzeźby Chastela, przedstawiające Durance – kobietę – i Rhône – mężczyznę. Podobało jej się, że kobieta macha nogą ze zwieńczenia budynku, jak Durance występująca z brzegów, co często działo się wiosną. Uważała jednak, że jest zbyt męska, zbyt muskularna. Próbowwała docenić rzeźbę, ale choć Philippe studiował ją w Paryżu, a ojciec był *marrié à la pierre*, to nie była jej ulubiona dziedzina sztuki. Kochała kolor i obrazy. Philippe wiele razy zabierał ją do Musée Granet, żeby mogli popatrzeć na dzieła sztuki. Znał kustosza muzeum z czasów studenckich, więc nigdy nie musieli płacić za bilety. Ale teraz, kiedy pracowała i opiekowała się matką, Manon nieczęsto znajdowała czas, by tam iść. A gdyby miała wybierać pomiędzy muzeum a wycieczką na wieś, na pewno zdecydowałyby się na to ostatnie.

Wciąż podążała w stronę Cours, nucąc i przyspieszając kroku. Jej ojciec nigdy nie nazywał głównej ulicy Aix jej nowym imieniem – Mirabeau – i Manon szła jego śladem.

– Dla mnie to zawsze będzie Cours à Carrosses – mawiał, jakby aleja zmieniła się wraz z nowym imieniem.

Manon uśmiechnęła się na wspomnienie ojca, który uderzał w ich w stary kuchenny stół wielką pięścią zawsze pokrytą, jak pamiętała, wapiennym pyłem.

Kiedy miała pięć lat, na ulicach zamiast lamp olejowych pojawiły się gazowe, a M. Solari także na to narzekał. Manon sądziła, że dzięki tym opiniom jej ojciec czuł się w większym stopniu mieszkańcem Aix niż imigrantem. Jak regularnie przypominał jej Philippe, trudno było poczuć się prawdziwym mieszkańcem Aix. Nawet przyjaciel Philippe'a, Émile, teraz słynny pisarz, zamieszkały w Paryżu, a pochodzący z Aix, powiedział, że czuł się w tym mieście jak wyrzutek z powodu swojego paryskiego akcentu i jak obcy w Paryżu z powodu swojej prowansalskiej nosowej wymowy. Kiedy zmarł narzeczony Manon, Jean-Auguste, M. Zola przyjechał z Paryża. Nie kupił jej bukietu, choć je uwielbiała, ale książkę o polnych kwiatkach z Prowansji. Nigdy nie zapomniała o jego miłym gościu. W skrytości ducha uważała, że niedoskonała wymowa pisarza miała więcej wspólnego z wykluczeniem go poza nawias w młodości niż z jego akcentem, ale oczywiście niczego takiego nie powiedziała. I lubiła jego nosowe

seplenienie, bo sama też miała skazę – ślady po ospie na twarzy.

Po śmierci Jeana-Auguste'a Manon postanowiła odrzucać zalotników – nie żeby w Aix było ich wielu – i zostać w domu, by opiekować się rodzicami. Wcześniej nie planowała małżeństwa – samo się przytrafiło: zanim się zorientowała, po kilku czy kilkunastu spacerach z Jeanem-Auguste'em, zaręczyli się i wszyscy świętowali z tego powodu. Jean-Auguste był miłym człowiekiem, kamieniarzem, jak jej ojciec, i Manon ogromnie przeżyła to, że umarł tak młodo. Ale za nim nie tęskniła.

Czy była imponująca, czy też – jak mawiał jej ojciec – tylko taką udawała, dla tych, którzy pragnęli być widziani, ulica Cours nie mogła się poszczycić utwardzoną nawierzchnią, choć mogły to zrobić niektóre ze skromnych uliczek w Bourg Saint Sauveur. Manon nie znośiła przechodzić przez Cours. Unikała wszystkiego wokół, w tym wozów konnych i wózków ręcznych, aby dotrzeć pod numer 8, do Michauda. Westchnęła, gdy zobaczyła kolejkę i pożałowała, że nie dotarła do sklepu wcześniej niż zwykle – przed ósmą piętnaście. Kiedy otworzyła drzwi i przeciskała się przez tłum, usłyszała głos Mme Michaud, dochodzący znad pierwszej lady, i przypomniała sobie, dlaczego nie przyszła wcześniej. I tak nikt jej nie podziękuje i za to nie zapłaci. Przy boku Mme Michaud stała jej gruba córka, Amandine, która starała się ukryć fakt, że trzyma coś słodkiego w ustach, i próbowała powoli to przeżuć. Trzeba przyznać, że to właśnie ona zasugerowała, by wypiekać w piekarni *gâteaux des rois* w paryskim stylu, z pasty migdałowej i ciasta francuskiego, zamiast prowansalskiej wersji wieńca brioszek pokrytych *fruits confits*. Okazało się, że ciasta z masą migdałową lepiej się sprzedają. Kiedy Manon powiedziała o tym Philippe'owi (którego nie stać było na żadne z tych smakowitości i nie mógł ich skosztować, dopóki Émile czy Paul mu ich nie kupili), odparł, że należy to przypisać raczej modzie niż ich smakowi. Mieszkańcy Aix zawsze chcieli być paryżanami.

Manon weszła do pomieszczenia na zapleczu i umyła ręce, po czym poprawiła włosy – w pracy zawsze zbierała je w koński ogon – patrząc w popękane, zamglone lustro.

– Dobrze cię widzieć, Manon – powiedziała Suzette, jej najlepsza przyjaciółka, która właśnie wpadła i uścisnęła jej dłoń.

– Suzette! – zawołała Mme Michaud ze sklepu. – Proszę, pośpiesz się z tymi pudełkami!

Manon i Suzette spojrzały po sobie. Mimo że obie należały do najstarszych sprzedawczyń, bardzo się bały Mme Michaud, która w każdej chwili mogła kogoś zwolnić. Oboje rodzice Suzette nie żyli, a ona z trudem utrzymywała dwóch młodszych braci.

Manon szybko zawiązała fartuch na plecach i weszła do głównego pomieszczenia, zajmując miejsce za szklaną ladą, obok Amandine. Ta, już z innym cukierkiem, którego kształt rysował się pod jej lewym policzkiem,

pochyliła się do Manon i szepnęła:

– Jaki dzisiaj jest dzień?

– *La fête des Rois. Le 6 janvier* – pewnie odpowiedziała Manon.

– Właśnie – syknęła Amandine. – Powinnaś być tutaj wcześniej.

– Otrzymuję zapłatę za to, że jestem o ósmej piętnaście, codziennie – odparła Manon.

– Dzień dobry panu – mówiła dalej, uśmiechając się do klienta i odwracając od Amandine.

Klient poprosił o tradycyjną *galette* w stylu brioszki, a ona wzięła tę, na którą wskazał, i zapakowała ją w czerwone pudełko, zawiązując cenną złotą jedwabną wstążką Michauda. Uczono je, by używały jej oszczędnie. Manon czasem zbierała małe skrawki z podłogi i wsuwała je do kieszeni. Dawała je swoim siostrzenicom do wiązania włosów, a czasem używała ich do dekoracji prezentów, które robiła matce i siostrze. Kiedyś znalazła nawet długi kawałek, porzucony na kamiennym chodniku na zewnątrz sklepu. I już zawsze trzymała go w kieszeni.

Starannie zapisała cenę, półtora franka, na kawałku papieru, który zostanie odwrócony i wykorzystany jeszcze raz, i podała klientowi, by zabrał go do misternie rzeźbionej drewnianej lady frontowej, gdzie Mme Michaud zapisywała transakcje. Manon cieszyła się, że umie czytać i pisać, nauczyli ją tego Émile i Philippe. Philippe kupił jej także czarną sukienkę na rozmowę z Mme Michaud w sprawie pracy. Bawełniana sukienka wraz z białym fartuchem, zapewnianym przez *pâtisserie*, była jej strojem służbowym. Suzette pożyczyła taką od ciotki i nosiła ją codziennie przez prawie rok, zanim zarobiła wystarczająco dużo, by kupić własną.

Do dziewiątej dzwonek przy drzwiach wejściowych u Michauda dzwonił bez przerwy.

– Dlaczego nie zdejmą tego cholernego dzwonka w taki dzień, jak ten? –

Suzette szepnęła do ucha Manon, przechodząc śpiesznie obok niej z trzema pudełkami *galettes* dla baronowej de Montille.

– Bo to przypomina Madame, ile dzisiaj zarobi – odparła Clara, inna sprzedawczyni, która usłyszała Suzette.

Manon spojrzała z niepokojem na Amandine, zajęta teraz obsługiwaniem żony znanego sędziego, ale wydawało się, że dziewczyna ich nie usłyszała. Manon przypomniał Clarze podczas przerwy – jeżeli dziś będą jakąś miały – by nie mówiła tak głośno. Nie podobało jej się, gdy inne dziewczęta plotkowały o Mme Michaud albo stroiły sobie z niej żarty, jakby jej mąż nie umarł na atak serca, tak samo jak ojciec Manon. Pieniądze nie uczynią żałoby łatwiejszą.

Manon zajęła się pakowaniem dwóch *galettes* i rzuciła ukradkowe spojrzenie na żonę sędziego. Personel Michauda czerpał dumę z faktu, że wiele kobiet przychodziło tu osobiście, by wybrać i kupić ciasta, zamiast przysyłać w tym celu służące. Zakupy u Michauda były przyjemną

wyprawą i pracownicy sklepu starali się to zapewnić. Żona sędziego była wysoka – co rzadkie w Prowansji. Uśmiechnęła się do Amandine w naturalny sposób. Miała twarz pokrytą piegami, a jej zielone oczy były pełne blasku. Wydawało się, iż kobieta dostrzegła, że Manon się jej przygląda, więc lekko skinęła głową i uśmiechnęła się jeszcze szerzej. Zakłopotana Manon szybko obwiązała pudełka wstążkami, zapisała ceny i wręczyła je klientce – Mme Frédéric, bardzo wymagającej gospodyni księdza z Saint Jean de Malte.

Znów rozdzwonił się dzwonek przy drzwiach i Manon usłyszała jęk Clary.

– To twój klient, Claro – powiedziała Suzette. – Ja przygotowuję zamówienie dla baronowej de Montille na bal, który wydaje w przyszłym tygodniu.

– Ale ja przyszłam tu o siódmej – odparła Clara, masując sobie kark.

– Idź i poproś Mme Michaud o przerwę – szepnęła Manon. – Obsłużę tego klienta.

– Ale Amandine zapisze to w swoim notesiku – niepokoili się Clara.

– Nie martw się jej notesikiem. Pewnie zapisuje tam wszystko, co dotyczy sprzedaży – uspokajała ją Manon. – Idź.

Clara podziękowała Manon, a ta spojrzała przed siebie i zobaczyła niskiego mężczyznę z głębokimi zakolami i gęstą brodą. W pasie był przewiązany szarfą – *taiolo* – która świadczyła o tym, że jest prawdziwym Prowansalczykiem. Miał ze sobą zniszczoną skórzaną torbę.

– Proszę o *galette des rois* – powiedział. Zanim Manon zdążyła się odezwać, dodał: – Tę z brioszek. Nie interesują mnie te paryskie specjały z pastą migdałową.

Manon skinęła głową:

– Już podaję, proszę pana.

– Pani jest smarkatą siostrą Philippe’a, prawda? – zapytał.

Manon zaczerwieniła się, słysząc, że nazwał ją smarkatą.

– Tak, mam na imię Manon.

– Proszę go ode mnie pozdrowić. Jestem Paul. Kilka razy malowałem z pani bratem.

Manon się uśmiechnęła.

– Jest pan także przyjacielem pana Zoli – odezwała się, starannie układając ciasto w pudełku.

Klient skinął głową, po czym uniósł dłoń.

– Proszę zachować to eleganckie pudełko dla kogoś innego – powiedział.

– I zapakować moje ciasto w papier.

– *Oui, Monsieur...*

– Cézanne.

Opowiadanie, fotografia i malowidło

Antoine Verlaque odłożył pióro i spojrzał na to, co właśnie napisał. Przed kilkoma miesiącami zaczął pisać opowiadania, po kilka akapitów za jednym razem. Nikt o tym nie wiedział. Pisał po angielsku, mimo, że nie był to jego język rodzimy, ale Verlaque był dwujęzyczny, poza tym zainspirowały go eseje o Samuelu Becketcie, który tworzył swoje sztuki nie w języku ojczystym, lecz po francusku.

Zrobiło się późno i Verlaque wiedział, że powinien już być w łóżku. Spojrzał na oprawioną fotografię na swoim biurku – czarno-białą, przedstawiającą jego i Marine. Zrobiła ją najlepsza przyjaciółka Marine, Sylvie, kiedy we trójkę spędzali wakacje na Île Sordou. Kiedy Sylvie skierowała na ich twarze obiektyw swojej małej leiki, Verlaque sądził, że używa ona kolorowego filmu – było lato, a oni znajdowali się na śródziemnomorskiej wyspie, przesyconej zieleniami i błękitami. Poprzedniej nocy szalała burza i niebo – co rzadkie w lecie – zachmurzyło się, a na morzu były spore fale. Dlatego też Sylvie, która odnosiła sukcesy w dziedzinie fotografii, mądrze wybrała czerń i biel. Czubki ich głów nie były widoczne, co dodawało portretowi intensywności. Oglądający zdjęcie, zamiast koncentrować się na ich włosach czy na tle, musiał się przyjrzeć ich twarzom. Oboje byli roześmiani. Jako dziecko Antoine Verlaque rzadko uśmiechał się na fotografiach, ku wielkiemu rozczarowaniu jego ukochanej babci, Emmeline. Teraz wiedział, dlaczego był taki poważny – aby pokazać rodzicom, że czuje się nieszczęśliwy. M. i Mme Verlaque nie dawali swoim dwóm synom miłości i czułości, której chłopcy tak rozpaczliwie potrzebowali. Nie wiedział, czy zauważyli pozbawioną wyrazu twarz swojego syna na rodzinnych zdjęciach, ale na pewno dostrzegali ją Emmeline i Charles, dziadkowie ze strony ojca.

Wpatrywał się w twarz Marine na zdjęciu i próbował coś z niej wyczytać. Czy była nieszczęśliwa? Śmiała się, ale zawsze się śmiała w obecności Sylvie. Kiedy zaczęli się spotykać, towarzystwo tej przyjaciółki zawsze było mu solą w oku – odczuwał zazdrość o głęboką więź i zażyłość, jakie łączyły te dwie kobiety. Minał rok, zanim uświadomił sobie, że Marine potrzebowała szaleństwa Sylvie, by zrównoważyć własny spokój i życzliwą bezinteresowność. Verlaque z czasem docenił Sylvie, a nawet ją pokochał, gdy uświadomił sobie, że są do siebie podobni: apodyktyczni, uparci i w jakiś dziwny sposób rywalizujący o miłość i uwagę Marine. Tamten tydzień

na Sordou nauczył go, że Sylvie nie stanowi zagrożenia. Tak naprawdę Marine była silniejsza niż każde z nich i trzeba było zarówno Sylvie Grassi, jak i Antoine'a Verlaque'a, by zrównoważyć nieugięty i uczciwy charakter Marine Bonnet.

Wstał i zamknął notes, po czym wyłączył lampę na biurku. Jutro zacznie się nowy dzień, a on zrobi wszystko, by naprawić relację z Marine. Spodoba jej się historia starego René i jego rzekomego obrazu Cézanne'a. Verlaque wszedł do łazienki, by się przebrać, i przypomniał sobie, że ojciec Marine, doktor Anatole Bonnet, jest wielbicielem tego malarza. Może więc zaprosić Marine i jej rodziców na kolację.

Zaczął rozpinać koszulę, a jednocześnie wpatrywał się w duży, czarny, chropowaty obraz. Za każdym razem, kiedy to robił, dostrzegał w nim coś nowego. Dzisiaj dostrzegł grube pociągnięcia pędzla artysty, przecinające pionowo ogromne płótno, a potem krzyżujące się ze sobą, przypominały Verlaque'owi nagie gałęzie platanów w zimie. Kiedy usłyszał z kuchni dzwonek telefonu, przebiegł przez hol i chwycił telefon po czwartym dzwonku.

– *Oui* – odezwał się, zapinając koszulę z powrotem i trzymając telefon między policzkiem a ramieniem. Z jakiegoś powodu wiedział, że nie pójdzie prosto do łóżka, lecz będzie musiał wyjść. Miał nadzieję, że dzwoni Marine.

– Przepraszam, Antoine – wyszeptał Pierre.

– Co się stało, Pierre?

– Nie jestem pewien. Nie chciałem budzić Jean-Marca...

– Więc obudziłeś mnie.

Pierre wziął głęboki oddech i szybko mówił dalej:

– No cóż, Jean-Marc musi być o ósmej rano w sądzie, a ty wspominałeś, że bierzesz wolne przedpołudnie.

– To prawda – odparł Verlaque. – I żartowałem, że mnie obudziłeś. Co się dzieje? Wydajesz się zaniepokojony.

– Tuż przed pójściem spać zauważyłem, że mój telefon miga – zaczął wyjaśnienia Pierre. – Nie słyszałem, kiedy dzwonił podczas spotkania klubu. To była wiadomość na sekretarce, od René...

– Gościa od obrazu...

– Właśnie. Był przestraszony i szybko szeptał do telefonu. Miał pewność, że ktoś go śledził wzdłuż Boulegon, a teraz ktoś stoi za drzwiami i go podsłuchuje.

– To niepokojące – odparł sędzia. – Nie sprawiał wrażenia, że jest człowiekiem, który lubi przesadzać albo cierpi na paranoję.

– Też tak sądzę. Właśnie próbowałem do niego dzwonić, ale nie odpowiada. Dlatego zaraz wychodzę. Muszę to sprawdzić. Zastanawiałem się...

– Czy pójde z tobą? – powiedział Verlaque, chwytając klucze z lady kuchennej i zdejmując z wieszaka płaszcz.

– Rue Boulegon – pośpiesznie odparł Pierre. – Dzięki!

Verlaque zbiegł cztery piętra w dół kręconymi schodami wykładanymi terakotą. Wiedział, że dotrze do rue Boulegon wcześniej niż Pierre, i miał nadzieję, że ten wciąż ma klucz od drzwi wejściowych. Kiedy skręcił w lewo, w rue Campra, pomyślał, że może René Rouquet po prostu zasnął i nie słyszał telefonu.

Dochodziła już pierwsza w nocy i Verlaque wyobraził sobie – jak zwykle, kiedy szedł przez miasto późną porą – że centrum Aix prawie się nie zmieniło od czasów Cézanne’a. Latarnie uliczne były teraz elektryczne, a nazw sklepów nie malowano już *à la main*, lecz budynki były takie same, podobnie jak wąskie ulice. Ludzie byli teraz pogrążeni we śnie, podobnie jak mieszkańcy Aix o pierwszej w XIX wieku. Kto sypiał w jego mieszkaniu? Ile rodzin tam mieszkało, zanim kupił to duże siedemnastowieczne lokum? Kiedy wszedł w jego posiadanie, składało się ono z pięciu małych, wysokich pokoi. Jego architekt usunął jak najwięcej ścian, by uzyskać duży loft z jedną sypialnią. Co poprzedni mieszkańcy pomyśleliby o zmywarce ze stali nierdzewnej? Albo o łazience ze szklaną ścianą?

Kiedy skręcił w Boulegon, usłyszał, że ktoś za nim biegnie. Obok niego pojawił się Pierre, który pochylił się i gwałtownie łapał powietrze z rękoma opartymi o kolana.

– Jak dotarłeś tutaj tak szybko?

– Biegłem – odpowiedział Pierre, pokaszując.

– Mam nadzieję, że masz klucze do frontowych drzwi.

Pierre poklepał swoją tylną kieszeń.

– Przypadkiem je zatrzymałem.

– Chodźmy zatem – powiedział sędzia, kiedy mijali osłonięte żaluzjami sklepy.

– Tak się martwię – odezwał się Pierre, który wciąż jeszcze nie odzyskał oddechu.

– Nic mu się nie stało – odparł Verlaque. – Czy on pije?

– Okazjonalnie – poinformował go Pierre. – Nie pije tygodniami, a potem upija się w barze Zola. Dlaczego pytasz?

– Ponieważ mógł wypić kilka drinków na uspokojenie i teraz mocno śpi.

Pierre mruknął coś w odpowiedzi.

Rue Boulegon przestała już być elegancką ulicą, przy której mieszkali ekscentryczni artyści, tak jak działo się to na przełomie wieków. Teraz królowały tutaj stoiska z kebabem, sklepy z tanią żywnością albo z biżuterią z Indii i z Afryki oraz rozmaite firmy, których właściciele nie mogli sobie pozwolić na czynsz gdziekolwiek indziej.

– Zawsze lubiłem Boulegon – powiedział Pierre. – Brakuje mi jej.

– Wiem, co masz na myśli – odpowiedział Verlaque, wyczuwając, że jego zdenerwowany przyjaciel chce porozmawiać o czymś neutralnym. – Każde

miasto powinno mieć taką ulicę, chociaż obawiam się, że jej czas się kończy.

Pierre właśnie chciał ponarzekać na rosnące czynsze i umiędzynarodowienie sklepów w Aix, ale zamiast tego wyciągnął z kieszeni klucz, który pozwoli im wejść pod numer dwadzieścia trzy. W głowie rozbrzmiewała mu dramatyczna wiadomość od René i po omacku próbował otworzyć drzwi, przez które przechodził codziennie przez lata. Popchnął klucz i obrócił go trzeci raz. Ciężkie drewniane drzwi w końcu ustąpiły i weszli do holu. Pierre zawsze wyczuwał w nim zapach kurzu i nie inaczej było dzisiejszej nocy, lecz dołączyło do tego coś innego, coś jakby woń wilgotnego drewna.

Verlaque gestem pokazał Pierre'owi, by zgasił lampę w holu. Wystarczająca ilość światła wpadała przez naświetle nad frontowymi drzwiami, a Verlaque wyjął swoją nową komórkę i użył jej jako latarki. Szybko wspięli się po schodach – znacznie węższych niż w kamienicy Verlaque'a, która miała wyższy standard. Zatrzymali się przed drzwiami René.

– Światło – wyszeptał Pierre, wskazując na jasną strużkę pod nimi. – I kogoś słyszać w środku.

Verlaque położył palec na ustach. Podniósł telefon i udając, że wybiera numer, pokazał Pierre'owi, by zadzwonił do listonosza.

Pierre wyjął komórkę i wybrał domowy numer starszego człowieka. Po kilku sekundach usłyszeli dźwięk telefonu. Odgłosy szurania w mieszkaniu ustały.

Sędzia ruszył w kierunku drzwi, sygnalizując to, o czym obaj mężczyźni wiedzieli – w mieszkaniu znajdował się intruz, w przeciwnym razie gospodarz odebrałby telefon. Verlaque sądził, że przy odrobinie szczęścia drzwi mogły nie być zamknięte na zamek, ponieważ intruz mógł nie pomyśleć o tym, by je zamknąć. Sędzia położył rękę na starej gałce na drzwiach i powoli ją obrócił. Drzwi ustąpiły.

Zanim zdołał powstrzymać przyjaciela, ten w panice wbiegł do środka i wykrzyknął imię swojego dawnego sąsiada.

– Pierre! – zawołał Verlaque.

Drzwi naprzeciw dawnego mieszkania Pierre'a otworzyły się i pojawił się w nich młody mężczyzna w pizamie. Przetarł oczy i zapytał:

– Co się dzieje?

– Policja – odparł Verlaque. – Proszę wrócić do środka.

Usłyszał, jak mężczyzna mruczy coś do kobiety o imieniu Françoise, szybko zamykając drzwi.

Verlaque spojrzał na pokój dzienny René. Starszy człowiek, przypuszczalnie gospodarz, leżał na podłodze obok kominka. Sędzia dostrzegł krew na wytartym dywanie i zauważył, że kominek został wykonany z pomarańczowego marmuru z Mont Sainte Victoire. Pierre

kłęczał z palcem wskazującym i środkowym na szyi Rouqueta, od razu bowiem przypomniał sobie to, czego jako nastolatek dowiedział się na szkoleniu z Czerwonego Krzyża. Verlaque stał w drzwiach i wzywał pogotowie.

Pierre poczuł teraz leśny zapach, przenikający klatkę schodową, kiedy tu wchodzili. To były perfumy... Powoli się obrócił i jak sparaliżowany, zaczął się wpatrywać w jeden punkt. Verlaque spojrział znad swojego telefonu komórkowego i zobaczył stojącą przy oknie czwartą osobę w tym pokoju.

– Proszę, nie róbcie mi krzywdy – odezwała się po angielsku.

Pierre rzucił szybkie spojrzenie swojemu przyjacielowi.

– Ja tego nie zrobiłam – powiedziała, wskazując na ciało René.

Verlaque podniósł dłonie i powoli do niej podszedł. Była jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie kiedykolwiek widział. Kilkanaście centymetrów wyższa zarówno od niego, jak i od Pierre'a, szczupła ciemnoskóra kobieta o nieskazitelnej cerze i wysokich kościach policzkowych modelki z wybiegu. Jej oczy miały kształt migdałów i kolor miodu, a włosy były ułożone w duże afro. Nie ozdobiła jej żadna biżuteria, ale też ona tego nie potrzebowała. Miała na sobie wielokolorowy klasyczny płaszcz Missoniego, który wskazywał na dobry gust, bogactwo i odwagę właścicielki.

Powoli odwróciła się w stronę kuchni i wtedy obaj mężczyźni zobaczyli, że panuje tam bałagan, szafki i szuflady są pootwierane, a ich zawartość wysypuje się na zewnątrz.

– Mówię po angielsku – odezwał się Verlaque. – Nazywam się Antoine Verlaque, jestem sędzią śledczym w Aix. To mój przyjaciel, Pierre Millot...

– On już tak leżał, gdy weszłam – przerwała, jęknąc i wskazując na ciało. – Drzwi były uchylone i po prostu weszłam.

– Kim pani jest i co pani robi w mieszkaniu René Rouqueta? – krzyknął Pierre.

Piękność – jak Verlaque będzie ją później nazywał – zrobiła krok do przodu i wyciągnęła przed siebie drżącą dłoń. Antoine Verlaque potrząsnął nią.

– Wciąż nam pani nie powiedziała, co tutaj robi – odezwał się.

– Nazywam się Rebecca Schultz – odparła, przechodząc na prawie doskonały francuski. – Wykładam historię na Uniwersytecie Yale.

5

Herbata od sąsiadów

Mieszkanie Rouqueta po raz pierwszy, odkąd je kupił w roku 1960, wypełniali ludzie. Eric i Françoise Legendre szybko się przebrali i rozdawali teraz kubki z herbatą, z których każdy był inny. Policja przybyła wkrótce po karetce i zaczęła oznaczać mieszkanie jako miejsce zbrodni.

Doktor Agnès Cohen, trzymając ręce na biodrach, pochyliła się nad ciałem Rouqueta.

– Myślałem, że o tak późnej porze przyjedzie Bouvet – powiedział Verlaque do pani koroner, która była niewiele młodsza od niego i miała na sobie drogie jasnoniebieskie okulary, a jej przedwcześnie posiwiałe włosy były ostrzyżone krótko i schludnie.

Doktor Cohen uśmiechnęła się.

– Wszystko według starszeństwa – odparła. – To ja odbieram późne telefony. – Spojrzała na Rebecę Schultz, która siedziała w kącie i piła herbatę, wpatrując się w ścianę. – Poważna podejrzana – wyszeptwała.

Verlaque wzruszył ramionami, nie mając zamiaru odpowiadać.

– Jak umarł M. Rouquet?

Doktor Cohen przyklęła.

– Uraz głowy.

Verlaque spojrział na marmurowy kominek, podobnie jak pani doktor, która powiedziała:

– Według mnie w trakcie upadku uderzył w róg kominka.

– Pewnie został popchnięty – powiedział Verlaque. – A może był pijany?

Doktor Cohen przecząco pokręciła głową.

– Trzeba popchnąć kogoś z wielką siłą, żeby tak upadł – wyjaśniła. – Ale on był stary i wygląda na człowieka słabego zdrowia, co nie ułatwia nam rozwiązania problemu.

– Czas? – dopytywał się sędzia.

Usiadła na podłodze, podciągając kolana pod piersi i dokładniej przyjrzała się zwłokom. Jej pozycja wydała się Verlaque'owi dziwna, odpowiednia raczej na plaży niż przy zwłokach, ale wszystko to działo się w środku nocy.

– Bardzo niedawno – stwierdziła. – Nie więcej niż dwie lub trzy godziny temu.

– Dziękuję – powiedział. Wyciągnął rękę, by pomóc jej wstać.

– Poinformuję pana, jeśli dowiem się czegoś więcej po zbadaniu ciała w kostnicy.

– Dziękuję – powtórzył.

– Już pan to mówił – rzekła doktor Cohen, wkładając płaszcz. – Ale doceniam. Bouvet nigdy nie mówi „dziękuję”.

Verlaque podszedł do Pierre’a, który siedział na chwiejnym drewnianym stołku barowym, powiedział mu „dobranoc” i poradził, żeby postarał się zasnąć. Pierre powoli zsunął się ze stołka, podszedł do drzwi, otworzył je i rzucając ostatnie spojrzenie na swojego byłego sąsiada, wyszedł. Verlaque przesunął krzesło w stronę Rebeki Schultz.

– Jeśli odpowie pani na wszystkie moje pytania, to będzie pani mogła wrócić do swojego hotelu i nie trafi pani do aresztu – powiedział.

Doktor Schultz nie kryła zaskoczenia.

– Nie sądzi pan chyba, że ja to zrobiłam – odparła, ruchem głowy wskazując na ciało.

– Może zatem powinna mi pani powiedzieć, co pani robiła w mieszkaniu starszego człowieka po północy? I będę mówił po angielsku, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu.

Chciał usłyszeć jej część historii w jej ojczystym języku. Od razu pomyślał o Beketcie.

– Dobrze znam francuski.

– Wiem.

Westchnęła.

– Jestem specjalistką w dziedzinie twórczości Cézanne’a – zaczęła. – Ostatnich pięć lat pracy poświęciłam na badanie jego życia.

– Jego życia? – zapytał Verlaque. – A nie jego dzieł? Jest pani historykiem sztuki.

– Naturalnie, interesuje mnie i jedno, i drugie – odparła. – Ale dostałam zlecenie na napisanie jego biografii. Biografie są teraz bardzo modne. Sprzedają się dużo lepiej niż książki historyczne.

Verlaque uśmiechnął się lekko, ponieważ był wielkim wielbicielem biografii.

– Wie pani, że dom pod numerem dwadzieścia trzy przy rue Boulegon był ostatnim miejscem zamieszkania artysty.

Skinęła głową i łyknęła trochę herbaty.

– Zameldowałam się w hotelu przy rue Cardinale około siedemnastej, wzięłam prysznic i przeszłam się po Aix, idąc śladami tych płytek z brązu z literą „c”, zatopionych w chodnikach miasta. Tak na marginesie, kilku z nich brakuje.

– Zostały skradzione.

Rebecca Schultz znów westchnęła.

– Niewiarygodne.

– I nie przyszła pani od razu na Boulegon? – dziwił się Verlaque. –

Biorąc pod uwagę, że Cézanne tu umarł.

– Zostawiłam to sobie na koniec – odparła. – Jak najlepsze cukierki w dzieciństwie. Rozumie pan?

Verlaque skinął głową.

Kobieta mówiła dalej:

– Po spacerze po Aix zatrzymałam się na marokańską kolację przy rue Van Loo. To było tuż przez dwudziestą.

– Van Loo? – dopytywał Verlaque. – To poza utartymi szlakami.

Znał tę restaurację – nie należała ona do tych, które z łatwością odnajdowali czy wybierali turyści.

– Cézanne wziął ślub w kościele Sextius – odpowiedziała. – Chciałam wejść, ale był zamknięty, najwyraźniej z powodu kradzieży – spojrzała na Verlaque’a, jak gdyby to on ponosił winę za postępowanie swoich rodaków.

– I wtedy zauważyłam coś, co wyglądało na uroczą północnoafrykańską restaurację. Małe wnętrze, ręcznie pisane menu, piękna marokańska zastawa na stołach. Bywałam w Aix wystarczająco często, by wiedzieć, że niełatwo tu znaleźć dobrą restaurację.

– Czy personel restauracji będzie panią pamiętał?

– Tak, oczywiście.

Verlaque nic więcej nie mówił, czekał, by sama wyjaśniła, dlaczego. Mogli ją tam zapamiętać przede wszystkim z powodu jej egzotycznej urody, której z pewnością była świadoma.

– Będą pamiętać, ponieważ tę restaurację prowadzi para, z którą dość szczegółowo omawiałam jedzenie, zwłaszcza desery. Jeden – nie pamiętam jego nazwy – był zrobiony z daktyli. Kobieta – a to ona gotowała – właśnie przygotowywała w kuchni kolejną partię i zaprowadziła mnie tam, żeby mi to pokazać.

– O której pani wyszła?

– Chwilę po dwudziestej pierwszej, wróciłam do hotelu i padłam na łóżko. Ale obudziłam się około północy – ludzie mieszkający obok właśnie wrócili i tłukli się po pokoju – więc się ubrałam i wyszłam na spacer. Naturalnie skierowałam się na rue Boulegon, tak jakby nogi same mnie tam poniosły. Wiedziałam, że powinnam ją zobaczyć następnego dnia, w świetle, ale nie potrafiłam trzymać się od niej z daleka.

– Czy zadzwoniła pani na dole? – chciał wiedzieć sędzia.

Doktor Schultz wzniosła oczy ku górze.

– Nie, oczywiście że nie. Opierałam się o sklep naprzeciwko i wpatrywałam się w dom Cézanne’a. Próbowałam sobie wyobrazić jego życie na tej ulicy, w tych pokojach. Właśnie miałam wrócić do hotelu, kiedy go zobaczyłam.

– Zmarłego?

– Nie. Niskiego, łysego faceta, który wybiegł z budynku, trzymając w rękach coś, jak lustro czy obraz w rękach, owinięte w narzutę.

Verlaque pomyślał, że słowo „niski” opisuje połowę mężczyzn w jego klubie palaczy cygar. Doktor Schultz wskazała na ścianę, w którą wpatrywała się wcześniej. Nad kanapą widniał zarys obrazu.

– Wyobrażam sobie, że ten mężczyzna niósł malowidło, które tu wcześniej wisiało.

– To brzmi prawdopodobnie – stwierdził Verlaque, patrząc na puste miejsce na ścianie. – Ale M. Rouquet nie trzymałby na ścianie drogiego obrazu. Był emerytowanym listonoszem. Dlaczego złodziej miałby ukraść tanie malowidło, będące w posiadaniu starszego człowieka z mizerną emeryturą?

– Ma pan pewność, że to tanie malowidło? – zapytała dr Schultz. – W swojej karierze widywałam dziwnych kolekcjonerów sztuki.

Verlaque wskazał na pokój.

– Proszę się rozejrzeć – powiedział.

– A jednak...

– Nie powiedziała mi pani, dlaczego weszła do mieszkania.

– Ciekawość. I to, że właśnie byłam świadkiem kradzieży. Mówię po francusku, często tu przyjeżdżam i kocham to miasto, więc pomyślałam, że mogę pomóc.

Verlaque pomyślał, że powinien polecić Alainowi Flamantowi, jednemu z jego sierżantów, by sprawdził daty poprzednich wizyt doktor Schultz we Francji.

– Weszła pani zatem do mieszkania, ale nie zadzwoniła ani na policję, ani na pogotowie, kiedy zobaczyła pani leżącego tutaj M. Rouqueta.

– Właśnie miałam to zrobić – odparła. – Ale nie wzięłam ze sobą swojej amerykańskiej komórki, a jego telefon domowy znalazłam dopiero potem. –

Zatrzymała się, po czym mówiła dalej: – Kiedy zadzwonił telefon, zanim panowie weszli, znalazłam go pod stertą gazet – wskazała na przeciwległy kąt pokoju i Verlaque dostrzegł tam mały ratanowy stolik z lat sześćdziesiątych, a na nim czarny kabel telefoniczny, który zwisał z blatu i zniknął pod listwą przypodłogową.

Verlaque spojrział na Piękność i domyślił się, że przygotowała swoją przemowę, gdy on zajęty był policją i dr Cohen. Pani historyk sztuki miała wystarczająco dużo czasu, by z miejsca, w którym siedziała, popijając herbatę, rozejrzeć się po pokoju i dostrzec stolik z telefonem ukrytym pod gazetami.

– To my dzwoniliśmy – powiedział w końcu. – Zza drzwi. Ale mój przyjaciel, Pierre, wspominał, że próbował się dodzwonić już wcześniej, zanim przyszlismy, i nikt nie odpowiadał.

– To musiało być, zanim tu przyszłam – odparła. – A wątpię, by łysy zbir odebrał telefon.

– A czy mieszkanie było już w takim stanie, kiedy pani tu przyszła? – zapytał.

– Oczywiście – odpowiedziała. – Czego miałabym szukać w mieszkaniu starszego pana?

– Być może pani też pojawiła się tutaj, żeby coś ukraść – rzekł Verlaque.

– Mimo, że to mieszkanie leciwego człowieka. Sama pani mówiła, że niektórzy kolekcjonerzy sztuki są dziwni.

6

Paul

Kiedy wkraczał do miasta, myślał o tym, jak inaczej potoczyłoby się jego życie, gdyby podążył za swoim pierwszym marzeniem, żeby być poetą. Fizycznie bez wątpienia byłoby to łatwiejsze, poeci bowiem nie muszą przemierzać okolicy ze sztalugą i farbami przytroczonymi do pleców. Potrzebują tylko pióra i notesu, mogą pracować w domu, prawie wszędzie. Ostatni raz, kiedy widział Zolę w Paryżu, zauważył, że jego stary przyjaciel nie chodzi tak dużo, jak kiedyś. Pisarze siedzą. I myślą.

On musiał chodzić. Uwielbiał to. Docierał do miejsc, w których kształty natury pokazywały mu, co umieścić na płótnie. Jak mógłby trafić do mostu Trois Sautets, nie chodząc pieszo? Albo do kamieniołomów Bibémus? Nie potrafiłby malować w mieście, jak niektórzy z jego przyjaciół. Budynki wprawdzie mogły się pojawiać w scenie, ale tylko w relacji do otaczających je naturalnych form. Nigdy nie budziły w nim specjalnego zainteresowania. Kiedy ostatni raz był w Paryżu, Monet pokazał mu serię płócien pokazujących tę samą scenę we wspaniałym domu w Bordighera, malowanych w różnych porach dnia. Wiedział, że był nieuprzejmy, kiedy zapytał Claude'a, jak udało mu się nie zasnąć z nudów, gdy dzień po dniu ustawiał sztalugi przed tym samym budynkiem. Westchnął głośno, ze wstydem przypominając sobie ich kłótnię i delikatne uwagi Claude'a przeciwstawione jego głośnym słowom wypowiedzianym z silnym prowansalskim akcentem.

Przyśpieszył kroku, wiedząc, że im wcześniej dotrze do aptekarza w Hôtel du Poët, tym więcej czasu zostanie mu na malowanie. To łączyło go z Claude'em, Auguste'em, Camille'em, a nawet z tym uczuciowym Holendrem, którego poznał przelotnie – przemożna potrzeba malowania. Kiedy przemyślało się jakąś scenę lub planowało kompozycję, trudno było się zająć czymkolwiek innym. To dlatego zaoferował, że odbierze lekarstwo dla ojca – chłopak, który zwykle załatwiał takie sprawy, dostał wychodne i wybrał się do swojej rodziny, ponieważ jego siostra chorowała. Po drodze Paul mógł obmyślić swoją kolejną kompozycję z widokiem na most w Gardanne. Jego ojciec – teraz bliski śmierci – w końcu zaakceptował decyzję syna o poświęceniu się malarstwu. Ale nie pogodził się ze związkim Paula z Hortense, nawet po narodzinach ich syna, Paula juniora. Hortense i Paul junior, teraz trzynastoletni, mieszkali w Marsylii, w domu, który dla nich wynajmował, podczas gdy sam mieszkał u ojca.

Wkrótce znów namaluje Paula, ale na razie jeszcze nie chciał spotkać się z Hortensją. Zawsze, kiedy byli razem, kłócili się. Ona tęskniła za swoją rodzinną Jurą, górami i bliskimi. I nawet kiedy mu pozowała do obrazu, nie interesowała się jego pracą

Widok nowej fontanny na placu de la Rotonde nie uszczęśliwił malarza. Pomyślał, że jest pretensjonalna. Co się dzieje w tym małym mieście? Czy któregoś dnia to samo stanie się z Place Gambetta w Gardanne? I z polami buraków czy z drzewami oliwnymi? Ze stogami siana, tak wdzięcznymi obiektami do malowania?

Przeszedł obok grupy zamiataczy ulic, którzy właśnie mieli przerwę i opierali się na swoich miotłach, a potem obok szlifierza noży, który wykrzykiwał swoją ofertę w stronę pokojówki wyglądającej z okna na wyższym piętrze. Z zamyślenia wyrwało go *bonjour* wypowiedziane przez jakąś kobietę. Spróbował się uśmiechnąć i odpowiedział jej gestem ręki. Rozpoznał ją, tak jak rozpoznawał większość mieszkańców Aix. Była to żona sędziego, która najwyraźniej nie uważała go za szalonego, mimo, że paradował po Cours ze składaną sztalugą i pudełkiem farb przytroczonym do pleców. Inne kobiety się śmiały, a dzieciaki wytykały go palcami. Ale był do tego przyzwyczajony.

Przeszedł obok Café Oriental, potem minął Deux Garçons. Widok obu kawiarni sprawił, że zatęsknił za Zolą, który wkrótce miał opublikować następną książkę. Jej temat był owiany tajemnicą. Paul dostrzegł numer pięćdziesiąt pięć, gdzie mieszkał jako mały chłopiec, cała rodzina tłoczyła się wówczas w mieszkaniu nad sklepem z kapeluszymi należącym do jego ojca. Zanim ojciec przekwalifikował się na bankiera. Zanim stali się bogaci.

W końcu doszedł do krańca Cours, gdzie człowiek, który nie tylko orientował się w nowoczesnej medycynie i nauce, lecz także sporo wiedział o prowansalskich lekach ziołowych, miał aptekę w Hôtel du Poët. Rodzina Cézanne'a przychodziła do M. Alphérona od dziesięcioleci. Kiedy otwierał drzwi, rozdzwoniły się dzwony.

– *Mon cher*, Paul – przywitał go M. Alphéron, który wyszedł zza owalnej lady z orzecha włoskiego, by wziąć malarza w ramiona. Jego nowy asystent, nieśmiały chłopak, który właśnie uzyskał *license* w dziedzinie chemii, odwrócił się dyskretnie od tego widoku. M. Alphéron miał sześćdziesiąt trzy lata i obejmował mężczyznę czterdziestokilkuletniego, lub nawet starszego, z farbami na plecach. Ten mężczyzna, Paul, nie ubierał się tak, jak można by się spodziewać po Cézannie, właścicielu banku i pięknego domu na przedmieściach, Jas de Bouffan.

– Jak się miewa twój ojciec? – zapytał M. Alphéron, nie zdejmując ręki z pleców Paula.

– Cierpi – odparł młodszy mężczyzna. – Ale na szczęście w ciszy.

M. Alphéron się uśmiechnął. Wiedział, jak trudny potrafi być Cézanne senior. Wymagający, niecierpliwy, nieznoszący sprzeciwu.

– Mam złe wieści – mówił dalej. – Przygotowałem pierwszą porcję lekarstwa dla twojego ojca. Ale reszta musi poczekać do końca dnia, opóźniła się dostawa morfiny.

– No i takie właśnie jest moje szczęście! – wykrzyknął Cézanne. – Zamierzałem wybrać się do Gardanne, by malować.

– Przykro mi, Paul. Gdybyśmy zdecydowali się wreszcie przeprowadzić linię kolejową, tak by przechodziła przez Aix, tak jak zrobili to w Awinionie...

Cézanne podniósł swoją potężną dłoń w geście protestu.

– Dość już tego słyszałem. Mamy prawo bronić naszego miasta przed nadchodzącą industrializacją. Czy był pan ostatnio w Paryżu? Wszędzie tylko pociągi i dym. Całe miasto jest czarne od sadzy.

– Nigdy nie byłem w Paryżu, Paul – odparł M. Alphéron z uśmiechem.

Cézanne mówił dalej, jakby nie słyszał.

– A L’Estaque, gdzie malowałem spokojnie przez lata... proszę teraz na nie spojrzeć! Równie dobrze mogłoby być *quartier* Marsylii. Wzdłuż brzegu tłoczą się fabryki i kominy...

– Och, bardzo mi przykro to słyszeć. Ostatni raz, kiedy odwiedziłem twoich rodziców w Jas, pokazali mi trzy z twoich obrazów z L’Estaque. Wszystkie piękne.

Asystent starał się nie robić hałasu, kiedy wycierał z kurzu i przestawiał ciężkie ceramiczne słoje, wypełniające półki apteki M. Alphérona. Był w L’Estaque dwukrotnie i zobaczył tam tylko kilka rybackich łodzi, chaty rybaków i morze. Co, u licha, można tam było malować? A jeśli chodzi o Paryż, to marzył, by tam pojechać. Myślał o tym i w dzień, i w nocy.

– Och – chrząknął Cézanne. Był wdzięczny za komplement, ale nie umiał się do tego przyznać. – No cóż, nie możemy już nic więcej zrobić. Przyjdę później.

– Może wyruszysz dziś na północ od Aix? – zasugerował M. Alphéron. – Za moim domem *garrigue* wciąż ma jasnozieloną barwę, pomimo chłodu. I niebo jest błękitne.

Cézanne nie lubił sugestii, gdzie malować i co malować. Cały poprzedni wieczór myślał o moście w Gardanne. Ale skoro musi wrócić do apteki późnym popołudniem, to raczej nie ma wyboru.

– *Merci, mon ami* – odparł, ściskając dłoń M. Alphérona. – Posłucham pańskiej rady.

Pójdzie na północ od Aix, była to mniej mu znana część miasta. Na wzgórzach można było znaleźć piękne widoki gór i – jak zauważył aptekarz – niebo było błękitne.

*

Chociaż rodzina rozpaczliwie potrzebowała pieniędzy, Manon cieszyła się, że nie musi dzisiaj pracować. Zapakowała sobie drugie śniadanie –

trochę czerstwego chleba, plasterek kielbasy z dzika, którą uwędził jeden z jej szwagrów, i dwie suszone figi. Skieruje się na północną stronę Aix i będzie szła, aż się zmęczy. Oprócz posiłku miała w sukiennej torbie książkę o dzikich kwiatkach w Prowansji, którą podarował jej Émile Zola. Była zima, ale w jej ukochanym krajobrazie kwitły jakieś rośliny. Tak bardzo chciała, by jej miłość do roślin zapewniła jej pracę, desperacko pragnęła pasji, jaką Philippe darzył rzeźbą. Nawet jej siostra Isabella miała fioła na punkcie swoich drzew morwowych.

Manon spędziła dziś rano w domu więcej czasu, niżby chciała – jej matka potrzebowała pomocy przy ravioli. Przyszła też jej siostra, Clara, i Manon podsłuchiwała, co o niej mówią. Co się stanie z Manon? Czy kiedykolwiek wyjdzie za mąż? Dlaczego nie rozpacza po Jean-Auguście?

Szybko skierowała się w górę i opuściła miasto. Znała na pamięć każdy wytworny dom i każdy bardziej niepozorny. Jej brat, Philippe, zawsze jej mówił, że w połowie żyje w świecie natury, a w połowie w mieście. Tylko on się z niej nie śmiał, gdy potykała się o własne nogi, rozglądając się wokół i licząc cyprysy przed każdym domem lub zauważając, że rodzina pod numerem dziesiątym pomalowała okiennice na jasnoniebiesko. Kiedy była młodsza, martwiła się, że jej ciekawość naturalnego świata, ale też świata stworzonego przez człowieka, doprowadzi ją do szaleństwa. Ale im więcej czytała – Philippe wciąż ją zabierał do biblioteki w Hôtel de Ville – tym częściej dostrzegała, że pisarze i poeci, których czytywała, martwią się o to samo. Dlatego przestała się przejmować. Poza tym miała teraz trzydzieści lat, o czym Clara przypominała Mme Solari swoim niezbyt cichym szeptem. Manon przekroczyła już granicę i nigdy nie wyjdzie za mąż. Była więc wolna. Wolno jej było chodzić na spacer, przyglądać się kwiatom, muskać palcami rzeźby w Aix, kiedy tylko miała na to ochotę. A jeśli ludzie uważali, że jest szalona, nie miało to dla niej znaczenia, gdyż była za stara na to, by przejmował się tym jakkolwiek mężczyzna. A to, co powiedziała jej Isabella o przekroczeniu wieku dwudziestu pięciu lat, było prawdą.

– Zobaczysz – mówiła Isabella, pochylając się w stronę młodszej siostry w trakcie jednego z gwarnych rodzinnych obiadów – nikt nie patrzy na ciebie, kiedy masz ponad dwadzieścia pięć lat. Staniesz się niewidzialna.

Zanim się spostrzegła, Manon znalazła się na wsi. Szła przez rzędy winorośli, patrząc na niebo i Mont Sainte Victoire w oddali. Pomachała do właściciela winnicy, którego często widywała. Odpowiedział jej tym samym i wrócił do przycinania roślin. Poczula zapach dymu i zobaczyła, że na końcu jednego z rzędów winorośli palą się gałęzie ułożone w schludny stos. Poszła więc dalej, by nie czuć dymu w czasie jedzenia. Szybko przemierzyła mały las. Nie lubiła lasów, nawet w gorące lato. Przytłaczały ją i nie było tam żadnego widoku. Tylko jesienią i wczesną zimą, kiedy szukała grzybów razem z Philippe'em i szwagrami, czuła się w nich dobrze. Idąc przez las, zatrzymała się, zmrużyła oczy i przykładając dłoń do czoła, żeby

lepiej widzieć, zobaczyła go, oddalonego zaledwie o dwa metry, malującego z pasją.

Szybko się odwrócił i już miał narzekać, kiedy zobaczył młodszą siostrę Philippe'a.

– Monsieur Cézanne, przepraszam, że panu przeszkadzam – rzuciła pośpiesznie Manon i odwróciła się, by odejść.

– Może to ja pani przeszkadzam? – odparł Cézanne.

Manon próbowała się uśmiechnąć, ale była zbyt zdenerwowana, by coś odpowiedzieć. Oto Paul Cézanne, który wystawiał swoje obrazy w Paryżu. Rodzina Cézanne'ów była sławna, ojciec rozpoczął karierę, sprzedając kapelusze, a potem kupił bankrutujący bank. Philippe powiedział jej, że Cézanne'owie, pomimo swojego nowego bogactwa, nigdy nie zostaną przyjęci do grona arystokratów z Aix. Ale Manon i tak ich podziwiała. A Paul Cézanne był równie szorstki, jak jego ojciec.

– Ja tylko spaceruję, M. Cézanne.

– Ale, Mlle Solari, pani spaceruje z książką – rzekł Cézanne, wskazując na nią swoim pędzlem.

Manon spojrzała w dół, na swój przewodnik po dzikich kwiatkach, który wzięła ze sobą, by sprawdzić, jak się nazywają małe niebieskie kwiatki, wyrastające z kamienistej czerwonej ziemi pośród winorośli. Właśnie miała odpowiedzieć, kiedy spojrzała przed siebie i dostrzegła rozciągający się widok, który ją zuroczył. Mont Sainte Victoire połyskiwała w oddali na tle jasnoniebieskiego nieba. Wiejskie *cabanon* – zbudowane z chropowatego kamienia, z dachem z czerwonej dachówki i o doskonałych proporcjach – dumnie rozsiadło się na polu. Ale tym, co ją urzekło Manon, była ogromna sosna na pierwszym planie, majestatyczna jak sama góra.

– Domyślam się, dlaczego pan to maluje – powiedziała niemal szeptem.

Odszedł od płótna i Manon uznała to za znak, że może spojrzeć na jego obraz. Philippe opisywał jej twórczość swojego przyjaciela, obrazy, które, jak wiedziała, podobały się tylko nielicznym. Na początku dostrzegła jedynie plamy koloru, ale kiedy bardziej się przyjrzała, zobaczyła górę otoczoną szarymi, białymi, a nawet różowymi cieniami oraz *cabanon*, a nad tym wszystkim błękitne niebo.

– Monsieur, pan nie szkicuje najpierw węglem? – zapytała, nadal wpatrując się w płótno.

– Nie – odparł malarz. – Nigdy tego nie robiłem. Jestem niecierpliwy i chcę od razu uchwycić kształt.

– Zanim zniknie – dodała Manon.

Cézanne spojrzał na nią zaskoczony. Mówiła jak ktoś, kto studiował sztukę, jak żona Claude'a w Paryżu, a nie jak młoda kobieta z Prowansji, pracująca w piekarni. A już na pewno nie jak Hortense. Ale Manon Solari w każdym calu wyglądała jak mieszkanka Prowansji, miała na sobie wielowarstwowe spódnice, wierzchnią z bawełny w niebieskie i białe paski,

wełnianą czapczkę i chodaki.

– *Ah, oui* – rzekł w końcu. Wskazał dłonią na rozciągający się przed nimi widok. – Zanim to wszystko zniknie.

Jabłka i gruszki Cézanne’a

Mieszkanie należało kiedyś do Paula Cézanne’a, ale dziś nie pozostał nawet ślad po malarzu. Wysokie sufity wciąż miały odlewane sztukaterie, a podłogi – na szczęście – nadal były wyłożone sześciobocznymi płytkami, *tomettes*, ale resztę mieszkania wyposażył ktoś ze złym gustem. Każdy pokój miał na ścianach inną tapetę, w większości z wzorem liści, poza sypialnią, gdzie na ścianach królował motyw bambusów, tak popularny w latach siedemdziesiątych.

Paulik wyszedł z sypialni, zabałaganionej jak reszta apartamentu, i spojrzął na sufit pokoju dziennego, gdzie, jak sobie wyobrażał, mógł kiedyś wisieć elegancki, mały żyrandol. Na jego miejscu znajdował się pięcioramienny pająk ze stali nierdzewnej, z żarówkami umieszczonymi w żółtych plastikowych kulach. Komisarz lubił stare przedmioty – najbardziej te z XVII i XVIII wieku – i chociaż wiedział, że design z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych stał się teraz bardzo popularny w Paryżu, miał jednak pewność, że wyposażenie tego mieszkania nigdy nie trafiłoby do galerii przy rue Bonaparte. Ale miało ono potencjał i w jeden weekend on i jego żona, Hélène, mogliby je zamienić w cudo – zerwaliby tapety i pomalowali ściany na białą (Hélène, wbrew jego woli, pomalowała jadalnię na „błękit wedgwood”, a jego w końcu to zachwyciło), kupiliby używane lampy w internecie i przeszukali sklepy z wyposażeniem wnętrz przy Route de Cèlony, które oferowały stare gałki do drzwi, rolety i dziewiętnastowieczne elementy hydrauliczne. Prawie roześmiał się na głos, myśląc o tym, jak inne byłoby jego życie, gdyby nie został policjantem, tylko projektantem wnętrz.

– Wejdz, Pierre – powiedział jego szef, Antoine Verlaque, do jasnowłosego, szczupłego i dobrze ubranego mężczyzny stojącego w przejściu.

– Mam nadzieję, że się na coś przydam – odezwał się Pierre Millot, wchodząc do pokoju dziennego.

Verlaque przedstawił komisarza swojemu przyjacielowi, księgarzowi.

– Jeszcze przed kilkoma miesiącami Pierre mieszkał tu obok – wyjaśnił – w mieszkaniu o takim samym rozkładzie jak to. Pierre był jednym z ostatnich ludzi, którzy rozmawiali z René Rouquetem. Czy oficerowie przepytывali pozostałych mieszkańców?

– Tak – potwierdził Paulik. – Poznaliśmy ich nazwiska i zawody dzięki

Mme Chazeau z L'Agence de la Ville, która prowadzi ich syndicat. Para obok nie słyszała nic, aż do czasu, gdy przyszedł pan z panem Pierre'em. Ludzie ci zeznali, że wypili butelkę wina do obiadu i że na ogół mocno śpią. Usłyszeli pana tylko dlatego, że on musiał iść do toalety. Poniżej znajduje się duże mieszkanie, należące do właściciela, który mieszka w Brukseli. Jeszcze niżej są dwa małe mieszkanie wynajmowane przez studentki. Jedna z nich w ostatni weekend wybrała się z wizytą do rodziców, a druga bawiła się w klubach do czwartej rano. Te mieszkania należą do... – Paulik kartkował swój notes – do Mme Philomène Joubert. Mieszka przy rue...

– Cardinale – dokończył Verlaque. – Śpiewa w chórze w Saint Jean de Malte razem z matką Marine. A mieszkania na parterze?

– Na lewo od drzwi wejściowych jest gabinet podologa – odpowiedział Paulik.

– Doktora Pitavy – dodał Pierre.

– A na prawo? – chciał wiedzieć Verlaque.

– Tam jest duży magazyn – powiedział Paulik. – Mme Chazeau poinformowała mnie, że korzysta z niego sklep odzieżowy – przechowuje tam dodatkowy towar. Właścicielem był René Rouquet.

Verlaque rzekł:

– Szczęściarz, że miał taką rupieciarnię. – Każdy centymetr powierzchni w centrum Aix był na wagę złota. Kiedyś prawie kupił mieszkanie, ale dowiedział się od właścicieli, że oferta nie obejmuje stumetrowego magazynu w piwnicy, chyba że dopłaciliby za niego sześćdziesiąt tysięcy euro.

– Pierre – zapytał Verlaque – czy Mme Chazeau organizuje spotkania właścicieli mieszkań?

– Tak, owszem.

Verlaque postanowił do niej zadzwonić. Poza wszystkim była też matką jego dobrego przyjaciela, który właśnie przeprowadził się do Paryża.

– Dobrze. Szukamy zwiniętego portretu kobiety. Pierre powiedział mi o nim wczorajszego wieczoru, po spotkaniu klubu palaczy cygar.

– Myślałem, że pani profesor z Yale widziała faceta wybiegającego z nim z budynku? – upewniał się Paulik.

– Pani profesor twierdzi, że ten facet wybiegł z czymś, co wyglądało na oprawiony obraz – odpowiedział Verlaque. – Pierre widział malowidło, o które tak się martwił Rouquet, i nie było ono oprawione.

– Jeśli tylko pani profesor mówiła prawdę. – rzekł Paulik. – Gdzie ona teraz jest?

– W hotelu – odparł Verlaque. – Poinstruowałem ją, żeby nie opuszczała kraju, dopóki jej nie powiem, że może to zrobić.

Wcześniej poprzedniego wieczoru Verlaque odprowadził Rebeccę Schultz do hotelu, chociaż dwaj inni policjanci ochoczo zaoferowali, że to zrobią.

– Sądząc ze stanu mieszkania – powiedział sędzia – złodziej szukał

obrazu, zanim zdjął malowidło ze ściany.

– Albo zrobiła to pani profesor – zasugerował Paulik.

Verlaque zignorował tę uwagę i mówił dalej:

– Pierre, czy pamiętasz, co tutaj wisiało, w tym pustym miejscu nad kanapą?

Pierre podrapał się po brodzie i powiedział:

– Tak, myślę, że tak. To był obraz olejny przedstawiający Mont Sainte Victoire. Współczesny. René wygrał go na bożonarodzeniowej loterii organizowanej przez miasto. Nie był zły – namalowany przez Holenderkę, która przez jakiś czas mieszkała w Prowansji. Miała szczyptę talentu, ale...

– Czy złodziej mógł to pomylić z prawdziwym dziełem sztuki?

Pierre się roześmiał. Ani Paulik, ani Verlaque się nie odzywali i Pierre w końcu powiedział:

– Myślę, że niektórzy złodzieje nie zauważąliby różnicy.

– A przynajmniej nie miejscowi – zauważył Verlaque.

– Ale po co zabierać obraz ze ściany i nadal przeszukiwać całe mieszkanie? – chciał wiedzieć Paulik. – Złodziej czy morderca, na pewno od razu zobaczył malowidło z Mont Sainte Victoire. To kolejna rzecz, o którą należy zapytać doktor...

– Schultz. Rebecę Schultz.

– Powinien pan ją zobaczyć – odezwał się Pierre.

– To nie ma nic do rzeczy – rzekł sędzia.

– Och, doprawdy? – zapytał Paulik, patrząc na Pierre'a.

– Jest afroamerykańską pięknoscą – wyjaśnił Pierre. – Wygląda jak modelka z wybiegu, która nagle postanowiła być piosenkarką pop. Niezwykłe.

– Bruno słucha wyłącznie opery – powiedział Verlaque z uśmiechem. –

Dobrze, gdzie zaczynamy poszukiwania? – zapytał, wręczając pozostałym mężczyznom bawełniane rękawiczki.

– Pod łóżkiem? – zasugerował Pierre. – Może za szafą? Przepraszam, nigdy tego nie robiłem, myślę o najbardziej oczywistych miejscach.

– Skrytka bankowa? – proponował Paulik.

– Nie – rzekł Pierre. – René nie znosił banków.

– Gdzie znalazł obraz? – chciał wiedzieć komisarz.

Verlaque spojrział na Pierre'a, który odpowiedział:

– Nie mówił mi o tym, a ja nie pomyślałem o tym, żeby zapytać.

– To bardzo dziwne, że mieszkał tutaj od pięćdziesięciu lat, a dopiero teraz trafił na malowidło. – Verlaque rozejrzał się po pokoju dziennym, przyjrzał się posadzce z płytek ceramicznych, listwom przypodłogowym, starając się znaleźć jakieś luźne elementy. Ale policjanci już przeszukali mieszkanie dziś rano i nie znaleźli niczego niezwykłego.

– O tym samym pomyślałem – odezwał się Pierre. – Ale takie rzeczy

zdarzały się już wcześniej, prawda? Ludzie znajdowali Renoiry na strychach, Monety w piwnicach.

– Równie dobrze mógłby to być falsyfikat – zauważył Verlaque. – Nawet namalowany przez Rouqueta. Czy on malował?

Pierre wzruszył ramionami.

– Nic mi o tym nie wiadomo, ale nie znałem go aż tak dobrze.

– Gdyby malował – zastanawiał się głośno Paulik – zwłaszcza tutaj, znaleźlibyśmy ślady. Plamy farby i tym podobne.

– Każdy z nas zajmie się jednym pomieszczeniem i będzie uważał, by niczego nie zmieniać – zarządził sędzia. – Obraz może być zwinięty, ale może też leżeć płasko. Nie jest bardzo duży, prawda, Pierre?

– Zgadza się – przytaknął Pierre. Rozłożył przy tym dłonie na odległość około trzydziestu centymetrów.

Paulik podszedł do dużego regału, którego półki uginały się pod ciężarem książek, i od razu przeszedł do części „z”.

– Émile Zola – powiedział Verlaque. – Najlepszy przyjaciel Cézanne’a. Dobra myśl.

Paulik wsunął dłoń za książki Zoli. Nic.

– Tu nic nie ma – wymamrotał.

Verlaque wszedł do kuchni i otworzył szafki. On i Marine właśnie obejrzeni film Good Bye Lenin! i pamiętał wzruszającą scenę, kiedy siostra znajduje dawno zagubiony list, wsunięty za tylne ściany szafek. Szafki Rouqueta wyglądały tak samo tandetnie jak te z czasów komunizmu w filmie. Verlaque delikatnie przesunął dłoń, odzianą w rękawiczkę, po tyle każdej szafki, ale nie znalazł żadnych szczelin. Następnie otworzył piekarnik, zmywarkę, a także lodówkę i zamrażarkę. Nic, zupełnie nic. Z pokoju dziennego słyszał Paulika, a z sypialni Pierre’a.

– Pierre, czy w budynku jest piwnica? – zawołał.

– Nie – odparł zapytany. – To znaczy jest, ale nie do użytku. Poziom wód gruntowych jest zbyt wysoki w tej części Aix.

– Niczego nie znalazłem – odezwał się komisarz.

– Ani ja – zawołał z sypialni Pierre. – Właśnie zajrzałem do pudełka na kapelusze. Wiecie, ojciec Cézanne’a...

– Zaczynał od sklepu z kapeluszami – dokończył Verlaque. – Dobrze, że sprawdziłeś. Zastanówmy się nad tym przez chwilę – mówił dalej. – Nad skojarzeniami z osobą Cézanne’a. Bruno, co najpierw przychodzi ci do głowy, kiedy mówię „Paul Cézanne”?

– Mont Sainte Victoire. Widzę ją każdego dnia i nigdy mi się nie znudziła.

Pierre zasugerował:

– Może malowidło było przymocowane do Mont Sainte Victoire autorstwa tej Holenderki...

– Może – odparł sędzia. – Chociaż to zbyt oczywiste miejsce. Pierre, co

pierwsze przychodzi ci do głowy, kiedy mówię Paul Cézanne?

– Aix-en-Provence.

Verlaque rozejrzył się po kuchni. Na ścianie obok lodówki wisiał kalendarz strażacki, sprzedawany od drzwi do drzwi przed Bożym Narodzeniem w celu zbierania funduszy na jednostkę straży pożarnej w Aix. Verlaque szybko podszedł i zdjął kalendarz ze ściany.

– Nic – powiedział, delikatnie przeglądając kartki.

– W pokoju dziennym też nic – zameldował Paulik. – Ktoś rozpruł za nas od spodu poduszki na kanapie. I znowu, wydaje się dziwne, by zrobił to złodziej, biorąc pod uwagę, że wyszedł z obrazem przedstawiającym górę.

– Jeśli to z nim właśnie wyszedł – rzekł sędzia.

– Obraz był tutaj, kiedy ostatni raz widziałem René, a było to zaledwie kilka dni temu, dokładnie we wtorek – odezwał się Pierre. – Przyszedłem, by przynieść swój ostatni czek za mieszkanie.

– A jeśli profesor Schultz także szuka portretu? – zapytał Paulik. – Może to właśnie ona przetrząsnęła mieszkanie?

Verlaque przytaknął. To samo pomyślał, gdy zobaczył Rebeccę Schultz w mieszkaniu. Ale teraz...

– A ty? – chciał wiedzieć Pierre.

– Słucham? – zdziwił się Verlaque.

– Co ci przychodzi do głowy, kiedy mówię Paul Cézanne?

– Jabłka i gruszki.

– Jego martwe natury – dodał Paulik.

– Właśnie.

Mężczyźni nadal przeszukiwali mieszkanie. Po dwudziestu minutach sędzia podszedł do okien pokoju dziennego i wyjrzał na ruchliwą rue Boulegon.

– Pierre – odezwał się. – Kim jest ten młody człowiek po drugiej stronie ulicy, który na nas patrzy?

Pierre stanął obok Verlaque'a przy oknie i spojrział w dół.

– Och, to Momo. Mohammed jest nieszkodliwy. Dziś rano powiedziałem mu o śmierci Roqueta i był zdruzgotany.

– Zobaczcie, co sprzedaje – rzekł sędzia.

Paulik podszedł do nich i spojrział na stragan Momo.

– To stragan z owocami.

Verlaque zerknął na Pierre'a.

– Jabłka i gruszki.

– Momo jest bardzo prosty – wyjaśnił Pierre, dotykając skroni palcem wskazującym. – Taki się urodził. Właścicielem straganu jest jego wuj. René był bardzo miły dla Momo.

– Można mu ufać?

– W stu procentach – odparł Pierre.

Pomoc doktora Bonneta

– Pozwólcie, że ja będę mówił – powiedział Pierre, zamykając drzwi do mieszkania René Rouqueta.

– Czy wyglądamy na oprychów albo kogoś takiego? – zapytał Verlaque, mrugając do Paulika.

– Raczej na gliny – odparł Pierre, upuszczając klucze.

– Pośpiesz się, Pierre! – zawołał sędzia.

Drzwi sąsiedniego mieszkania otworzyły się i ten sam młody mężczyzna, który poprzedniego wieczoru robił im herbatę, zapytał, czy wszystko w porządku.

– *Oui, oui, merci* – zapewnił go Verlaque. – Przepraszamy za hałasy.

– Nic nie szkodzi – odparł Eric Legendre, przecierając oczy. – Próbowałem tylko nadrobić zaległości we śnie.

Zamknął drzwi, a trzech mężczyzn szybko zeszli po schodach.

– Szkoda, że ten facet nie słyszał wczoraj wchodzących i wychodzących ludzi – skomentował Paulik, kiedy przechodzili przez rue Boulegon.

Verlaque skinął głową i wtedy zobaczył Momo.

– Jest tutaj – szepnął do Pierre’a, delikatnie popychając go do przodu.

Mohammed Dati miał trzydzieści jeden lat, ale wciąż wyglądał jak nastolatek, po części z powodu swych jasnych błyszczących oczu i rumianych policzków, ale też z powodu nieustannego gadania i dociekliwości. Wiadomość o śmierci René jednak bardzo go zasmuciła i dzisiaj wyglądał prawie na swój wiek. Verlaque, Pierre i Paulik przyglądali się, jak pomaga starszemu panu wybrać owoce i starannie układa je na sklepowej wadze. Wziął duże jabłko Pink Lady, powoli przeszedł przez sklep odłożył je do innych i wybrał mniejsze.

– Małe jabłka są lepsze, prawda? – zapytał.

– Oczywiście – odparł mężczyzna. – Już nie mogę jeść dużych. Dziękuję, Momo.

Momo skończył ważyć owoce.

– Razem cztery euro i osiemdziesiąt trzy centy – powiedział.

Starszy pan otworzył podniszczoną skórzaną portmonetkę i zajrzał do środka, przesuwając monety wykrzywionymi palcami. Podał ją Momo, który odliczył pieniądze.

– Czy u ciebie wszystko dobrze, Momo? – zapytał starszy pan, odbierając portmonetkę i wyjął siatkę na zakupy.

– Jestem dzisiaj smutny – odparł młody człowiek. Zaczął przekładać klementynki, dając wyraźnie do zrozumienia, że nie chce o tym mówić.

– Przykro mi to słyszeć – powiedział mężczyzna. – Jutro wrócę i założę się, że będziesz się czuł lepiej. *Au revoir*.

– *Au revoir*.

– Mohammed – odezwał się cicho Pierre, kiedy podszedł do drewnianej lady. – Czy jest twój wujek? Czy moglibyśmy porozmawiać na zapleczu? To ważne.

– Nie mam ochoty rozmawiać.

– Wiem, że jesteś smutny – powiedział Pierre. – Ja też. Ale czy mógłbyś poprosić wuja, żeby przypilnował sklepu, gdy my będziemy rozmawiali? A kiedy skończymy, kupię ci nowy *Paris Match*. Właśnie wyszedł.

– Czy są tam zdjęcia? – zapytał Momo.

– Całe tony.

– To idę po wuja.

– O co w tym wszystkim chodziło? – szepnęła Verlaque, kiedy chłopak odszedł.

– Zobaczysz – odpowiedział Pierre. – To obsesja Momo.

Wuj chłopaka wyszedł i wskazał na zaplecze sklepu. Jeśli nie wyglądał na zmartwionego lub chociażby zainteresowanego tym, dlaczego trzech mężczyźni, w tym dwaj nieznajomi, chcą rozmawiać z jego siostrzeńcem, to dlatego, że właśnie dzwonił do niego właściciel budynku i powiedział, że zamierza podnieść czynsz o czterdzieści procent.

– Momo – odezwał się Pierre, kiedy już stali wśród stert pustych skrzynek. To moi przyjaciele, Bruno i Antoine. Szukają osoby, która... skrzywdziła... René. Sądzymy, że mogła ona czegoś szukać w jego mieszkaniu. Czy René dał ci coś ze swojego mieszkania, żebyś to przechował?

Chłopak pokiwał głową, przygryzając górną wargę.

– Momo – błagał Pierre – to naprawdę ważne, żebyś powiedział nam prawdę.

Sędzia, rozglądając się po pomieszczeniu, rzekł: – Momo, z pewnością masz dużo zdjęć piłkarzy.

Młody człowiek ponownie skinął głową.

Verlaque spojrział na zdjęcia, flagi i plakaty, wszystkie z przewagą czerwieni i złota. Kolory Manchester United.

– Moja babcia była Angielką – oznajmił.

– Oczy Momo rozbłysły się. – Skąd pochodziła?

– Z Londynu.

Ramiona chłopaka opadły i Verlaque dodał szybko:

– Ale często jeżdżę do Anglii i mogę ci przywieźć więcej zdjęć drużyny.

Momo pomachał rękoma.

– Z Wayne'em Rooney'em?

– Oczywiście – spojrział na niebieski fartuch Momo, taki sam jak ten, jaki miał na sobie jego wuj. – Założę się, że mają nawet fartuchy ze zdjęciem Rooneya.

– O rany! – zawołał Pierre. – Możesz to sobie wyobrazić?

– Obiecuje pan? – zapytał Momo.

– Tak – zapewnił go sędzia. Kiedy tylko wróci do domu, zamówi taki w internecie. Nawet nie będzie musiał jechać po niego do Londynu.

Wtedy chłopak się odwrócił i otworzył jedną z szuflad w stylowym metalowym biurku wuja. Wstał i wręczył Pierre'owi plastikową torbę.

*

Wciąż w bawełnianych rękawiczkach, Verlaque wygładził płótno najlepiej jak umiał. Pierre i Paulik przycisnęli dłońmi w rękawiczkach pozostałe rogi i wszyscy trzej mężczyźni patrzyli na obraz w milczeniu.

– Podziękujesz od nas Momo jeszcze raz? – zapytał sędzia, patrząc na Pierre'a.

– Oczywiście, zaniosę mu trochę komiksów – odparł zapytany. – Chociaż na początku przez kilka sekund myślałem, że nie da nam tego obrazu. Ale jego twarz mówiła wszystko – wiedziałem, że go ma.

– Chronił go – zauważył Verlaque. – To bardzo wzruszające.

– Rozmawiamy tak, jakby to był prawdziwy Cézanne – rzucił Paulik, patrząc na obraz.

– Na pewno jest autentyczny – stwierdził Pierre. – Przynajmniej według mnie na taki wygląda.

Verlaque spojrział na przyjaciela, marszcząc brew.

– A według ciebie nie? – zapytał Pierre. – Te plamy kolorów...

– Plamy?

– Wiesz, co mam na myśli.

– Czy to Mme Cézanne? – chciał wiedzieć Paulik.

– Nie wygląda jak ona – stwierdził sędzia.

– Ale on wiele razy malował swoją żonę. No właśnie, ja też mówię o tym, jakbym myślał, że to autentyk.

– Kto może zidentyfikować obraz? – zapytał Paulik. – Oprócz doktor Schultz, która jest podejrzana o morderstwo. – Zabierzemy go do Paryża?

– Zacznijmy tutaj, w Aix. Nie ośmieszajmy się w Musée d'Orsay z oczywistym falsyfikatem. Ojciec Marine może nam pomóc – zaproponował Verlaque.

– Doktor Bonnet – upewniał się Pierre. – Ulubiony lekarz rodzinny z Aix coś wie o Cézannie?

– Tak, niewiarygodnie dużo – odparł Verlaque. – Jest samoukiem, ale i tak jego wiedza robi wrażenie.

Paulik rzekł:

– Policjant, który przyszedł rano, by dokończyć przeszukanie, znalazł to

nazwisko i numer na kawałku papieru. Edmund Lydgate – to emerytowany licytator w Sotheby, który ma dom letni w Luberonie.

– Żartujesz – odezwał się sędzia. – Dlaczego nie znaleźliśmy tego wczoraj?

– To dobre pytanie. Zmyłem wszystkim głowy za to przeoczenie.

– Czy René kontaktował się z Sotheby?

– Próbowaliśmy dzwonić, ale nie odpowiadał. – Wyjaśnił Paulik. – Inspektor Schoelcher miał nadal próbować.

Pierre spojrział na zegarek.

– Muszę wracać do księgarni. Sobota, dzięki Bogu, jest pracowitym dniem dla księgarzy.

– *Oui, bien sûr. Salut, Pierre* – pożegnał się z nim Verlaque.

– *A demain* – odparł Pierre, kierując się w stronę drzwi. Zatrzymał się jeszcze i zapytał: – A jeśli jest to prawdziwy Cézanne, ile jest wart?

– Setki milionów – odpowiedział sędzia. – Kiedy rano piłem kawę, sprawdziłem w internecie.

– Ja też – dodał Paulik. – Obraz *Grający w karty* sprzedał się za dwa i pół miliona.

– Kto, u diabła? – zapytał Pierre.

– Rodzina królewska z Kataru – odparł Verlaque.

*

Anatole Bonnet właśnie kończył posiłek z żoną Florence, z którą żył od czterdziestu dwóch lat, kiedy zadzwonił telefon. Jak na mężczyznę w jego wieku był w dobrej formie, tak jak Florence – oboje jeździli na rowerach do pracy i wędrowali w weekendy – więc szybko się podniósł i odebrał telefon.

– *Encore à table, Papa?* – zapytała Marine, chodząc w tę i z powrotem po swojej kuchni na przedmieściach Aix.

– Właśnie zjedliśmy jogurt.

Marine uśmiechnęła się, zadowolona, że nie musi jadać z rodzicami – a przynajmniej nie to, co oni jedzą. Jogurt pochodził pewnie z supermarketu, nie miał grama tłuszczu, tylko mnóstwo mdlących owoców. Tygodniowy budżet jej rodziców wynosił tyle, ile ona i Antoine wydawali w dwa dni, ale nie miała w związku z tym wyrzutów sumienia. Jedzenie dla Bonnetów było czymś, co się robi dla wartości odżywczych, a nie dla przyjemności, jak nauczyli ją Antoine i Sylvie. Przed laty Marine dzieliła swój gabinet, a często też posiłki z zaproszoną badaczką prawa z Seattle. Kiedy odwiedzały restauracje w Aix, Susan opisywała jej potrawy z dzieciństwa, kiedy wraz z czwórką rodzeństwa jadała mdłe obiady. Marine kiwała głową, przytakując.

– Co? – zapytała Susan i wpatrywała się w nią z niedowierzaniem. –

Twoja rodzina też tak jadała? Myślałam, że to charakterystyczne dla Stanów.

– Nie – odparła Marine, podkradając jedną z ręcznie krojonych frytek Susan. – Wiele francuskich rodzin tak jadało w latach siedemdziesiątych. Nasze matki były powojennymi dziećmi, obejmującymi miejsca pracy z dala od wiejskich kuchni.

– Tak jakby nie można było godzić kariery z gotowaniem przyzwoitych posiłków.

– I zjadaniem ich.

*

– *Chérie*? – zapytał jej ojciec.

– Przepraszam, tato – odpowiedziała Marine. – Ja, a właściwie Antoine i ja – chcielibyśmy cię prosić o przysługę. To ma związek ze sprawą, nad którą pracuje Antoine.

– Morderstwo? Czy potrzebuje opinii lekarza?

– Później prowadzę cię w szczegóły – rzekła Marine. – Ale mogę ci powiedzieć, że to ma związek z Cézanne’em. To dlatego Antoine chciałby, żebyś przyszedł do Pałacu Sprawiedliwości.

– To intrygujące.

– Też tak myślę. Czy możemy się tam spotkać za godzinę? O piętnastej?

– Czy Antoine potrzebuje także teologa? – zapytał jej ojciec.

– Nie, ale dziękuję – odpowiedziała Marine. Florence Bonnet i Antoine Verlaque nie byli najlepszymi przyjaciółmi, ale Marine wzruszyła się tym, że jej ojciec chciał, by jej matka też przyszła. Bonnetowie byli nierozłączni.

Marine pożegnała się i odłożyła słuchawkę, myśląc o pośpiesznej rozmowie z Verlakiem pół godziny wcześniej. Od razu ją poinformował, że jest z Paulikiem, dając do zrozumienia, że to nie może być intymna pogawędka, ale dodał przy tym:

– Czekałem na rozmowę z tobą.

Następnie przybliżył jej historię portretu, który być może namalował Cézanne. Teraz zabierali obraz do jego biura. Antoine zasugerował też, by przyszła tego wieczoru na kolację, obiecał, że rozpali w kominku i ugotuje swoją zimową specjalność, choucroute. Przepis na to danie zapożyczył z alzackiego baru za rogiem.

Zgodziła się, zaskoczona tym telefonem i zaintrygowana historią malowidła. Już nie mogła się doczekać tej kolacji. Kapusta kiszona, kielbaski i gotowane czerwone ziemniaki – z jednym ze wspaniałych rieslingów, które Antoine przechowywał w piwnicy – to lubiła najbardziej. Mimo swojego wychowania, stała się *une gourmande*. – „Ależ jestem naiwna” – mruknęła do siebie, parząc kawę. Zdała sobie sprawę, że w piątek wieczorem zareagowała zbyt mocno, ale i tak były sprawy, które chciała omówić z Antoine’em. Najwyższy czas, by to zrobić.

*

– No cóż, jestem pewien jednej rzeczy – stwierdził Anatole Bonnet, patrząc na portret i głaszcząc się po brodzie. – To nie jest Hortense, to znaczy Mme Cézanne.

– Czy to w ogóle jest obraz Cézanne’a? – zapytał Verlaque, chodząc tam i z powrotem po swoim biurze.

– Muszę się przyjrzeć dłużej, mając pod ręką swoje książki – rzekł Bonnet.

– Mam gęsią skórkę – oznajmił Paulik, rozmasowując swoje potężne przedramiona. Poprawił wełniany szalik owinięty wokół szyi.

– Nie jest tu tak zimno – powiedział Verlaque.

– Niech pan mówi za siebie – odparł komisarz. – Ogrzewanie w tym budynku działa co drugi dzień.

– Ja strasznie marznę – zgodziła się Marine. – Mme Cézanne zawsze marszczyła brwi, prawda, papa?

– Niemal bez wyjątku – potwierdził dr Bonnet. – Ta kobieta nie wygląda jak ona. Mme Cézanne miała proste brązowe włosy, zawsze związane z tyłu, długi, zgrabny nos, małe usta i oczy w kształcie migdałów. Dłonie splecione, o tak – doktor Bonnet złożył ręce, a Marine się uśmiechnęła, oczarowana swoim ojcem. Ale na jego dłoniach widniało więcej plam starczych, niż pamiętała.

– Oto portret Mme Cézanne z Musée d’Orsay, gdzie wygląda tak, jakby była gotowa zabić męża – powiedział doktor Bonnet. – A obraz został namalowany rok po ich ślubie, w 1886. To zawsze wydawało mi się bardzo dziwne.

Marine poczuła, że Verlaque się w nią wpatruje. Spojrzała w dół, na portret, i powiedziała:

– Kimkolwiek jest ta kobieta, promienieje.

– Tak, z pewnością świetnie się czuje – stwierdził Verlaque. – A to oznacza, że malarz, także był w dobrym nastroju, *non*?

– Można by pomyśleć, że byli spokrewnieni, prawda? – zasugerował doktor Bonnet.

– Dlaczego myśli pan, że to prawdziwy Cézanne? – zapytał Paulik.

– Po pierwsze, barwy – odparł doktor Bonnet. – Jest tu mnóstwo koloru, nawet na jej twarzy.

Marine pochylila się, zbliżając się do obrazu tak bardzo jak to było możliwe bez dotykania go.

– Na jej twarzy są wszystkie kolory. Oczywiście róż, ale spójrzcie na te drobiny zieleni i błękitu. Nawet żółci – wskazała na te barwy, trzymając palec kilka centymetrów nad płótnem. – Żółć na brwiach i na górze ust.

– Cézanne nazywał to wzajemnym oddziaływaniem kolorów – wyjaśnił Anatole Bonnet. – Nakładaniem się na siebie barwnych plam. To dzieje się także w tle, dla niego było ono równie istotne, co sam model. Cézanne... to znaczy autor tego obrazu poświęcił tyle samo uwagi zielonej ścianie za

modelką, co jej twarzy. Na tym polegała wielkość tego malarza.

– Widać tu również te geometryczne formy tak dla niego charakterystyczne – odezwał się sędzia, wskazując na płótno. – Zmarszczony kołnierz jej bluzki to po prostu kilka walców.

– *Exactement* – przyznał ojciec Marine. – Ale tu jest coś jeszcze...

– Co? – jednocześnie zapytali Marine i Verlaque.

– Osobowość – odparł doktor Bonnet. – Antoine ma rację, Cézanne bardziej interesował się kształtem i kolorem niż modelem. Ale natura tej młodej kobiety wybija się tu na pierwszy plan.

Cała czwórka siedziała w milczeniu, wpatrując się w rudowłosą kobietę na malowidle, która stała wyprostowana i uśmiechała się do malarza. Miała pełne usta i duże niebieskie oczy, była ubrana w prostą niebieską bluzkę i spódnicę, w dłoniach trzymała cienką żółtą wstążkę. Siedziała na krześle z drewnianym oparciem, wciąż popularnym w Prowansji, a ściana za nią była zielona i nie miała żadnych malowideł czy innych dekoracji.

– A Cézanne zwykle nie pokazywał osobowości modela czy modelki? – zapytał Paulik.

– Nie – odparł doktor Bonnet. – Nigdy też nie zatrudniał modelek. Nawet jego seria *Wielkie kąpiące się* oparta jest na studiach aktów z Académie Suisse w Paryżu, gdzie studiował w młodości. Był chorobliwie nieśmiały, zwłaszcza w towarzystwie kobiet.

– I stąd te wszystkie portrety Hortensji – domyśliła się Marine.

– Tak, byli małżeństwem, więc pewnie czuli się ze sobą swobodnie lub przynajmniej naturalnie.

– Czy miał zwyczaj podpisywać swoje obrazy? – zapytał Verlaque, wskazując na wyraźny napis „P. Cézanne” widniejący w prawym dolnym rogu malowidła.

– Nie – odpowiedział doktor Bonnet. – Rzadko podpisywał swoje prace, bowiem na ogół nie był zadowolony z rezultatów. Nieczęsto też datował obrazy, ale ten ma wyraźną informację: osiemdziesiąty piąty rok.

– Tak jakby chciał zapamiętać tę datę – skomentowała Marine. – Tak się podpisuje fotografie na odwrocie.

Anatole Bonnet zamruczał coś do siebie, wyjął z kieszeni czystą chusteczkę i wydmuchał nos.

– Ostatnie portrety malarza, namalowane w 1905 i 1906, tuż przed jego śmiercią, przedstawiały jego ogrodnika, starego Valliera – powiedział, składając chusteczkę. – Dla mnie te portrety są bardziej intymne niż wszystkie wcześniejsze, ponieważ w twarzy starego człowieka widać lęk przed starzeniem się i przed umieraniem, odczuwany przez samego malarza.

Marine spojrzała na ojca i próbowała dostrzec, czy on też czuje taki lęk. Nigdy nie rozmawiała z rodzicami o starości, pewnie dlatego, że oni nigdy nie potrafili usiedzieć w miejscu.

– Pomarszczone dłonie ogrodnika ujawniają podeszły wiek Cézanne’a – mówił dalej Bonnet. – I farba na tych obrazach położona jest warstwami, bardzo grubo, tak samo jak na tym portrecie.

– Jest bardzo rembrandtowski – zauważyła Marine.

– Trafne porównanie – zgodził się doktor Bonnet z uśmiechem. – Portrety Valliera są bardzo poruszające, podobnie jak późne autoportrety Rembrandta. A jeśli chodzi o daty, to ten obraz został namalowany dobre dwadzieścia lat przed portretami ogrodnika.

– Więc nie jest to późny styl Cézanne’a? – chciał wiedzieć sędzia.

– Nie, zupełnie nie – odparł doktor Bonnet. – Ale tu jest kolejna tajemnica, która sprawia, że mam wątpliwości co do autentyczności obrazu.

Tym razem Verlaque, Paulik i Marine wykrzyknęli jednocześnie:

– Co?

– Chodzi o to, że Cézanne rzadko malował kobiety. Zwłaszcza młode i ładne. Przychodzi mi do głowy tylko portret bardzo starej niewiasty – była chyba pokojówką przy rue Bouleçon – i oczywiście portrety Mme Cézanne. I może jeden czy dwa inne. Ale to wszystko. Taki obraz jak ten jest zupełnie nietypowy dla Cézanne’a. Może był w niej zakochany.

Zadziwić Paryż

Bruno Paulik rozerwał brioszkę na pół i ugryzł kawałek.

– Wie pan, czego nie rozumiem? – zapytał, nadal żując. – Dlaczego ekspertom tak bardzo zależy na dopasowaniu dat i stylu do malowidła. „To jego późny styl” lub „To okres niebieski” – i tym podobne. Skąd wiedzą? A może Cézanne chciał sobie pofolgować z farbami tego dnia w 1885? Był wtorek, słoneczny dzień kwietniowy, a on miał ochotę spróbować czegoś nowego. Może akurat był w radosnym nastroju i życzył sobie, żeby modelka się uśmiechała i była radosna?

– Może kobieta tak dobrze się z nim czuła, że śmiała się naturalnie? – odpowiedział pytaniem Verlaque spoglądając na rudowłosą modelkę.

Paulik zanurzył róg bułeczki w swojej kawie, a sędzia, próbując ukryć grymas niesmaku, ciągnął dalej:

– Rozumiem, co masz na myśli, ale zakładam, że artysta tak zaangażowany, jak Cézanne nie zmieniłby stylu w kwietniowy poranek tylko dla zabawy. To byłoby zbyt ryzykowne – tak wiele poświęcił, by dotrzeć do tego miejsca swej kariery. Pamiętaj o wszystkich tych odmowach w galeriach, o złych recenzjach, o drwinach – nawet w Aix.

– Zwłaszcza w Aix.

– Właśnie – potwierdził Verlaque, popijając kawę.

Paulik żuł swoją brioszkę.

– Tak, rozumiem. Zgaduję, że nie chciał się bawić nową techniką, a zresztą nie miał na to czasu.

– w roku 1885 wreszcie odnalazł swój dar. Z pewnością tego nie lekceważył. Ale...

– Kto wie?

– Właśnie.

– Był człowiekiem – rzekł Paulik, wyciągając przed siebie ręce. – Zmieniamy się każdego dnia. Stajemy się roztrzepani albo wpadamy w kiepski nastrój.

– O tak – przytaknęła Verlaque i zapatrzył się w obraz.

Ich rozważania przerwało pukanie do drzwi.

– Proszę wejść – odezwał się sędzia.

Jules Schoelcher, młody policjant pochodzący z Alzacji, wszedł i powitał ich dość sztywnym, ale miłym „dobry wieczór”. Widząc do połowy zjedzoną brioszkę Paulika, dodał:

– Smacznego.

– *C'est mon goûter* – odparł komisarz. – Piąta to czas podwieczorku na całym świecie.

– Jakież wieści o przypadku z Boulegon? – chciał wiedzieć Verlaque.

– Odciski palców, jakie znaleźliśmy w mieszkaniu, należały do René Rouqueta, a niektóre do doktor Schultz. Żadnych innych – odparł Jules.

– Czyli mężczyzna, którego widziała, miał na sobie rękawiczki – stwierdził Verlaque.

– Albo kłamała – zasugerował Paulik.

– Skontaktowałem się z Edmundem Lydgate'em – poinformował ich Schoelcher.

– Emerytowanym licytатorem? – upewnił się sędzia.

– Tak – odpowiedział oficer. – René Rouquet dzwonił do niego, ale on twierdzi, że ledwo mógł zrozumieć, co były listonosz mówi. Rozłączyli się, nie umówiwszy się na spotkanie. Oficer Flamant sprawdził alibi Lydgate'a – starsza pani, właścicielka gospodarstwa przy głównej drodze, twierdzi, że rozmawiała z nim w piątek wieczorem. Poza tym Lydgate powiedział mi, że nie prowadzi samochodu, jego prawo jazdy zostało zawieszona za niebezpieczną jazdę.

– Ktoś mógł prowadzić za niego – zasugerował Verlaque. – Ale jest mało prawdopodobne, by emerytowany licytator z prestiżowego domu aukcyjnego dał się na tym złapać. Co jeszcze macie?

– Oficer Flamant i ja zamierzamy przejrzeć zdjęcia złodziei dzieł sztuki, którzy pasują do opisu, jaki przekazała nam doktor Schultz – odparł Schoelcher.

– I? – dopytywał się sędzia.

– Niewysoki, mocno zbudowany i łysy pasuje do ponad połowy spośród nich.

– Tak jak myślałem – westchnął Verlaque, patrząc na swojego komisarza.

– No cóż – rzucił Paulik, wzruszając ramionami i delikatnie zmiatając okruszki z biurka i zbierając je w garść.

– Jesteś łysy i dobrze zbudowany, ale nie jesteś niski – uspokoił go sędzia z uśmiechem. – Czy któryś z nich pochodzi z Aix?

– Nie – odparł Schoelcher. – Jeden mieszka pod Paryżem, przeszedł resocjalizację i od lat pracuje w firmie przewozowej. Pozostali nadal są w więzieniu. Ale...

– Mów dalej.

– Może to nie był złodziej dzieł sztuki? Może to był zwykły złodziej, który miał szczęście, bo usłyszał, jak Rouquet mówił o obrazie. Albo jakoś inaczej się o nim dowiedział.

– Dobra myśl – stwierdził Verlaque. – Zadzwoń to Pierre'a i wypytam go o życie codzienne Rouqueta.

Schoelcher odwrócił się do wyjścia i zauważył płótno leżące na zapasowym biurku sędziego.

– Wow – zawołał i aż przystanął w bezruchu. – Jest piękna... to znaczy jest piękny.

– Trudno oderwać od niego wzrok – rzekł Verlaque. – Ale dziś wieczorem trafi do sejfu.

– „Chcę zadziwić Paryż jabłkiem” – odezwał się młody oficer.

Paulik wpatrzył się w niego, następnie zerknął na sędziego.

– Słucham? – zapytał Verlaque.

– To słowa Cézanne’a – odparł Schoelcher. – „Chcę zadziwić Paryż jabłkiem”.

*

Verlaque szedł w dół Cours, po jej północnej stronie, szczęśliwy, że nie stoi w kolejce przed Michaudem. Zatrzymał się, kiedy dotarł do wystawy agencji nieruchomości. Ponieważ nie przepadał za słodyczami, bardziej pociągały go błyszczące zdjęcia nieruchomości niż piękne desery czekoladowe naprzeciw. Patrząc na fotografie, bawił się myślami – eliminował kolejno każdy dom, by znaleźć swój ulubiony. Zaczął od lokalizacji w Drôme – to za daleko, w Saint-Tropez – zbyt tłoczno i szpanersko. Podobał mu się szorstki kamień, odrzucał budynki pokryte gładkim tynkiem. Wolał domy niesymetryczne, pomijał więc te pudełkowate. Jego oczy w końcu spoczęły na budynku z wiodącą do niego uroczą aleją wysadzaną na przemian platanami i piniami. Im dłużej mu się przyglądał, tym bardziej znajomy mu się wydawał – przecież to był dom Jacoba, przyjaciela z klubu palaczy cygar, który oświadczył, że przeprowadza się do Londynu, gdzie pracuje przez większość tygodnia. Zadzwieczał mały dzwonek, kiedy otwierały się drzwi do agencji, a wysoka, szczupła kobieta wysunęła głowę, uśmiechając się do niego.

– To piękny dom, prawda?

– Chciałbym go mieć – odparł. – Antoine Verlaque.

Wyciągnął rękę i uścisnął jej dłoń.

– Wiem, kim pan jest – powiedziała Natalie Chazeau. – Widywałam pana w mieście. Proszę wejść, nim zamarnie pan na śmierć. To dobry wieczór na niemieckie potrawy.

– Właśnie jedną z nich zamierzam zjeść na kolację.

– Pójdziemy na górę, do sali konferencyjnej – mówiła, wprowadzając go do środka. – Nie chcę, aby sędzia śledczy zobaczył bałagan w moim biurze. Julie, zapisuj dla mnie wiadomości, bardzo cię proszę.

– *Oui, madame.*

– Zawsze podziwiałem pani agencję – odezwał się Verlaque, idąc do góry. – Jest w dobrym guście.

– Dziękuję – odparła Mme Chazeau, otwierając drzwi sali

konferencyjnej. Sędzia jej się podobał i nawet nie ukrywała, że mu się przygląda. Wiek ma swoje przywileje.

– Jak idzie sprzedaż od czasu kryzysu? – zapytał.

– Powoli – odparła, siadając i gestem zapraszając Verlaque'a, by zrobił to samo. – Zdobyć nieruchomości na wyłączność to jedno, a sprzedać je to drugie.

– To dlatego zarządza pani domem pod numerem dwadzieścia trzy przy ulicy Boulegon?

– Właśnie. Tuż przed śmiercią M. Rouqueta mieliśmy spotkanie wspólnoty.

– Wiem – rzekł, wyjmując długopis i notes. – Powiedział mi o tym mój komisarz. Czy podczas tego zebrania wydarzyło się coś dziwnego lub niezwykłego?

– Kilka rzeczy – odparła. – Przybyło dwoje nowych właścicieli, Eric i Françoise Legendre. Mają mieszkanie na czwartym piętrze. Po spotkaniu powiedzieli mi, że zanim tu wrócili, pracowali w restauracjach w Nowym Jorku. Żeby kupić to lokum, wykorzystali oszczędności życia, ale to i tak była dla nich okazja w porównaniu z Nowym Jorkiem.

– Wyobrażam sobie. Przelotnie ich spotkałem. Jacy są, według pani?

– On jest despotą – odpowiedziała. – Françoise to słodka kobieta, ale całkowicie mu podporządkowana.

– Coś jeszcze?

– No cóż, przyszedł Pierre Millot, mimo że już sprzedał swoje mieszkanie.

– To dziwne – stwierdził Verlaque. – Nie powiedział mi, że uczestniczył w ostatnim spotkaniu.

– Wywiązała się kłótnia o pomieszczenie magazynowe na parterze. Wszyscy chcą z niego korzystać, ale jak się wydawało, M. Rouquet nawet nie wiedział o tym, że należy do niego. Wypadł z sali, a Pierre ruszył za nim. Później zobaczyłam ich na ulicy. Kłócili się.

– Dziękuję – odezwał się sędzia, kończąc pisanie. Kolejny szczegół, który jego przyjaciel, Pierre, pominął.

– M. Rouquet tamtego wieczoru najwyraźniej był pochłonięty czymś innym. Normalnie wyklóca się o każdą podwyżkę miesięcznych opłat, ale tym razem tylko siedział i bawił się swoim kapeluszem.

Sędzia włożył notes z powrotem do kieszeni.

– Bardzo mi pani pomogła. Jak się ma Christophe?

– Tak jak każdy, kto właśnie przeprowadził się do Paryża.

– Jest zachwycony?

– Tak, ale wkrótce jego zachwyty przekształci się w nienawiść.

Sędzia wstał, rozbawiony. Spojrzał na platanosy rosnące tuż za oknami biura i zerknął w dół ulicy. Mme Chazeau nie odzywała się, pozwalając mu obserwować aktywność innych mieszkańców miasta.

– Ten widok jest cudowny – powiedział wreszcie. – Wszystko stąd widać – ludzie chodzą i rozmawiają, dzieci wpadają w furję przed Michaudem, skutery suną w dół i w górę Cours... Ale nic nie słyhać. To niesamowite.

– Potrójne szyby w oknach – wyjaśniła Mme Chazeau. Coraz bardziej lubiła sędzięgo.

*

– *Choucroute pour deux* – poprosił Verlaque. – *S'il vous plait.*

– Jak zwykle z kielbaskami? – zapytał właściciel.

– *Oui, deux saucisses de Morteau* – odparł sędzia, wskazując na dwa kawałki różowej wędliny. – Oraz dwie z Montbéliard i tyle samo frankfurterek. I dużo kapusty poproszę. Macie tu prawdziwą kapustę, z jagodami jałowca i ziarnami pieprzu.

Właściciel nakładał kiszonkę do dużego plastikowego pojemnika. – Dziękuję, to receptura mojego dziadka. Każdej zimy razem z bratem robili taką w budynku gospodarczym na tyłach domu.

– Jeden z moich współpracowników pochodzi z Alzacji. Przystojny wysoki blondyn. Wysportowany.

– O, tak. Znam go, to Jules. Przychodzi tu z narzeczoną – właściciel się uśmiechnął. Zdawał sobie sprawę, że Verlaque stara się zachować dyskrecję co do swojego zawodu, ale on wiedział, że to sędzia śledczy i że Jules jest policjantem.

– Och, więc się pobierają? – zapytał Verlaque. Wiedział, że młody policjant spotyka się z ładną brunetką, która pracuje w palarni kawy w Aix, ale nie miał pojęcia, że są zaręczeni.

– Wzięło go – odparł właściciel z uśmiechem.

– To raczej choroba – skomentował sędzia, myśląc o swoich rodzicach. Podszedł do niewielkiej części z winami. – Jules jest dużo za młody.

Właściciel wzruszył ramionami.

– Pewnie ma około dwudziestu pięciu lat – powiedział. – Albo nawet bliżej trzydziestki. Ja w tym wieku miałem już dwoje dzieci. To najlepsze, co mi się kiedykolwiek przydarzyło.

– Przypuszczam, że bywają ludzie, którzy są szczęśliwi w małżeństwie – mruknął Verlaque.

– O, nie. Rozwiedliśmy się dawno temu – sprostował właściciel ze śmiechem.

Sędzia też głośno się roześmiał.

– Ale kocham moje córki – mówił dalej właściciel. – To właśnie miałem na myśli.

– Dajmy spokój małżeństwu. Czy ma pan jakieś nowe rieslingi? – zapytał Verlaque. Mam kilka w piwniczce, ale zawsze jestem otwarty na nowe sugestie. Uwielbiam je, podobnie jak moja dziewczyna.

– Och, to bardzo niedoceniane wino – odparł właściciel. – Mam tutaj

sześć butelek z Domaine Bott-Geyl. Mała rodzinna produkcja, naturalna.

– Podoba mi się ta nowoczesna etykieta.

– Nigdy nie oceniał...

– Wiem, wiem – odparł sędzia, szczęśliwy, że rozmawiają na jeden z jego ulubionych tematów. – Ale mam teorię na temat winiarzy, którzy płać grafikom konkretne pieniądze za projekt etykiety.

– To znaczy?

– Uważam, że skoro tak bardzo zależy im na dobrej etykiecie i są gotowi za nią zapłacić, to cenią swoje wino.

– Zgadza się.

– Wezmę dwie butelki. Na szczęście mieszkam za rogiem.

– Na szczęście dla mnie – uśmiechnął się właściciel. – Miłego wieczoru.

Sędzia podziękował mu, zapłacił i ruszył w dół rue Gaston de Saporta, obok katedry, po czym skręcił w lewo, na plac de l'Archevêché, który poprowadził go do malutkiej rue Adanson, gdzie mieszkał. Trzymając żywność i wino w prawej ręce, lewą otworzył misternie rzeźbione drewniane drzwi. Zobaczył swoją pocztę na marmurowej konsoli w holu, ale miał zbyt zajęte ręce, żeby ją zabrać – zrobi to później. Kiedy wchodził na czwarte piętro do swojego mieszkania, spotkał Arnauda – studenta, który mieszkał ze swoją owdowiałą matką na pierwszym piętrze. Właśnie schodził na parter.

– Hej, Arnaud – zawołał Verlaque.

Chłopak podniósł wiertarkę.

– *Bonsoir, Juge* – powiedział. – Właśnie skończyłem wieszać talerz.

– Dziękuję. Jak wygląda?

– Odjechany.

– To znaczy, że ci się nie podoba.

Arnaud roześmiał się.

– Nie w moim guście – rzekł. – Ale za to uwielbiam obraz Soulages'a.

– Ja też. Dobrze, dopisz robociznę do rachunku. Dziękuję.

– Nie ma sprawy. Miłego wieczoru.

Verlaque otworzył drzwi mieszkania i położył torby na blacie kuchennym. Szybko wyjął wino i umieścił butelki w specjalnej lodówce. Uśmiechnął się na myśl o alzackim właścicielu sklepu, zadowolony, że może prowadzić interesujące rozmowy, takie jak ta przed chwilą, z ludźmi, których prawie nie znał.

Wszedł do pokoju dziennego i zdjął z regału grubą książkę o Cézannie. Był to prezent od jego brata, Sébastiena, z okazji przeprowadzki Verlaque'a do Aix. Otworzył ją na pierwszej stronie i odczytał dedykację Sébastiena: „Dla mojego brata. Powodzenia na południu. Będziesz go potrzebował. Uściski. Séb”. Sędzia przeszedł do indeksu i przeglądał go w poszukiwaniu nazwiska Rebeki Schultz. Pojawiło się na stronie szóstej, dwudziestej trzeciej, dwudziestej piątej, sześćdziesiątej siódmej, dwieście

osiemnastej i dwieście dziewiętnastej. Cieszył się, że to Paulik składa wizytę doktor Schultz, a nie on. Nie miał na to czasu.

Pośpiesznie rozpałił ogień w kominku, wyjął małe partagas z pudełka na cygara i je zapalił. Siedział na wysłużonym fotelu klubowym, z książką na kolanach, przyglądał się niektórym ilustracjom, następnie przeszedł do rozdziału *Portrety i postacie*. Tak jak powiedział ojciec Marine, zachowało się niewiele portretów kobiecych, z wyjątkiem tych z Mme Cézanne, i ani jednego rudowłosej kobiety. Jak przeczytał, malarz narzekał, że Mme Cézanne usycha z tęsknoty za swoimi górami, że lubi tylko „Szwajcarię i lemoniadę”. Sędzia się roześmiał, gdyż nie lubił ani tego napoju, ani tego kraju. Uważnie przyglądał się portretom, urzeczony obrazem *Mężczyzna z fajką* – brązowe ubranie modela, namalowane pionowymi liniami koloru, wtapiały się w brązowe tło. Obraz znajdował się w Londynie, w Courtauld, i Verlaque odnotował w myślach, by tam pojechać i go zobaczyć.

Autor pisał, że Cézanne dobrze się dogadywał z robotnikami w Aix – sędzia dostrzegał to w portrecie mężczyzny z fajką, jak i to, że malarz, zwłaszcza w późniejszym wieku, stał się samotnikiem, rozmawiał przede wszystkim ze służącą i z ogrodnikiem. Autor pisał dalej: „Ci ludzie uosabiali dla Cézanne’a dawny miniony już stosunek do Czasu i Życia” – Verlaque’owi spodobało się, że słowa czas i życie zostały zapisane dużą literą. Odchylił się do tyłu, palił i myślał o swoich dziadkach, Emmeline i Charles’u, którzy, jak pamiętał, pomimo swojego bogactwa i wykształcenia prowadzili ważne rozmowy ze służbą, kelnerami i sklepikarzami. Modele i modelki w późniejszych portretach, jak napisał autor, pozostawali w harmonii z naturą i w zgodzie z samymi sobą. Podobnie jak Emmeline i Charles.

Verlaque spojrzął na portret, o którym wspomniał doktor Bonnet, przedstawiający Valliera, ogrodnika, namalowany tuż przed śmiercią Cézanne’a. Sędzia widział, że tutaj malarz, przez całe życie znany z kłótliwego charakteru, odczuwał spokój. Verlaque spojrzął na komórkę, która właśnie się odezwała. To była Marine, która napisała, że jest w drodze. Zajrzał na koniec książki, gdzie kilka ostatnich stron wypełniało kalendarium życia malarza. Zwrócił uwagę na rok 1885 – wiosną Cézanne był w L’Estaque, w pobliżu Marsylii. Latem z Hortensją i Pauliem juniorem odwiedził Auguste’a Renoira. Sędzia zawołał: – *C’est pas vrai!* i jeszcze raz głośno przeczytał ustęp: „Czerwiec i lipiec – z Hortensją i Pauliem *chez Renoir à La Roche-Guyon*, odzyskując równowagę po romansie z tajemniczą kobietą z Aix”.

10

Manon i Cézanne

Cézanne pamiętał łagodne słowa Moneta i miłe bonjours żony sędziego i dlatego tym razem się zmusił, by uśmiechnąć się do siostry Philippe'a, Manon. Było to ich drugie spotkanie, a już od tygodnia miał nadzieję, że znowu ją zobaczy. Ale nim zdołał coś powiedzieć, ona się odezwała.

– Och, M. Cézanne! Aix tak szybko się zmienia – powiedziała, unosząc ręce w górę, a następnie opuszczając je na spódnicę w gęste paski. –

Najpierw umieszczają brzydką ośmioboczną wieżę na katedrze, potem, w tym samym roku, burzą nasze mury!

Jego również zasmucił fakt, że stare mury, które przez wieki otaczały i chroniły Aix, zostały zburzone. Ujęło go to, że nazwała je „naszymi murami”, bo on także myślał o Aix jako swoim mieście.

– Zburzyli mury, aby ludzie mogli pobudować domy na wsi. To lepiej dla ich zdrowia.

Manon skinęła głową, lecz nie odpowiedziała. Tylko bogate rodziny mogły sobie pozwolić na nowy dom, jej matka zawsze pozostanie w swoim wąskim, czteropokojowym domu przy rue des Guerriers. Jej brat, Philippe, zawsze się naśmiewał z ich ulicznego przezwiska „wojownicy”. To historia życia jej rodziców, jak ostatnio jej powiedział. – W młodości opuścili Włochy, by przeżyć, przybyli tutaj i musieli walczyć o przetrwanie, a potem mają tu umrzeć. Prawdziwe życie wojownika.

– Jak długo malował pan na zewnątrz, Monsieur? – zapytała w końcu.

– Od rana.

– O, rozumiem – odparła Manon, przygryzając górną wargę. Był tak szorstki, jak jej mówił Philippe, ale nie zrozumiał jej pytania. Spróbowała jeszcze raz: – Miałam na myśli, od jak dawna pan tak maluje, stojąc na dworze? – Pamiętała obraz z Musée Granet, portret mężczyzny o białych włosach, który maluje, i to najwyraźniej we wnętrzu. Jej ojciec pracował na zewnątrz, podobnie jak jej siostry, rolnicy i winiarze, ale tu naprzeciw niej, stał syn bankiera, który też wykonywał swoją pracę pod gołym niebem. Jednego była pewna: że dla niego to była praca, a nie hobby. Tak samo jak dla Philippe'a.

Cézanne się roześmiał: – Od dwudziestu lat. Tego nie uczą cię w szkole artystycznej. Trzeba się nauczyć samemu. Od jak dawna włóczy się pani po okolicy?

Teraz Manon się roześmiała. – Od dziecka.

– Zawsze lubiła pani rośliny, Mlle Solari? – zapytał.

– *Oui* – odpowiedziała. – *La nature*. Tu jest więcej kolorów niż w mieście.

– Ale i tak w Aix jest dużo pomarańcza i żółci – stwierdził malarz. – Paryż jest szary.

– Philippe też mi mówił o Paryżu. Ale tutaj – powiedziała, patrząc na krajobraz przed nimi – jest zielono.

Odważnie podeszła do jego płótna i z uwagą mu się przyglądała.

Cézanne milczał. Nie mógł się w nią nie wpatrywać. Rude włosy upięła z tyłu ze względu na wiatr, a jej rysy były wyraziste. Miała długi, wąski nos, wysokie kości policzkowe i duże niebieskie oczy. Na jej twarzy widniały blizny, ale to jej nie szpeciło, raczej czyniło wyjątkową. Pomyślał, że jest niegrzeczny, kiedy się tak jej przygląda. Zdawało się jednak, że ona tego nie zauważa, bo intensywnie wpatruje się w obraz.

– Zabrał pan błękit nieba i umieścił go na igłach sosen.

Cézanne spojrział na swoje dzieło.

– Natura nie jest jednym płaskim kolorem.

Nie miał zamiaru mamrotać, ale tak to wyszło.

– *No, monsieur* – odparła Manon. – Na pewno tak nie jest.

Pamiętała, że jako młoda dziewczyna była zafascynowana fioletowymi kwiatkami, jakie zbierała, a później zauważyła, że ten odcień istnieje w roślinach, które ją otaczają. A on, Cézanne, myśli tak jak ona. Wiedziała, że śmieją się z niego w Paryżu, że jest wytykany palcami przez publiczność, krytyków i dziennikarzy. Ona także doświadczyła kpin z powodu swego ubóstwa, znaczonych bliznami twarzy i zainteresowania sztuką.

Spojrziała na malarza, który wpatrywał się w swoje malowidło ze skrzyżowanymi ramionami – i zastanawiała się, jakie miał włosy pod filcowym kapeluszem. Na szyi zawiązał chustkę z małutkimi żółtymi pszczołami na czerwonym tle. Taką samą nosił jej szwagier na *fêtes*. Próbowwała sobie wyobrazić Cézanne'a, jak nosi taką chustkę w Paryżu. Dziewczęta z Michauda plotkowały, że poza chustką ma także czerwoną szarfę przewiazaną w pasie.

Philippe opowiedział jej o tragicznym weekendzie, który Cézanne spędził w rezydencji Zoli w Médani, pod Paryżem. Zola próbował – bezskutecznie – przedstawić swojego starego przyjaciela „szerokiemu światu”: odnoszącym sukcesy pisarzom, uznanym malarzom i bogatym kolekcjonerom. Była tam nawet sławna aktorka. Ale Cézanne nie odzywał się w obawie, że zostanie źle zrozumiany, lub nawet wyśmiany. W końcu malarz wziął łódkę Zoli, „Nanę”, i popłynął nią przez rzekę na małą wyspę, a stamtąd namalował mieszczańską rezydencję Zoli i posiadłość jego sąsiada – zamek Médan. Philippe uwielbiał ten obraz – widział go u Tanguy’ego. Kupił go inny malarz, *Monsieur Gauguin*.

– Krajobraz błyszczący – Philippe powiedział kiedyś Manon, próbując to

dla niej naszkicować. – Zielenie i ochry, tak intensywne, że świecą jak jedwab!

– Spojrzała w dół, na niedokończony obraz, i zrozumiała ekscytację Philippe’a.

– Kiedy zobaczyłam pańskie malowidło z lasu, wyglądało jak żywe. Tak jakby mogło wyskoczyć z płótna. – I dodała słowo, którego nauczył ją Philippe: – Trójwymiarowe.

Pierwszy raz, odkąd zaczęli rozmawiać, Cézanne się uśmiechnął.

– A kiedy patrzy pani na nie z bliska?

Pochyliła się, by się lepiej przyjrzeć.

– To, jak kładzie pan farbę – powiedziała po chwili – przypomina mi Bibémus.

– Kamieniołomy? – zapytał Cézanne.

– Tak, to, jak wycinane są skały. Mój ojciec był kamieniarzem. To szrafowanie w skale jest jak pańskie szrafowanie tutaj – wskazała na pociągnięcia pędzla.

Cézanne nie mógł się doczekać, kiedy zapisze to, co właśnie powiedziała. Oto ktoś, kto rozumie jego sztukę. Zola nadal uważał, że Cézanne próbuje być impresjonistą, a jego matka i siostra, niezależnie od tego, jak ogromna była ich miłość, nie rozumiały jego sztuki. A ojciec, jak wiedział, jej wprost nienawidził. Kiedy wróci do domu, napisze do Zoli i opowie mu o obserwacjach Mlle Solari. Zola desperacko starał się ukończyć powieść, więc nie pisali do siebie tak często, jak to mieli w zwyczaju. To Zola nauczył go, jak się nie poddawać i pracować aż do utraty tchu.

Manon spojrzała na brodatego malarza, który wydawał się pogrążony w myślach.

– Przepraszam, M. Cézanne. Przeszkodziłam panu w pracy.

– Nic nie szkodzi.

Chciał dodać: „Cieszę się, że znów pani przyszła”, ale tego nie zrobił. Po dwóch spotkaniach łączyło ich tak wiele.

– Ale farba wyschnie, prawda? – Mogę sobie zrobić przerwę, *mademoiselle* – powiedział, próbując się do niej uśmiechnąć, żeby ją ośmielić. – To nie jest tak, że mogę namalować obraz jednego dnia. Czasami muszę poświęcić miesiące, a nawet lata, żeby go skończyć, lub przynajmniej osiągnąć z niego zadowolenie.

– A skąd pan wie, że obraz jest ukończony?

Cézanne spojrzał na rozciągający się przed nim krajobraz, umykając przed jej pytającym spojrzeniem. W końcu, wciąż patrząc przed siebie, na ogromną zieloną sosnę, powiedział: – Obraz jest ukończony, kiedy mam pewność, że przekazałem nie to, co widzę, ale to, w co wierzę.

La Sale Peinture

- Trochę poczytałeś książkę o Cézannie i teraz jesteś ekspertem? – zapytała Marine, zamaczając frankfurterkę w musztardzie.
- Nie rozumiesz? – zapytał Verlaque, otwierając drugą butelkę rieslinga.
- Tajemnicza kobieta. W 1885. W Aix.
- Rozumiem, rozumiem – odparła Marine. – Ale ktoś, kto sfałszował ten obraz, mógł mieć tę samą książkę – mrugnęła okiem.
- Czasem bywasz okrutna – powiedział sędzia z uśmiechem. – Myślę, że ten portret jest autentyczny. Dziś wieczorem siedziałem tutaj i paliłem cygaro, zauroczony portretami Cézanne’a i jego życiem.
- Ty też? Kiedy dorastałam, podróżowałam po Europie śladem jego obrazów.
- Myślałem, że wasza rodzina zwiedzała romańskie kościoły.
- To była pasja mojej matki – wyjaśniła Marine. – A ojciec miał fioła na punkcie Cézanne’a.
- I pomyśleć, że tutaj mieszkał, pracował i chodził – Verlaque szerokim gestem wskazał mieszkanie.
- Marine uniosła brwi ze zdumieniem.
- Chodzi mi o Aix, nie o mój dom.
- Nigdy nie wiadomo – odezwała się Marine, trzymając pusty kieliszek.
- Może spotykali się w twoim mieszkaniu na tajemnicze schadzki. Choć nie sądzę, że mieli romans.
- Doktor Bonnet, czy podważa pani moją tezę?
- Ależ nie – odparła Marine. – Zgadza się, że dziewczyna na naszym płótnie była mu bardzo bliska. Ale kto mówi, że ze sobą sypiali?
- Verlaque przewrócił oczami i uśmiechnął się figlarnie.
- No cóż, zawsze uważałem, że to mieszkanie ma dobrą karmę.
- Tutaj się z tobą zgadzam. A tak przy okazji, podoba mi się nowy element – wskazała na dużą, kolorową paterę ceramiczną wiszącą na ścianie nad drzwiami łączącymi pokój dzienny i kuchnię.
- Och, Arnaud, moja wierna złota rączka, powiesił ją dzisiaj dla mnie. Należała do Emmeline.
- Cudne są te wielkie żółte cytryny – rzekła Marine. – Tańczą na talerzu. To z Toskanii?
- Z Sycylii – odparł Verlaque, odwracając się, by spojrzeć na paterę. – Pamiętam, jak ją kupowała, w malutkim sklepie w Ragusa. – Nalał

Marine trochę wina i mówił dalej: – Biedny Cézanne. Jak oni dawali radę dalej malować?

– Masz na myśli impresjonistów?

– I postimpresjonistów – uściślił. – Ludzie nie znosili ich prac, a oni nadal malowali.

– Na szczęście byli bogaci – skomentowała Marine.

– Nie wszyscy – sprostował Verlaque. – Van Gogh nie miał grosza przy duszy, jak określiliby to mój dziadek. A nawet jeśli Cézanne miał pieniądze, należące do rodziny, to i tak nikt nie kupował jego obrazów. Jak sobie z tym radził? Wiesz, co Henri Dobler, człowiek, który w czasach Cézanne'a był właścicielem Pavillon de Vendôme, powiedział o jego pracach malarskich? Nazwał je *la sale peinture*. Brudne obrazy. Co za idiota!

– Patrzysz na to z perspektywy czasu – powiedziała Marine, odchylając się do tyłu i głaszcząc się po brzuchu. Żałowała, że zjadła drugą *saucisse de Morteau*. – Być może my powiedzielibyśmy to samo? Możesz sobie wyobrazić, jak oglądasz to przedziwne szrafowanie pod koniec dziewiętnastego wieku? Choć trzeba przyznać, że kupiłeś obraz Pierre'a Soulages'a na długo, zanim stał się modny.

– Dziękuję, kochanie.

– Och, zanim zapomnę – wzięłam z dołu twoją pocztę. Jest na blacie kuchennym.

– Dzięki – odparł sędzia. – Zauważyłem ją, gdy wchodziłem do domu, ale miałem zajęte ręce. Jest tam ciekawego?

– Coś, co wygląda na prywatny list od dyrektora Centrum Pompidou w Paryżu – odpowiedziała Marine. – Czy zalegasz ze składkami członkowskimi?

– Oczywiście, że nie – zaprzeczył Verlaque. – Wszystko opłaciłem. To już drugi list od Philippe'a.

– Jesteś na ty z dyrektorem najważniejszego francuskiego muzeum sztuki współczesnej? Imponujące.

– Byliśmy razem w szkole z internatem. Chce mieć obraz Soulages'a na retrospektywę, którą organizują za rok.

– Wow, Antoine – rzekła Marine, unosząc kieliszek do toastu. – To niesamowite!

– Nie, to nie jest niesamowite i właśnie to mu powiedziałem.

Marine pokręciła głową.

– Słucham?

– Nie mogę się rozstać z tym obrazem – powiedział Verlaque. – Nie ma mowy.

– Nie wierzę – odezwała się Marine, odkładając okulary. – Chcesz zatrzymać to wspaniałe płótno tylko dla siebie? Nikomu nie pozwolić go oglądać?

– To byłoby piekło – te wszystkie papiery, pokwitowania, ubezpieczenie.

A oni mają mnóstwo innych obrazów.

– A gdyby wszyscy tak powiedzieli? Gdyby nikt nigdy nie przekazał swojego obrazu, nawet na kilka miesięcy, do światowej klasy muzeum? Jesteś egoistą, wiesz?

– Wiedziałem, że będziesz się dzisiaj kłócić – powiedział Verlaque, rzucając serwetkę na stół. – Tak jak wtedy, po *galette des rois* u Paulików.

– Zgadnij, dlaczego. To ma związek dokładnie z tym samym.

– Z Soulages'em?

– Nie, idioto – odpowiedziała Marine, wstając od stołu. – Z twoim ego.

*

Hôtel Fleurie należał do tych hoteli, w jakich Bruno Paulik i jego żona Hélène lubili się zatrzymywać, podróżując po Francji. Małe jednogwiazdkowe hotele zawsze położone w centrum i zazwyczaj prowadzone przez rodziny, były równie urokliwe, co podupadłe. Brakowało w nich wygód, o które Paulikowie i tak nie dbali, takie jak telewizja czy minibarki.

Paulik spacerował wokół holu i zaczął przeglądać księgę gości, zapisaną w różnych językach, w tym we francuskim, niemieckim oraz w mowie, która według niego wyglądała na niderlandzki. Właścicielka hotelu nie wydawała się przejęta wizytą policjanta, siedziała za ladą i czytała książkę. Co jakiś czas z uśmiechem zerkała na komisarza. On tymczasem przekładał kartki księgi gości i zatrzymał się na małych rysunkach, które w niej pozostawi odwiedzający. Jeden był całkiem udanym szkicem salonu, który miał teraz przed oczami, z lobby pełnym niedopasowanych, podrobionych antyków. Niektóre z wpisów były za długie albo zapisane w językach, których nie znał. Pod koniec księgi jednak znalazł wpis po francusku, dokonany zaledwie przed kilkoma dniami: „Pokój jedenasty, jeden wieczór, jeden mężczyzna. Rozkosz”.

– Przepraszam, że musiał pan czekać – rozległ się głos zza drzwi.

Paulik szybko zamknął księgę, jakby zastał przyłapanego na oglądaniu stron z bielizną katalogu La Redoute.

– Nie czekałem długo.

– Może porozmawiamy w salonie – rzekła Rebecca Schultz, odwracając się w stronę właścicielki hotelu w oczekiwaniu na akceptację.

– *Oui, oui, oui* – powiedziała właścicielka, wskazując na salon. – *Allez-y.*

– Mój pokój ma wielkość znaczka pocztowego – wyjaśniła doktor Schultz.

Paulik się roześmiał, zaskoczony perfekcyjnym francuskim Amerykanki. Spojrzał na długie nogi pani profesor, odziane w różowe wełniane rajstopy pod pomarańczową minispódniczką i się zastanawiał, jak ktoś z takimi nogami mógł się zmieścić w małym francuskim pokoju hotelowym, a tym bardziej w hotelowym łóżku. Wciąż lekko zaczerwieniony po lekturze księgi gości, otworzył swój notes. Kiedy usiedli, zapytał:

– Co dokładnie robi pani w Aix, doktor Schultz?

Jeśli kobieta była zaskoczona, to wcale tego nie okazała. – To chyba oczywiste – powiedziała w końcu. – Jak już mówiłam sędziemu Verlaque’owi, prowadzę badania nad Cézanne’em.

– Czy w mieszkaniu René Rouqueta też prowadziła pani badania?

– Widziałam, że ktoś się włamał do tego budynku.

– Weszła więc pani, żeby to zbadać?

– Chciałam pomóc – wzruszyła ramionami. – Miałam jet lag po podróży i nie potrafiłam myśleć racjonalnie. Przez lata tylko czytałam o miejscu, w którym u schyłku życia mieszkał Cézanne, a teraz mogłam je zobaczyć i zajrzeć do środka. Czy może pan sobie wyobrazić, jaka to pokusa?

– Nie – odparł Paulik. – Zostałbym na zewnątrz i zawiadomił policję. Zwłaszcza że doskonale włada pani francuskim.

– Zostawiłam w hotelu komórkę – odparła. – Już o tym mówiłam pańskiemu szefowi.

Paulik pomyślał, że jeśli doktor Schultz próbuje go onieśmielić, wspominając, że to nie on jest szefem, to nie osiągnie zamierzonego skutku. Był więcej niż szczęśliwy jako komisarz i nie wybierał się na szkolenie, by zostać sędzią śledczym. Ale doktor Schultz pomimo swej znajomości języka i znajomości sztuki, najwyraźniej nie rozumiała, jak działa francuski system prawny. Zapytał:

– Co pani zrobiła po wejściu do mieszkania? Nie rozumiem, dlaczego nie wezwała pani policji, kiedy zobaczyła pani ciało M. Rouqueta na podłodze.

– Byłam w szoku – odparła doktor Schultz. – Jak ogłuszona.

– Nie przestraszyła się pani?

Doktor Schultz zrobiła przerwę, zanim odpowiedziała.

– Nie. Przy całym moim zmęczeniu i niewiarygodności faktu, że oto jestem w mieszkaniu Cézanne’a, wszystko wydawało się nierealne.

– Na kilku przedmiotach w mieszkaniu znaleziono pani odciski palców – powiedział Paulik. – Na przykład na szafie w sypialni. Dlaczego, u licha, poszła pani do sypialni, kiedy w salonie leżał martwy mężczyzna?

Kobieta zaczęła zbierać wyimaginowane kłaczki z rajstop.

„Jezu, trik z kłaczkami!” – pomyślał komisarz.

– Szafa najwyraźniej pochodziła z dziewiętnastego wieku, więc pomyślałam, że mogła należeć do Cézanne’a. Pozostałe meble w mieszkaniu to tandeta z lat sześćdziesiątych – odparła. – Otworzyłam szafę po części z ciekawości, po części ze zdumienia.

Zanim Paulik zdążył zadać następne pytanie, mówiła dalej:

– Podobnie było z kuchennymi szafkami. Chyba miałam nadzieję, że znajdę tam te ceramiczne dzbany i talerze z jego martwych natur. Ale musi pan wiedzieć, że byłam tam zaledwie przez kilka minut, zanim zaczęłam szukać telefonu, by wezwać policję. Ale wtedy przyszli oni...

– Więc decyzyja zajęła pani kilka minut?

– Tak – potwierdziła, wpatrując się w Paulika. Założyła ręce na piersiach. – Gdyby był pan ciemnoskórą Żydówką, która pracowała całe życie, żeby w końcu zdobyć pracę białego anglosaskiego mężczyzny, i gdyby został pan przyłapany na wtargnięciu do miejsca, gdzie popełniono morderstwo, to też dwa razy by się pan zastanowił, czy dzwonić po pomoc, czy po prostu uciec.

Piwo z inspektorem Schoelcherem

Marine stała przy latarni pośrodku rue Adanson i pisała SMS-a do Sylvie, która mieszkała tuż za rogiem.

„Nie śpię” – odpowiedziała Sylvie. „Wpadaj”.

Marine poszła szybko w dół ulicy i skręciła w lewo, w rue Campra. Czasem mieszkanie w Aix wydawało się przytłaczające, zwłaszcza gdy wpadała na znajomych z gimnazjum czy z liceum, takich, których nie lubiła jako piętnastolatka, a jeszcze mniej lubiła ich teraz. Ale dzisiaj była wdzięczna, że mieszka w mieście na tyle małym, iż można je przemierzyć w piętnaście minut. Trzykrotnie zadzwoniła do drzwi Sylvie, a te otwały się z kliknięciem.

Weszła na trzecie piętro i uśmiechnęła się na widok przyjaciółki stojącej w drzwiach, obutej w różowe kapcie z króliczkami. Jej ulubioną marką obuwniczą była Prada.

– Hej, wejź – odezwała się Sylvie, obdarzając Marine bise.

– Mam nadzieję, że to nie jest zbyt późno dla ciebie – powiedziała Marine. Zdjęła płaszcz i powiesiła go na przepelnionym wieszaku.

– Dla mnie nie – odparła gospodyni. – Ale Charlotte jest już w łóżku. Sąsiedzi zaprosili nas na *Fête des Rois*, choć oficjalnie odbyło się ono już wczoraj.

– Och, tak się cieszę – rzekła Marine. – Czy Charlotte weszła pod stół?

– *Non, grande drame!* – odparła Sylvie. – Nie jest już najmłodsza. Ich syn, Alex, ma teraz trzy lata, potrafił więc wywołać każdego po imieniu. Rok temu był za mały.

– Czy Charlotte była zawiedziona?

– Na początku tak – powiedziała gospodyni. – Widziałam to w jej oczach. Lecz Alex tak uroczo wywoływał nasze imiona. Wciąż po dziecięcemu trochę sepleni, więc moje imię brzmiało „Tylvie”. Po mniej więcej dwóch minutach Charlotte śmiała się w głos. Rok temu musiałabym dać jej wykład pod tytułem „Nie wszystko kręci się wokół ciebie”.

Marine uśmiechnęła się, myśląc o Antoinie.

– Kiedy dostałam wiadomość od ciebie, nastawiłam herbatę – powiedziała Sylvie, wręczając przyjaciółce kubek udekorowany dużym czarno-białym okiem Mana Raya. – Ale nie mogę ci zaproponować żadnych słodyczy.

– Tym lepiej – odezwała się Marine. – Wczoraj u Paulików zjadłam dwa

kawałki *galette*.

– Jak wiesz – powiedziała Sylvie, nalewając herbaty miętowej do kubków – nie znoszę masy migdałowej.

– To kolejna rzecz, która łączy cię z Antoine’em Verlakiem. Zjadł swoje ciasto z uprzejmości.

– No cóż, ja otwarcie odmówiłam – rzekła gospodyni. – Ale oczywiście nie jestem tak dobrze wychowana, jak Antoine. Mów, o co chodzi? Czy zamierzasz ronić łzy do herbaty, tak jak w zeszłym tygodniu?

Marine odstawiła kubek i wpatrzyła się w przyjaciółkę.

– Tak było?

Sylvie skinęła głową.

– Bardzo cię przepraszam – powiedziała Marine. – Nie wiem, co się ze mną dzieje.

Sylvie w milczeniu dmuchała na herbatę.

Marine mówiła dalej:

– Jest tyle rzeczy, za które mogę być wdzięczna. Ale nie mogę pozbyć się uczucia...

– Rozczarowania? – zapytała gospodyni.

– Tak! Jakby moją głowę wypełniały obsesyjne myśli o moich porażkach.

Sylvie się roześmiała: – Ty? I porażki?

– Uczę w Aix, a nie w Paryżu czy w Nowym Jorku – wyjaśniła Marine. – Za mało publikowałam. Ogarnia mnie szalone uczucie paniki, zwłaszcza rano, że pozwoliłam, by życie przeszło obok mnie. A to sprawia, że czuję się tak niewdzięczna.

Sylvie odstawiła kubek i poszła do salonu. Wróciła z czasopismem, które rzuciła na kuchenny blat.

Marine zerknęła na okładkę i powiedziała: – Sylvie tylko nie znowu „Psychology Today”.

– To się nazywa krzywa satysfakcji z życia – wyjaśniła gospodyni, siadając. – I nie jesteś w tym sama. Na kilku angielskich i amerykańskich uniwersytetach przeprowadzono badania i w wielu krajach świata odkryto powtarzający się wzorzec: satysfakcja z życia maleje z wiekiem przez kilka pierwszych dekad dorosłości i osiąga dno właśnie teraz, kiedy wchodzi się w piąte dziesięciolecie.

– Interesujące.

– Wiem – odparła Sylvie. – I nie ma to nic wspólnego z tym, czy mieszkasz w bogatym, czy też biednym kraju, czy jesteś mężatką, czy po rozwodzie, czy pracujesz, czy nie, czy masz, czy nie masz dzieci. Wspólnym mianownikiem jest wiek – nasze czterdzieści kilka lat – i właśnie wtedy odczuwamy to niezadowolenie.

– Jest tylko jeden mały problem.

– Tak – zgodziła się gospodyni. – Jeszcze nie masz czterdziestki.

Marine się uśmiechnęła.

– Ale – mówiła dalej Sylvie, wskazując dłonią w powietrze – zawsze wyprzedzałaś innych. Przeskoczyłaś jedną klasę, prawda?

Marine roześmiała się.

– Tak. I już niedługo skończę czterdzieści lat. O co więc chodzi z tą krzywą satysfakcji z życia?

– Satysfakcja z życia się zwiększa – wyjaśniła Sylvie. – To dobra wiadomość. Nagle, kiedy mamy pięćdziesiąt kilka lat, dotkliwe poczucie, że jesteśmy do niczego, znika. I najwyraźniej życie po sześćdziesiątce jest wspaniałe.

– Hura – rzekła Marine beznamiętnie.

– Tak, badanie pokazuje, że w siódmej dekadzie życia ludzie osiągają szczyt szczęścia. Tak jakby byli na haju.

– Jak moi rodzice – skomentowała Marine. – Ledwo potrafię za nimi nadążyć.

– Sama widzisz.

– Jest jedno oczywiste wyjaśnienie – powiedziała Marine, stukając palcami w stół.

– Powiedziałaś to jak rasowy prawnik – odezwała się Sylvie, otwierając okno, by wypuścić dym z papierosa.

– Horyzont czasowy skraca się z wiekiem. Ludzie skupiają się na tym, co najważniejsze – powiedziała Marine.

– Na ważnych związkach.

– Na przykład. Skupiają się na teraźniejszości.

– Na spacerach po łąkach i tym podobnych głupotach.

Marine się roześmiała.

– Też cierpisz na ten blues czterdziestolatków?

– Trochę – przyznała Sylvie. – Zwłaszcza rano, tak jak ty. Ale konieczność opieki nad Charlotte trzyma w ryzach moje demony.

– Charlotte jest w tym samym wieku, co Léa Paulik – odezwała się Marine. – I kiedy widzę Antoine'a z Léą, a on śmieje się jak dziecko, to coś mnie ściska w żołądku. Czy jestem zazdrosna?

– Hmm – mruknęła gospodyni. Skończyła palić papierosa, umieściła popielniczkę w skrzynce na kwiaty i zamknęła okno. – Nie, nie sądzę, żebyś była zazdrosna o Léę. Widzisz, że skłonny do humorów Antoine u Paulików jest cały szczęśliwy i nie rozumiesz, dlaczego nie czuje się tak przez cały czas. Czy chciałabyś przez cały czas mieć jego uwagę?

– Nie, to byłoby przytłaczające.

– A czy chcesz, by był szczęśliwy tylko wtedy, kiedy jest z tobą?

– Nie – odparła Marine. – Chcę, żeby zawsze był szczęśliwy. Zasługuje na to.

– Co sprawia, że jest szczęśliwy u Paulików? Co oni mają takiego, czego ty nie masz?

Marine spojrzała na przyjaciółkę.

- Chyba sama odpowiedziałam na swoje pytanie – stwierdziła po chwili.
– Może więc nie odczuwam jeszcze bluesa czterdziestolatków.
– Chyba nie – zgodziła się Sylvie. – Twoje rozczarowanie ma konkretną przyczynę. Chcesz mieć to, co mają Paulikowie. Z Antoine’em Verlakiem.

*

Verlaque był zaskoczony, gdy ujrzał znajomą postać przyglądającą się rzeźbom na frontonie Halles aux Grains. Było późno i ulice wypełniali podchmieleni studenci wchodzący do licznych barów lub tanich restauracji w Aix albo z nich wychodzący.

- Dobry wieczór, inspektorze Schoelcher – powiedział.
– Och – odpowiedział Jules Schoelcher. – Sędzia Verlaque. Nie spodziewałem się pana tu spotkać.
– Mieszkam tuż za rogiem.
– Ja również. – Jules szybko zgasił papierosa na chodniku.
– Powinieneś palić to – powiedział Verlaque, podnosząc w połowie wypalonego churchilla short. – Żadnej chemii, ręczna robota.
– Ja właściwie nie palę – odparł Schoelcher. – Tę paczkę kupiłem z desperacji. Pokłóciłem się z dziewczyną...
– Z dziewczyną z kawiarni? – zapytał sędzia. – Przepraszam, ale w Pałacu Sprawiedliwości wieści szybko się rozchodzą.
– Wiem – odparł Jules.
– To jest nas dwóch.
– Słucham?
– Dziś wieczorem pokłóciłem się z Marine, moją dziewczyną. Masz ochotę na spacer?

Biorąc pod uwagę, że Antoine Verlaque znajduje się o niebo wyżej nad nim w hierarchii, Jules stwierdził, że nie może odmówić. Ale czuł też jakąś więź z sędzią. Wiedział, że na komisariacie jest znany jako sztywny, trzymający się przepisów policjant z Alzacji, a Verlaque miał opinię bogatego paryżanina. Obaj byli w Aix outsiderami.

- Oczywiście – odparł.
– Dziwne jest to – powiedział Verlaque, kiedy szli przez plac – że nawet nie wiem, dlaczego Marine jest na mnie zła.
– O, ja wiem, co gryzie Magali – odparł Jules. – Ciągłe się o to kłócimy. Strasznie jej się nie podobało u moich rodziców w czasie świąt, a mnie się nie podobało u jej rodziców w Nowy Rok.
– Rodziny dziwaków? – zapytał Verlaque. – Brzmi znajomo. Czasem myślę, że matka Marine chce wbić sztylet w moją pierś.

Jules się roześmiał.

– Magali uważa moich bliskich za sztywnych germańskich katolików. Ale powinien pan zobaczyć jej rodzinę! Wolałbym tego nie mówić, ale... *ils sont ploucs!*

– Z niższych klas?

– O mój Boże – mówił dalej Jules. – Marsylczycy, ale nie tacy, jakich się widuje w starych filmach Pagnola albo w restauracjach, kiedy wspaniale i głośno się bawią. Jej brat jest w więzieniu za kradzież, ojciec za dużo pije i jest dominującym chamem, a matka po prostu siedzi w domu, odpala jednego papierosa od drugiego i wyłamuje palce.

– To straszne.

– Tak. I bardzo szanuję Magali za to, że wyrwała się z tej rodziny i jest tutaj w Aix. Kocha swoją pracę i maluje te swoje niesamowite martwe natury...

– „Chcę zadziwić Paryż jabłkiem” – powiedział sędzia – Czy to Magali cię tego nauczyła?

– Oczywiście – potwierdził Jules. – Martwe natury Magali to coś pomiędzy Cézanne’em a Fridą Kahlo – są niesamowite.

Verlaque próbował sobie wyobrazić, jak wygląda martwa natura jednocześnie w stylu Cézanne’a i Fridy Kahlo.

– To była taka głupia kłótnia – Schoelcher przerwał, myśląc, że może mówi zbyt wiele o własnych problemach. Ale zakładał, że sędzia by się odezwał, gdyby chciał ujawnić coś na temat swojej kłótni z Marine Bonnet. Dzięki gadatliwemu koledze wiedział, że jest ona znaną profesorką prawa, a na jej zajęcia każdego roku zapisuje się komplet studentów, i to nie z powodu jej urody, ale raczej jej fascynujących wykładów. Dwóch jego współpracowników wcisnęło się na jej zajęcia, kiedy okazało się, że spotyka się z Verlakiem. „Fascynujące” – powiedział jeden z nich i uniósł kciuk do góry. To był Roger.

Verlaque zatrzymał się przed barem Zola, i uświadomił sobie, że od początku chciał tutaj przyjść sam albo w towarzystwie.

– Masz ochotę na guinnessa?

– Dobre piwo to doskonały pomysł.

– Mam ukryte motywy, by tu przyjść – wyjaśnił Verlaque, otwierając drzwi i wypuszczając chmury dymu i głośnej muzyki Rolling Stonesów. – To było ulubione miejsce René Rouqueta, by wpaść na jednego.

– Pan pierwszy.

Zachwył komisarza Paulika

Jules prowadził, przeciskając się przez tłum. Spojrzał przez ramię na Verlaque'a, który wskazywał na bar. Wysoki, jasnowłosy policjant delikatnie się usprawiedliwiał, przebijając się wśród gości. Wreszcie znalazł miejsce przy barze, wystarczająco szerokie, by stanęło w nim dwóch mężczyzn.

– *Deux guinness, s'il vous plait* – powiedział do barmana, kiedy Verlaque znalazł się obok niego.

Barman, mężczyzna z długą brodą, w koszulce z Harleyem-Davidsonem, spojrział na Verlaque'a, a potem jeszcze raz, aż wreszcie zwrócił się do niego z akcentem charakterystycznym dla wyższych sfer:

– *Bonsoir, Monsieur le juge.*

– Hej, obciąłeś włosy – odparł sędzia, wskazując dłonią na cięcie poniżej ucha.

Jules Schoelcher próbował nie okazać po sobie zaskoczenia.

– Wyglądasz naprawdę świetnie – dodał Verlaque, podnosząc kciuk.

Barman przewrócił oczami, ale w końcu się uśmiechnął.

– Polecenie żony – powiedział, powoli nalewając guinnessa. – Najwyraźniej koncerty muzyki klasycznej i długie włosy nie idą w parze.

– Bruno powiedział mi, że pański syn wspaniale gra na pianinie – rzekł sędzia. Spojrzał na Jules'a i dodał: – Léa i...

– Matthieu – dopowiedział barman.

– Léa Paulik i Matthieu chodzą razem do szkoły muzycznej – wyjaśnił Verlaque.

Schoelcher pociągnął łyk piwa, przeniósł wzrok ze swojego szefa na barmana i starając się nie słyszeć hałasu muzyki i gwaru klientów, i próbował zrozumieć, skąd ci dwaj zupełnie różni ludzie mogą się znać.

– Patrick – powiedział barman, wyciągając rękę przez bar.

– Antoine – odparł Verlaque, ujmując dłoń barmana, przyozdobioną trzema lub czterema pierścionkami z czaszką. – A to mój kolega, Jules. –

Verlaque upił łyk piwa, uśmiechnął się, znów pokazał kciuk barmanowi i powiedział: – Słyszałeś, jak Léa śpiewa *Modlitwę* Faurégo?

Patrick udawał, że ociera łzy z oczu.

– Tak samo zareagowałem – rzekł sędzia. Pociągnął następny łyk i rozejrzał się wokół. – Zola ma młodych klientów, prawda?

Patrick wzruszył ramionami.

– W większości – powiedział. – Z wyjątkiem baru – dodał, z przymrużeniem oka.

– Proszę nie patrzeć na mnie – wtrącił się Jules.

Verlaque się roześmiał:

– Dzięki, Jules. – Następnie przechylił się przez bar i zapytał: – Ale starsi goście też tu przychodzą, prawda? Znałeś emerytowanego listonosza imieniem René?

Patrick oparł swoje muskularne przedramiona na barze.

– A skąd ten czas przeszły?

– On nie żyje – wyjaśnił sędzia.

– Dlaczego za każdym razem, kiedy pan tu przychodzi, tracę ważnego klienta?

Verlaque wzruszył ramionami.

– Kiedy był tutaj po raz ostatni?

– To proste pytanie – odpowiedział Patrick, wycierając ładę ręcznikiem. – Wczoraj wieczorem.

– Czy z kimś rozmawiał? – chciał wiedzieć Schoelcher.

– Tak, ze mną – odparł Patrick.

– I to wszystko?

Jakaś dziewczyna potrąciła Jules'a i oboje jednocześnie powiedzieli „*Pardon*”.

– Ale to się często zdarza, gdy stoisz za barem – wyjaśnił Patrick.

– I każdy może to słyszeć – dodał Jules, patrząc na dziewczynę z uśmiechem.

Verlaque znów pociągnął guinnessa i zapytał:

– O czym rozmawialiście?

– To René mówił – wyjaśnił Patrick. – W miarę upływu czasu coraz bardziej bez ładu i składu. Wreszcie około dwudziestej drugiej wysłałem go do domu.

Sędzia w milczeniu czekał na dalsze słowa barmana.

– To trochę dziwne – powiedział Patrick. – Już wcześniej się chwalił, że mieszka w dawnym mieszkaniu Cézanne'a. Ale tym razem mówił, że znalazł coś w tym mieszkaniu. Coś, co kiedyś należało do malarza.

– *Pauvre gars* – rzekł Verlaque. – Powinien trzymać język za zębami. Czy powiedział coś konkretnego?

– Domyśliłem się, że to obraz – odparł Patrick – bo mówił, że to cenne. – Roześmiał się i dodał. – I ciągle gadał o Christie i Sotheby. Czy naprawdę mógł znaleźć obraz Cézanne'a?

Sędzia spojrział na niego i powoli zamknął oczy. Wreszcie je otworzył.

– Nie jesteśmy pewni, co to jest. Ale jeśli jest...

Patrick zagwizdał. – Widzę, w jakim kierunku zmiierzają te pytania – odezwał się. – Może wyjdziemy na zewnątrz?

Verlaque i Jules założyli kurtki i przebijali się przez tłum, niosąc

niedopite piwo. Patrick szedł za nimi, wcześniej nalał sobie whisky.

– Przejdźmy się po placu – powiedział, zamykając za sobą drzwi baru.

Verlaque ponownie zapalił swojego churchilla i skierował się w stronę posągu dzika na środku placu.

– Czy René został zamordowany? – zapytał Patrick, gdy zatrzymali się przy rzeźbie.

– Tak, wczoraj wieczorem albo dziś wcześniej rano – wyjaśnił Verlaque. –

Wcześniej dzwonił do dawnego sąsiada, podejrzewał, że ktoś go śledził w drodze do domu.

– *Oh, merde!* – zawołał Patrick. – Czuję się, jakby to była moja wina. Powinienem go wcześniej wyrzucić.

– Mogło dojść do kradzieży z włamaniem – powiedział Jules. – A to może mieć związek z waszą rozmową w barze.

– Spróbuj sobie przypomnieć, kto stał przy barze obok M. Rouqueta – odezwał się Verlaque. – Był tam jakiś niski i gruby, łysy mężczyzna?

Patrick wyjął papierosa i zapalił. – Jeden czy dwóch – odparł.

– Ale ze wszystkich tych studentów, samotnych serc i całej tej hałastry z wczorajszego wieczoru to nie ich zapamiętałem najlepiej.

– A kogo? – dopytywał się sędzia.

– Amazonkę – powiedział Patrick, kręcąc głową. – Jedna z najwspanialszych kobiet, które kiedykolwiek widziałem.

Verlaque i Schoelcher popatrzyli na siebie.

– Jak wyglądała? – spytał Jules.

– Wysoka, czarnoskóra, uderzająco piękna w bardzo oryginalny sposób – odpowiedział Patrick. – Jakby właśnie zeszła z wybiegu, ale tak około 1972 roku.

*

Bruno Paulik sączył swoje vin chaud, obserwując, jak ludzie chodzą w dół i w górę Cours. Im bardziej starał się myśleć o swojej żonie, Hélène, tym wyraźniej widział przed oczyma obraz Rebbeki Schultz. Nie zamierzał tak długo zostać w Hôtel Fleurie, ale właściciel tego miejsca włączył CD z muzyką operową i zarówno on, jak i Rebecca – a nalegała, by tak się do niej zwracał – rozmawiali o muzyce tak, że stracił poczucie czasu. Rozbrzmiewała właśnie aria z *Poławiaczy pereł*, stare nagranie z Enrikiem Caruso i Giuseppem De Luca, dwoma męskimi głosami w doskonałej harmonii.

– Czy widział pan film *Gallipoli*? – zapytała Rebecca.

– Chyba milion razy – odparł Paulik.

– To jest piosenka, której słucha oficer.

– Tak. Wie, że następnego ranka jego żołnierze ruszą do ataku – powiedział Paulik. – A on z nimi.

– Pije szampana...

– To jego rocznica ślubu. Nie mogę patrzeć na tę scenę. Dowodzi ona, że film wojenny wcale nie potrzebuje przemocy i krwawych scen.

– Zgadza się – powiedziała Rebecca. – Wystarczy trochę opery i mężczyzna, który wpatruje się w zdjęcie żony.

Dzwonek telefonu wyrwał Paulika z zamyślenia.

– Bruno? Tu Verlaque.

– Tak?

– Nie przeszkadzam?

– Nie – odpowiedział komisarz, zakłopotany tym, że myślał o doktor Schultz.

– Rebecca Schultz wprowadziła nas w błąd – powiedział sędzia. – Wczoraj wieczorem była w barze Zola.

– Żartuje pan – Paulik szybko skończył swoje grzane wino i dał sygnał kelnerowi, że prosi o rachunek.

– „Piękno to skomplikowana sprawa”.

– Nie rozumiem – odezwał się Paulik.

– To słowa Cézanne’a – wyjaśnił Verlaque. – Ale to wszystko pasuje do naszej pani profesor z Yale. Posłuchaj, teraz chciałbym się trochę przespać, a jutro, kiedy pójdę do Pałacu Sprawiedliwości, porozmawiam z doktor Schultz. Nie sądzę, żebyśmy się jutro zobaczyli, bo to niedziela.

– Oczywiście – powiedział Paulik.

– Jesteś nadzwyczaj rozmowny, Bruno. Czy wszystko w porządku?

– Przepraszam, zmęczenie daje mi się we znaki – odparł komisarz. – Zobaczymy się w poniedziałek. Proszę dzwonić, gdyby wypłynęło coś nowego.

Wstał i położył na stoliku kilka monet.

W drodze na podziemny parking pod Pałacem Sprawiedliwości, Bruno Paulik przyłapał się na tym, że wpatruje się w okna najbardziej eleganckich sklepów odzieżowych. Nigdy nie kupił tu ubrań dla swojej żony, jej codzienny strój służbowy składał się z niebieskich dzinsów lub kombinezonu i wełnianego swetra do pracy w piwnicy. Ale kiedy ubrała się elegancko, wyglądała fantastycznie – Bruno uwielbiał krótką, błyszczącą złotą sukienkę, którą wkładała na degustacje wina czy na spotkania promocyjne. Nie pamiętał, by kiedykolwiek mówiła o modzie, nie czytywała czasopism modowych, prenumerowała „La Revue du Vin” i „Vinum”. Dlaczego zatem – zadawał sobie pytanie – skoro pięć minut wcześniej tak rozpaczliwie pragnął zobaczyć żonę, teraz traci czas, wpatrując się w sukienkę od Soni Rykiel za dwa tysiące euro? Zbieranie informacji – odpowiedział sobie. Starał się policzyć, ile pieniędzy ich główna oskarżona, Rebecca Shultz, wydaje na ubrania. „Nie Bruno, przestań sobie wyobrażać, jak Rebecca Schultz wyglądałaby w różowej dzianinowej sukience Rykiel”. Ale nawet niewprawnym okiem rozpoznawał, że doktor Schultz nosi na sobie dużo pieniędzy. „I na swych długich nogach”.

Paulik westchnął i przeszedł do następnego sklepu, tym razem pełnego designerskich butów. Czy profesor uniwersytetu w Stanach Zjednoczonych otrzymuje aż tak wysoką pensję? Wiedział, że we Francji profesorowie, jako urzędnicy państwowi, zarabiają mniej więcej tyle, co on, a to nie było wiele. Jak doktor Schultz mogła sobie pozwolić na takie ciuchy? Być może Marine Bonnet, która miała kolegów pracujących dla amerykańskich uniwersytetach, umiałaby to wyjaśnić? Przycisnął nos do szyby. Styczniove wyprzedaje jeszcze się nie zaczęły, ale czarne lakierowane buty Prady, z przezroczystymi, podobnymi do szkła obcasami, nawet ze zniżką kosztowałyby więcej niż trzysta, czterysta euro.

Zadzwoił jego telefon.

– Jest pan zajęty? – zapytał Alain Flamant.

– Nie – odparł Paulik, wpatrując się w zielono-fioletowe kozaki do kolan, zafascynowany misternymi szwami po bokach. – Niespecjalnie.

– Jeżeli nadal jest pan w Aix, to dobrze by było, gdyby przyjechał pan na komisariat. Znalaziono ciało – mówił dalej Flamant. – Ofiara została zastrzelona. Zidentyfikowaliśmy go jako Guy Manevala, drobnego oszusta, dwukrotnie skazanego za włamanie. Ale znalaziono go z...

– Tak?

– No cóż, z pejzażem wokół szyi. Ktoś trzasnął mu obrazem po głowie.

– Poważnie?

– Niestety tak. Ale prawdopodobnie już po jego śmierci.

Paulik nagle zapragnął znaleźć się w domu i zobaczyć Héléne, która przy stu pięćdziesięciu centymetrach wzrostu, nigdy nie została modelką, ale dla niego była najpiękniejszą kobietą na świecie. Ale zamiast zabrać samochód z parkingu Pałacu Sprawiedliwości, przeszedł przez frontowe drzwi budynku, skinął głową w stronę dyżurnego policjanta i wszedł na górę, by się dowiedzieć, co ma mu do powiedzenia Alain Flamant.

Trzyosobowa rodzina

– Postrzelono go w głowę, raz – stwierdziła doktor Cohen, patrząc na nieruchome ciało leżące w aixańskiej kostnicy. – Zabity ostatniej nocy lub wcześniej rano, więc jest martwy od mniej więcej dziesięciu godzin. Zabójca, który wydaje się profesjonalistą, posłużył się rewolwerem kalibru dwadzieścia dwa. Strzał w głowę, z bliska, kula wciąż tam jest. Obracała się i obracała – powiedziała, wykonując odpowiedni ruch ręką – wewnątrz czaszki zmarłego i spowodowała natychmiastową śmierć.

Paulik popatrzył na nieboszczyka i głęboko zaczerpnął powietrza. Życzyłby sobie, by pani doktor używała bardziej naukowych terminów.

– Rewolwer kalibru dwadzieścia dwa robi dużo hałasu – zauważył.

– Ale nie rosyjski – sprostował Flamant.

– Gdzie go znaleziono? – zapytał komisarz, nadal patrząc na zwłoki.

– Przy Pont de l’Arc – odparł policjant.

– A jeśli zabójca nie miał rosyjskiego rewolweru? – dopytywał się Paulik.

– Na Pont de l’Arc jest cicho.

– Nad rzeką jest dyskoteka – odpowiedział Flamant. – Zapewne w piątkowe wieczory panuje tam duży hałas.

– Masz rację – przytaknął Paulik. – W każdym razie wyślij kilkoro inspektorów nad rzekę, żeby wypytali biegaczy i Romów, czy czegoś nie widzieli albo nie słyszeli. Czy Romowie nadal tam obozują?

– Tak – odparł Flamant. – Przyglądali się, gdy ogradzaliśmy miejsce zbrodni. Ktokolwiek zastrzelił Manevala, nie przejmował się tym, że ofiara zostanie zidentyfikowana. A ja go rozpoznałem bez trudu. Drobny. Chyba był bramkarzem w La Fantasie.

– Ja też go znałem – odezwał się Paulik. Przypomniał sobie półrocznego Guy Manevala, kołysanego przez matkę, Guy jako dziewięciolatka, goniącego jakiegoś dzieciaka na szkolnym boisku, a potem piętnastolatka, który ćmi papierosy i wpada w tarapaty. Dalej była już równia pochyła.

– Czy jeszcze jestem potrzebna? – zapytała doktor Cohen, przykrywając ciało prześcieradłem. – Oderwano mnie od uroczystej kolacji.

– Nie – odparł Paulik. – Przykro mi z powodu kolacji. Może jeszcze zdąży pani na deser.

– Nie lubię słodczy – odpowiedziała doktor Cohen. – Dobranoc.

– Dziękuję i do zobaczenia – pożegnał się Paulik. Odwrócił się do Flamanta i zapytał: – A ten obraz?

Flamant wskazał na stół stojący za komisarzem.

– Niewiele z niego zostało – odparł Flamant – wciśnięto go na głowę ofiary. Ostrzeżenie?

– Jeżeli to ten sam obraz, który zniknął z mieszkania René Rouqueta, to jest to wskazówka celowo zostawiona przez zabójcę, wiążąca Guy Manevala z René.

– I z tajemnicą Cézanne’a.

– Czy tych dwóch mężczyzn zabiła jedna osoba? – zastanawiał się Paulik. – Czy też Maneval zamordował Rouqueta, a potem ktoś inny pozbył się jego? Na pewno został zabity przez profesjonalistę.

– A Rouquet nie – wyraził swoją opinię Flamant. – Albo przynajmniej tak to wyglądało.

– No cóż – odparł Paulik, patrząc na malowidło. – Wydaje się, że zostało z niego wystarczająco dużo, by Pierre Millot stwierdził, czy to ten obraz wisiał nad sofą u jego sąsiada. Zapakujmy obraz do torby i zabierzmy go do Pałacu Sprawiedliwości. Nie ma powodu sprowadzać tu Pierre’a.

*

Marine siedziała w kuchni swojego domu rodzinnego. Trzymała się rękoma za głowę, a jej ojciec podawał jej chusteczki higieniczne. Rozejrzała się po pomieszczeniu – z roku 1973 – i chociaż było ono brzydkie i niefunkcjonalne, wiedziała, że jej rodzice nigdy by go nie zmienili. Nienawidzili zmian, kochali rutynę. Kiedy Marine dostała etat profesora, zaczęła jadać z rodzicami śniadanie w każdy niedzielny poranek, przed ich wyjściem na mszę w Saint Jean de Malte. Dzięki temu musiała wstać, poza tym cieszyły ją te spacerki wczesnym rankiem, gdy ulice Aix były wciąż puste. Podobnie jak Antoine, już w dzieciństwie przywykła do wczesnego wstawania. Ostatnio czytała wywiad z szefem kuchni opatrzonej trzema gwiazdkami Michelina – zapytany, czemu zawdzięcza swój sukces, odpowiedział: „Kiedy byłem nastolatkiem, moi rodzice nigdy nie pozwalali mi się wylegiwać”.

– Z pewnością chodzi o coś innego niż o Pierre’a Soulages’a i Centrum Pompidou – powiedział Anatole Bonnet, stawiając na stole swoją kawę. – Chociaż podobała mi się ta historia.

– Jestem profesorem prawa – odezwała się Marine, wydmuchując nos. – Opublikowałam artykuły prawnicze, spłacam na czas kredyt hipoteczny, moi studenci i koledzy mnie szanują. Ale... – westchnęła, a jej ojciec czekał, by dokończyła zdanie. – Chodzi o to, że czasem Antoine Verlaque doprowadza mnie do szału.

– Mnie też! – krzyknęła jej matka z pokoju dziennego.

– Florence, nie pomagasz – zawołał Anatole do żony.

– Więc... – zaczął M. Bonnet. – Czy uważasz, że Antoine powinien wypożyczyć Soulages’a Centrum Pompidou?

– *Papa!* – zawołała Marine. – To nie ma nic wspólnego z Soulages'em!

– No tak, przepraszam.

– Nie, to ja przepraszam – odezwała się Marine, ujmując ręce ojca w swoje dłonie i przyglądając się płomom starczym. – Tylko spójrz na mnie. Po raz pierwszy w życiu zachowuję się irracjonalnie i doprowadza mnie to do szału. Nie mogę ze sobą wytrzymać. Antoine wyzwała we mnie to, co we mnie najgorsze i najlepsze.

Anatole się uśmiechnął i ruchem głowy wskazał na pokój dzienny, gdzie Florence jednocześnie kończyła krzyżówkę w „Le Monde”, słuchała teatralnej sztuki radiowej i podsłuchiwała ich rozmowę.

Marine uśmiechnęła się i wytarła oczy.

– Czy chcesz mi powiedzieć, co cię trapi? – Anatole zapytał córki. – Nie jestem pewien, czy rozumiem.

Marine westchnęła i odrzekła: – Ja sama nie jestem pewna, że rozumiem, ale któregoś wieczoru byliśmy u Paulików...

– U tego komisarza, który wygląda jak zbir?

– Właśnie – potwierdziła Marine. – A tak naprawdę jest jak pluszowy miś. Byliśmy tam wszyscy, zaśmiewaliśmy się do rozpuku, kiedy Léa, ich dziesięcioletnia córeczka, siedziała pod stołem i wykrzykiwała, kto dostanie który kawałek *galette*. I widziałam, że Antoine bawi się tak dobrze, jak nigdy w życiu. Uwielbia tę dziewczynkę. – Przerwała, by wziąć głęboki oddech. – I poczułam zazdrość, nie o Léę, ale o tę cudną trzyosobową rodzinę Paulików. – Spojrzała na ojca.

– Zawsze uwielbiałem naszą cudną trzyosobową rodzinę – powiedział Anatole cicho, nie chcąc, by Florence go usłyszała. Ich syn, który urodził się o kilka lat wcześniej niż Marine, zmarł z powodu nagłej śmierci łóżeczkowej. On i Florence dopiero teraz, w wieku siedemdziesięciu kilku lat, rozmawiali o tym z terapeutą. Ojciec nie powiedział jeszcze Marine o ich sesjach terapeutycznych, które odbywały się dwa razy w tygodniu na Cours Mirabeau.

– Tego wieczoru zdałam sobie sprawę, że chcę mieć rodzinę – rzekła Marine. Potem, ze względu na swoją matkę, dodała głośno: – Tak, z Antoine'm Verlakiem.

– Czy to nie z nim powinnaś o tym porozmawiać? – zapytał Anatole z wyrazem zaskoczenia na twarzy.

– Oczywiście, że tak – odparła jego córka. – Jeśli uda mi się wystarczająco długo zachować postawę zen. Dlaczego ten temat wpędza mnie w takie szaleństwo? – Uderzyła w drewniany stół. – Dlaczego czuję się tak zakłopotana tym pragnieniem?

– Ponieważ zawsze tak racjonalnie przemyślałaś swoje życie – odpowiedział Anatole. – Kiedy miałaś sześć lat, przeprojektowałaś naszą kuchnię, a w wieku lat dziewięciu brałaś udział w kampanii prezydenckiej Mitterranda. – Doktor Bonnet uśmiechnął się i dodał: – Jestem pewien, że

Verlaque'owie nie życzyli sobie, by socjalista kierował krajem.

– Nie, oczywiście, że nie – zgodziła się Marine. – Jediną rodzinną podróż odbyli do Montrealu, by sprawdzić, czy dostaną kanadyjski paszport w razie zwycięstwa Mitterranda, do którego w końcu doszło. Dlatego ukryli swoje pieniądze w Luksemburgu.

Anatole Bonnet starał się nie zmarszczyć brwi.

– Wydaje ci się zatem, że teraz, w wieku trzydziestu pięciu lat, zachowujesz się instynktownie, idziesz za głosem serca, i to cię przeraża.

Marine spojrzała na ojca i uśmiechnęła się.

– A nie powinno – gospodarz mówił dalej. – Twoja matka i ja spisaliśmy listę za i przeciw, zanim podjęliśmy decyzję o posiadaniu dzieci. Teraz to wydaje się głupie, ale wtedy, we wczesnych latach siedemdziesiątych, nasi przyjaciele rozmnażali się jak króliki, w ogóle się nad tym nie zastanawiając. A przynajmniej tak nam się wydawało. A potem, kiedy to się stało, uznaliśmy to za najbardziej naturalną rzecz na świecie. Byliśmy przeszczęśliwi.

– Ale Antoine miał takie okropne dzieciństwo.

– To kolejny powód, by porozmawiać z nim o twoich uczuciach – zasugerował Anatole.

– Cholerna krzyżówka! – zakrzyknęła Florence Bonnet. – Kto interesuje się gwiazdami filmowymi? Dziewięć liter. Kto grał Cyrano...

– Depardieu! – odpowiedzieli jednocześnie Marine i jej ojciec.

– Jesteś niesprawiedliwa wobec Antoine'a, Marine – rzekł Anatole. – Przyznaję, jest samolubny, jeśli chodzi o Soulages'a. Ale jego opinie o małżeństwie i dzieciach mogłyby cię zaskoczyć. – Nie był pewien, dlaczego Marine przyszła do niego z tymi problemami, ale się z tego cieszył. Żałował, że przed laty nie mógł porozmawiać ze swoimi rodzicami o poważnych decyzjach życiowych. Nie wątpił, że Sylvie udzieliła Marine swoich rad, i chociaż lubił przyjaciółkę córki, nie chciałby, żeby Marine także samotnie wychowywała dziecko.

Florence Bonnet weszła do kuchni i włożyła do zlewu swoją filiżankę po kawie.

– Nie mogłam nie słyszeć.

Marine i jej ojciec się roześmiali. – Cokolwiek zrobisz, *chérie* – powiedziała Florence, całując córkę w czoło – wspieramy cię w stu procentach. A teraz wychodzę na próbę chóru, zanim zacznie się msza. Philomène urwie mi głowę, jeżeli się spóźnię. Zobaczymy się na miejscu, Anatole.

– *Oui, oui* – mruknął jej mąż.

Słyszeli, jak Florence wkłada płaszcz i kapelusz i szybko wychodzi przez frontowe drzwi. Marine wyciągnęła rękę i dotknęła czoła, w miejscu, w które jej matka, tak nietypowo dla siebie, ją pocałowała.

– No cóż, ja też chyba powinnam już iść – odezwała się.

– Pójdiesz do Antoine’a?

– Tak, tak sędę. Przynajmniej po to, żeby mu powiedzieć, że powinien wypożyczyć Soulages’a. Może razem pójdziemy do centrum?

Anatole wzruszył ramionami.

– Czy coś jest nie tak, papa?

– Nie wybieram się na mszę.

– Źle się czujesz? – zapytała Marine.

Milczał przez chwilę. – Nie jestem pewien czy jeszcze wierzę.

– *Oh, mon Dieu!*

– Możesz powiedzieć to jeszcze raz – odparł Anatole, siląc się na uśmiech.

– Od jak dawna tak czujesz? – chciała wiedzieć Marine, ponownie chwytając ojca za rękę.

Anatole zastanawiał się nad odpowiedzią. Nie był pewien, ale pierwsze wątpliwości pojawiły się po kilku początkowych spotkaniach z terapeutą na Cours Mirabeau. Jako lekarz. Anatole nigdy nie kwestionował śmierci ich synka. Z jakiejś przyczyny Thomas przestał oddychać, leżąc w kołysce.

– Od kilku miesięcy – odparł.

– *A maman* nie wie.

Ojciec się roześmiał.

– Nie chodzi o to, bym obawiał się twojej matki...

– Ale nie chcesz konfliktu – stwierdziła Marine. – Ja podobnie postępuję z Antoine’em. Ty i ja musimy być pewni, zanim trochę sobie wypijemy i ujawnimy wszystkie nasze lęki, pytania i oczekiwania.

– Właśnie tak.

Odezwał się telefon Marine, a ona zauważyła, że dzwoni Verlaque.

– Czy mogę odebrać, *papa*? To Antoine.

– Oczywiście. Zrobię jeszcze kawy.

– Halo, boska Marine – odezwał się Verlaque. – Nie mów nic, zanim ci to powiem: kocham cię i zamierzam wypożyczyć Soulages’a do Centrum Pompidou. I nawet zabiorę cię na wernisaż.

– Bardzo bym chciała – odparła.

– Przenocujemy w jednym z wielu pokoiów gościnnych u moich rodziców. To o krok od Pompidou. Czas, byś ich poznała.

Marine spojrzała na telefon z niedowierzaniem.

– Dobrze.

– Dziś rano dzwonił do mnie ojciec – mówił dalej Antoine. – Jak zwykle, mówił niejasno, ale w końcu zdołał mi przekazać, że moja matka jest chora i leży w szpitalu.

– Antoine! To straszne! Co się stało?

Anatole Bonnet odwrócił się od przyrządzanej właśnie kawy.

– Myślę, że to zaburzenia odżywiania, które ma od zawsze – wyjaśnił Verlaque. – Za kilka dni zamierzam pojechać do Paryża.

- Powinieneś – odezwała się Marine.
- Ale wcześniej – kontynuował Verlaque – zastanawiałem się, czy ty i twój ojciec dalibyście się namówić na lunch dzisiaj w Luberonie.
- Poczekaj chwilę, zapytam go. Lunch w Luberonie, papa?
- Skoro nie idę na mszę, to chyba jestem do wzięcia – odparł jej ojciec. – Twoja matka wybiera się na lunch z Philomène Joubert i kilkoma osobami z chóru.
- Tak – zwróciła się Marine do Verlaque’a – o co chodzi?
- Jest taki emerytowany licytator z giełdy, specjalista od Cézanne’a, który tu mieszka. Właśnie do niego dzwoniłem i zaprosił nas na lunch. To trochę dziwne, wiem, ale stracił prawo jazdy za prowadzenie po pijanemu, więc nie może do nas przyjechać. René Rouquet też do niego dzwonił, w jego mieszkaniu znaleźliśmy numer telefonu zapisany na kartce.
- Podjedziemy po ciebie – zdecydowała Marine. – To naprawdę ekscytujące. Może znajdziemy jakieś odpowiedzi dotyczące obrazu. Jak ten człowiek się nazywa?
- Lydgate. Edmund Lydgate – odpowiedział Verlaque. – Możesz zapytać ojca, czy coś o nim słyszał. Jest Anglikiem, ale przypuszczam, że mówi po francusku.
- Będziemy gotowi – odparła Marine.
- Zaprosiłbym twoją matkę, ale wiem, że mnie nienawidzi.
- Przecież jest w Saint Jean de Malte – rzekła Marine ze uśmiechem. – I wcale cię nie nienawidzi. Tylko trudno jej zaakceptować cygara.
- I majątek mojej rodziny.
- I zabytkowe porsche – powiedziała Marine, śmiejąc się.
- Ta lista nie ma końca!
- Wreszcie pójdzie po rozum do głowy. Ale musimy porozmawiać. Chcę wyjaśnić, co się stało tamtego wieczoru, po kolacji u Paulików.
- Dobrze – zgodził się sędzia. – Lecz najpierw zjemy.

Piękno to niełatwy temat

23 stycznia, 1885

– Tak pięknie tu zimą – powiedziała Manon, przyglądając się rozpościerającym się przed nimi widokom. – Nie sądzi pan, M. Cézanne? –

Podawała mu suszoną figę. Przez jakiś czas rozmawiali o pogodzie (było ciepło i słonecznie, bez wiatru), a potem malarz zaproponował, by usiedli i podzielili się swoim śniadaniem. Był dziwny pod każdym względem, tak jak mówił jej brat, Philippe, lecz mimo to lubiła jego towarzystwo i intrygowała ją jego sztuka.

– Piękno to niełatwy temat – odparł, starannie dzieląc figę na połówki i zjadając jedną z nich. – To pagórki i góry Prowansji, pola zalane słońcem, sosnowe lasy, wioski przytulone do spadzistych stoków, morze... Ale mnie nie interesują poszczególne elementy krajobrazu.

Manon spojrzała na jego na wpół ukończone malowidło.

– Pan to komplikuje, *monsieur* – odezwała się z uśmiechem. Philippe powiedział jej kiedyś, że któryś z chłopów widział, jak Cézanne rzuca kamieniem w środek krajobrazu, nad którym pracował. – Czym więc dla pana jest piękno?

Artysta spojrzał na nią, zaskoczony, a może trochę zirytowany jej śmiałością. Wzruszył ramionami.

– Lepszy malarz pokaże pani detale sosny czy płatki kwiatu.

Drażyła dalej, nauczona przez brata podawać sztukę w wątpliwość. – *Mais pour vous, monsieur...*

Cézanne znowu na nią popatrzył. – Mlle Solari, jest pani bardzo... nieustępliwa. – Patrzył wprost przed siebie, ale czuł na sobie jej spojrzenie. Dlaczego nie odpowiedzieć na jej pytanie? Czyż nie tego brakowało mu z Hortense? – *Bon, mademoiselle* – zaczął. – Piękno, według mnie, kryje się w formie i w kolorze naturalnego obiektu. Inny malarz, tradycjonalista, maluje rzeczywistość. Ja to kwestionuję. A przynajmniej się staram. I tak odpowiadam na pani pytanie. Dziękuję za figę. – Pochylił się do niej i poklepał ją po ramieniu, po czym szybko cofnął dłoń.

– Figi to przysmaki – powiedziała Manon tak, jak gdyby w ogóle nie zauważyła jego gestu. – W domu jadamy dużo zup.

– Zupy to najlepsze, co możemy dać naszemu ciału.

– No cóż, M. Cézanne – odparła ze śmiechem – nasza zupa to zwykłe

rosół z małym kawałkiem chleba. Po zjedzeniu miski wciąż odczuwa się głód.

Cézanne podciągnął kolana do piersi, zawstydzony bogactwem swojej rodziny.

– Jak się pani pracuje u Michauda? – zapytał, kaszłąc. – Czy Mme Michaud jest dla was miła?

– O tak – odpowiedziała Manon. Czuła zakłopotanie malarza, więc nie wyjawiała mu całej prawdy. – Pozwala nam zabierać do domu resztki deserów. Ale to nie do końca dobre przy upodobaniu *maman* do słodyczy.

Cézanne się roześmiał.

– Pani brat i ja spotkaliśmy kiedyś w Paryżu pewną kobietę – bogatą, mecenaszkę sztuki. Jadała tylko słodycze. Szkoda, że jej pani nie widziała! – wyciągnął przed rękę, pokazując gestem ogromny brzuch, i nadał policzki. Manon się roześmiała, a on mówił dalej, zachęcony. – W ogóle nie chodziła. Nigdzie! Dobre życie to codziennie chodzić i jadać zupy, tak jak Prowansalczyk, to jest dobre życie.

– Ale Paryż... – odezwała się Manon. – Mieszkać w stolicy, kupować dzieła sztuki...

– Jestem zaskoczony, że interesuje się pani Paryżem, Manon. Czy mogę się tak do pani zwracać?

– Ależ oczywiście – odparła. On nie dał jej przyzwolenia, by mówiła do niego Paul, lecz nie sądziła, żeby kiedykolwiek mogła go tak nazywać. Był od niej dużo starszy, pochodził z bogatej rodziny i jako malarz obracał się w kręgach, o których ona mogła tylko marzyć. – Któż nie interesuje się stolicą, zwłaszcza jeśli tam nie był?

Cézanne roześmiał się. – Tak, bo nigdy nie słyszałaś hałasu pociągów w nocy, ani też pijanych mężczyzn i kobiet na Montmartrze...

– Kobiet też?

– Niestety tak – potwierdził. – I bardzo wiele starych rejonów miasta już nie istnieje, tak jak twój mur w Aix. Baron Haussmann je zburzył, żeby zbudować wielkie bulwary, otoczone luksusowymi sklepami i kawiarniami. Owszem, są rozległe i równe, ale dla bogatych.

Manon się uśmiechnęła:

– Pański mecenas na pewno do nich aspiruje.

Cézanne się roześmiał i poklepał po kolanach. Intrygowała go wrażliwość Manon, a jednocześnie ta dziewczyna potrafiła być bardzo zabawna. Jej południowy akcent był uroczy i przypominał mu o jego życiu w stolicy, o rzeczach, których by jej nie powiedział. Rzucił więc po prostu: – Paryżanie potrafią być niemili.

Przypomniał mu się śmiech, jaki przebiegł przez Salon des Refusés w 1870, kiedy mieli zaledwie po trzydzieści lat i Paryż ich przerażał. Od tamtego wieczoru minęło już piętnaście lat, a on wciąż czuł zażenowanie, gdy wspominał słowa krytyka sztuki M. Stocka: „Taki szokujący

południowy akcent!” Monet próbował wtedy podnieść go na duchu.

– Głowa do góry, Paul. O mnie Stock powiedział, że malowałem szpachlą albo szcztoką do szorowania...

– A ja miotłą – dorzucił Edouard Manet, klepiąc Cézanne’a po plecach.

– Szpachla to w gruncie rzeczy bardzo dobre narzędzie – powiedział Cézanne całkiem poważnie, a jego przyjaciele wybuchnęli śmiechem.

Manon zauważyła, że malarz się uśmiecha i powiedziała:

– Z pewnością Paryż ma jakieś dobre strony, M. Cézanne.

– Tak – przyznał. – W Paryżu są inni malarze, moi przyjaciele, i to jest piękne.

– I M. Zola.

– *Oui, oui aussi*. Ale wolę Prowansję z jej wioskami i krajobrazem. Co tutaj robisz? Poza chodzeniem?

– Zbieram rośliny – odparła Manon, podnosząc swą torbę z materiału.

– Żeby ich używać jako przypraw w kuchni?

– Oczywiście – odparła. – Zbieram wszystko, czego potrzeba na *bouquet garni*... tymianek, rozmaryn...

– Wiem, wiem – zniecierpliwiał się Cézanne. Mimo że jego rodzina miała teraz kucharza, wiedział, co się składa na *bouquet garni*. Liście laurowe, majeranek...

– Najtrudniej znaleźć majeranek.

– Och, w tej chwili oddałbym wszystko za dobrą *ratatouille* – rzekł malarz. – Ale niestety to nie jest sezon na warzywa.

– No cóż, nazywamy to *caponata chez nouns* – powiedziała Manon. – Jest nawet smaczniejsza niż prowansalska *ratatouille*.

– Naprawdę?

Manon się roześmiała, zauważając sarkazm malarza.

– Tak, naprawdę. Dodajemy kapary i ocet winny. To dla nas wyjątkowe danie. Przygotowywaliśmy je, kiedy moje siostry wychodziły za mąż.

Cézanne starał się powrócić myślami do dzieciństwa i przypomnieć sobie dni, gdy oberżyna i czerwona papryka uważane były za luksus. Spojrzał na swoje spodnie i zaczął się bawić luźną wełnianą nitką.

Manon przypomniała sobie, że Philippe mówił jej, iż Cézanne ma kochankę i dziecko, ale jego rodzinie ta kobieta się nie spodobała, więc nigdy się nie pobrali.

– Zbieram rośliny nie tylko do gotowania – powiedziała, próbując podnieść go na duchu.

– Naprawdę? – zapytał, odwracając się w jej kierunku. – A może też jesteś szamanką?

– *Maman* i moja siostra Clara są *guérisseurs* w rodzinie. Ja tylko robię aromaty z roślin.

– Naprawdę? Masz na myśli olejek lawendowy?

– To jeden z tych zapachów, które lubię. Do moich ulubionych należy też

werbena.

– Mamy dużo werbeny w Jas de Bouffan – powiedział Cézanne i przerwał, ponieważ miał wątpliwości, czy kiedykolwiek mógłby ją zaprosić do swojego rodzinnego domu, by zebrała kwiaty werbeny. Poza tym jego siostra używała ich do herbaty. – Czy sama robisz dla siebie olejki?

– Od tego się zaczęło – odparła Manon. – A potem postanowiłam jeszcze robić je dla moich sióstr i przyjaciół, jako prezenty, a teraz u Michauda sprzedaję trochę dziewczętom, *madame* i jej córce.

Cézanne uśmiechnął się.

– *Quelle entrepreneuse!*

– Ale to nie wszystko – rzekła dziewczyna z ekscytacją w głosie. – Chciałabym wytwarzać inne produkty.

– A jakie?

– Kremy.

– Nie rozumiem.

Manon potarła dłońmi twarz i dłonie.

– Kremy upiększające? – zapytał Cézanne.

– Nie jestem pewna, czy upiększają – odparła Manon ze śmiechem. – Ale na pewno wygładzają skórę. I odświeżają.

Malarz widywał w aptekach fantazyjne kremy w szklanych i porcelanowych słoiczkach. Czy jego siostry Rose i Marie ich używały? Z pewnością mogły sobie na to pozwolić.

– Dlaczego, u licha, mielibyśmy wcierać w twarz jakąś miksturę? – zapytał.

Manon uśmiechnęła się wyrozumiale, jak gdyby przemyślała już odpowiedź.

– Proszę spojrzeć na to nasze słońce – rzekła. – Świeci nawet w styczniu. Widział pan, jak działa na trawę, na farbę na okiennicach. Niech pan sobie wyobrazi, jaki ma wpływ na naszą skórę.

Cézanne spojrzał na słońce, mrużąc oczy.

Manon zaś mówiła dalej:

– Co więcej, w Prowansji mamy...

– *Le mistral*.

– Właśnie. Wiatr.

– Ale czego używałabyś do wytwarzania tych kremów? – zainteresował się. – Prawdziwej śmietany¹?

Manon parsknęła śmiechem.

– Nie, ale sądzę, że powinny mieć konsystencję śmietany. Czytałam o tym w bibliotece. Dla zapachu mogę używać swoich olejków, ale potrzebuję jeszcze masła shea i masła kokosowego. Pochodzą z Afryki. Trzeba też dodać czegoś, co nazywają emulgatorem.

– To coś, co wszystko połączy?

– Tak, jak musztarda w sosie do sałatki. Jest potrzebny, żeby inne składniki nie rozdzieliły się po pewnym czasie. Chciałabym znaleźć coś tutaj, w naturze, co mogłabym wykorzystać w tym celu. Ale nie musztardę.

Cézanne się roześmiał.

– Pozwolisz, że napiszę w tej sprawie do swoich paryskich przyjaciół? Niektórzy pojechali to Afryki, żeby malować, a teraz często odwiedzają firmy handlujące produktami z naszych afrykańskich kolonii. Może uda nam się znaleźć masło, którego potrzebujesz.

– To bardzo miłe z pańskiej strony – odparła Manon.

– Możesz zaciągnąć u mnie dług – odezwał się malarz, dostrzegając na twarzy swojej nowej znajomej wyraz zakłopotania. – Wyrabiaj swoje kremy, Mlle Solari, pomyślimy, jak sprzedawać je tu, w Aix, a pieniądze oddasz mi wtedy, gdy zaczną spływać zamówienia.

– Nie wiem, co powiedzieć, M. Cézanne.

– No cóż – rzekł Cézanne, patrząc przed siebie na ogromną sosnę, a następnie odwrócił się do dziewczyny – zaczęliśmy tę rozmowę tematem piękna. Teraz może ty mi powiesz, czym jest dla ciebie piękno.

– Niezależnie od tego, jak się staramy, nie możemy przestać patrzeć na coś, co uważamy za piękne – odpowiedziała. – Nie możemy oderwać od tego wzroku.

Przypisy:

1 Gra słów: ang. *cream*, czyli krem, oznacza także śmietanę (przyp. tłum.).

16

Droga do Luberonu

Bruno Paulik stał przed dużym lustrem na drzwiach szafy, prawą ręką przykładając do piersi białą koszulę, a lewą – jasnoniebieską. Powtarzał to przez pięć minut, zamieniając jedną koszulę na drugą.

Do pokoju weszła Hélène, która właśnie wkładała płaszcz.

– Bruno, co robisz? Spóźnimy się.

– Myślę, że powinienem odświeżyć moją garderobę – odparł, szybko odwiesił białą koszulę i włożył niebieską.

– Odświeżyć garderobę? Czy to naprawdę mówi mój mąż?

– No cóż, pracuję w Aix, gdzie ludzie są świadomi mody – odparł. – Nawet Verlaque nosi czasem różowe koszule z muszką.

Hélène parsknęła śmiechem.

– Mój zdziwaczały wujek Geoffroy nosił muszki. Ale Antoine’owi może to ująć płazem.

– Co masz na myśli? – zapytał Paulik, zapinając koszulę. Wyszedł za żoną z sypialni.

– To wulkan energii – wyjaśniła, machając ręką. – Nie wiem, czy dlatego, że jest paryżaninem, w dodatku Anglikiem, czy też dlatego, że jest bogaty... – Jej głos się oddalił, kiedy wołała Léę.

Dziewczynka, która czekała na dole schodów, ubrana na zimny, po części pogodny styczniowy dzień, popatrzyła na rodziców i westchnęła.

– Hej, wy dwoje, gotuję się już w tym płaszczu.

– Przepraszam. Twój ojciec myśli, że jest George’em Clooneyem – wyjaśniła jej Hélène.

– Nie mam jego włosów – stwierdził Paulik. – Ściśle mówiąc, nie mam żadnych włosów. Może lepiej Jean Reno?

Léa się roześmiała i dodała.

– Któregoś dnia widziałam go w reklamie kaszmirowych swetrów.

– Reno, ukochany złoczyńca naszego kina narodowego, sprzedający kaszmir? – Hélène uniosła ramiona w geście dezaprobaty i chwyciła swoją torebkę. – Możesz wysadzić nas przed kinem, a po seansie spotkamy się w Mazarin – powiedziała, delikatnie popychając męża i córkę do drzwi. – Chociaż nie wiem, dlaczego musisz dzisiaj pracować.

– Verlaque ma nieoczekiwane spotkanie w Luberonie. Spotyka się z emerytowanym marszandem. To ma związek z Céz... – spojrział na córkę, sznurując wargi.

– Wiem o obrazie Cézanne’a – poinformowała go Léa, wsiadając do samochodu.

Bruno aż się odwrócił, by spojrzeć na swoją latorośl.

– To tajemnica, dobrze, *chérie*? – powiedział. – Nie jesteśmy nawet pewni, czy to prawdziwy Cézanne.

– Czy ten obraz jest piękny – zapytała Léa – czy brzydki?

– Jest bardzo piękny – odpowiedział jej ojciec, włączając silnik samochodu. Przejechał obok winnicy, przywróconej do życia przez Héléne, jednego z najważniejszych winiarzy w Prowansji. – Przedstawia dziewczynę, może dwa razy starszą od ciebie...

– Dwudziestoletnią.

– Zgadza się – rzekł Paulik z uśmiechem. – A może trzy razy starszą od ciebie.

– Trzydziestoletnią.

– I znowu się zgadza – potwierdził, skręcając w Route Nationale 7, która miała ich zaprowadzić do Aix. – Ma rude włosy, jest ubrana w niebieską bluzkę i wygląda na bardzo szczęśliwą.

– Uśmiecha się? – zapytała Héléne. – To niepodobne dla Cézanne’a.

– Dlaczego to takie ważne, że musisz pracować i nie możesz iść do kina? – chciała wiedzieć Léa. – To przecież tylko obraz.

– To dobre pytanie, kochanie – odparł Bruno. – No cóż, sądzimy, że wyrządzono krzywdę komuś, kto znalazł ten obraz w swoim mieszkaniu, tym samym, w którym kiedyś mieszkał Cézanne.

– Czy ktoś ukradł ten obraz? – zapytała Léa.

– Nie, ale próbował.

– Dlaczego?

– Cézanne nie żyje od ponad stu lat, więc jego malowidła są teraz warte dużo pieniędzy.

– Więcej niż nasz samochód?

– Więcej niż nasz dom – rzekł Paulik.

– Razem z winnicą – dodała Héléne.

– To głupie – stwierdziła dziewczynka. Jęknęła cicho i dodała: – Mdl mi.

– Patrz prosto na drogę – poradziła jej Héléne. – Zaraz wjedziemy na autostradę.

Jechali w milczeniu. Paulik zastanawiał się, czy doktor Schultz zauważyłaby wysiłek, jaki tego ranka włożył w dobranie swojej garderoby. Héléne myślała o tym, dlaczego jej mąż spędził tak dużo czasu przed szafą, a Léa starała się zgadnąć, ile zer będzie miała cena obrazu Cézanne’a. Uznała, że będzie kosztował więcej niż sto euro, gdyż matka jej przyjaciółki Julii wydała tyle na torebkę i potem jej *maman* i *papa* bardzo się pokłócili. Nie miała pojęcia, ile kosztował ich samochód. Wiedziała, że za dom i winnicę zapłacił sędzia Verlaque, ale że jej rodzice w jakiś sposób byli

jego partnerami, z powodu wina, które produkowała maman.

Paulik wysadził swoje dziewczyny przed Cinéma Mazarin, gdzie miały obejrzeć film dokumentalny o wędrówkach ptaków, po czym zaparkował samochód na podziemnym parkingu pod Pałacem Sprawiedliwości. Chciałby zobaczyć razem z nimi ten film, ale jednocześnie nie mógł się doczekać, kiedy dotrze do Hôtel Fleurie i usłyszy całą tę historię z perspektywy doktor Schultz. Dlaczego była w barze Zola? Przez przypadek? Nie uważał tego za prawdopodobne, zważywszy na lokalizację baru przy małej uliczce w środkowej części Aix. Nieokrzesana klientela w oparach dymu papierosowego i głośniejszy muzyki z pewnością wykluczała bar z przewodnika wykorzystywanego przez Amerykanów. Ale Rebecca Schultz nie była zwykłą turystką. Nie była też zwykłą kobietą. Poczul w żołądku to samo ścisnięcie jak wtedy, gdy próbował wybrać koszulę.

Mijając fontannę Quatre Dauphins w Quartier Mazarin, Paulik włożył do ust miętówkę. Skręcił w górę rue Cardinale i mimo że drzwi Saint Jean de Malte okazały się zamknięte, mógłby przysiąc, że słyszy końcówkę mszy z towarzyszeniem organów i chóru.

Wchodząc do lobby hotelowego, zdziwił się, że widzi tę samą recepcjonistkę, która znowu czytała książkę. Przez moment pomyślał, że pracowała przez całą noc, ale przecież kiedyś musiała iść spać. – Halo – przywitał się, machając ręką.

Recepcjonistka spojrzała na niego zaskoczona.

– Wrócił pan, komisarzy?

– Wczoraj wieczorem zapomniałem zadać doktor Schultz kilku pytań – odparł. – Czy mogłaby pani zadzwonić do jej pokoju?

– Mogłabym – odpowiedziała. – Ale to nic nie da.

– Słucham?

– Pani profesor wymeldowała się dziś rano.

*

– Ile pali ten kangoo? – zapytał Verlaque, opierając łokcie na oparciu przedniego siedzenia przed nim. Marine obejrzała się do tyłu i uśmiechnęła się.

– Najwyższa półka – odparł Anatole Bonnet, kierujący autem. – Spala tylko litr na dziewiętnaście kilometrów. To najbardziej ekonomiczny samochód, jaki kiedykolwiek miałem.

– Fajnie mieć takie osiągi – skomentował Verlaque ze śmiechem, starając się napotkać wzrok Marine w lusterku wstecznym.

Marine zakryła usta dłonią i próbowała się nie roześmiać. Choć niezbyt dobrze znała się na markach samochodów, nawet ona wiedziała, że renault kangoo, jakie mieli jej rodzice, było jednym z najbrzydszych minivanów na rynku.

– Co może nam pan powiedzieć o Edmundzie Lydgate, zanim dotrzemy

do Gordes? – zapytał sędzia. – Czy kiedykolwiek pan go spotkał?

– Nie. Ale wiem, że ma dużą wiedzę – odparł doktor Bonnet. – Przez wiele lat pracował w Sotheby w Londynie i w Nowym Yorku. To całkiem zabawne, ale mówiono mi, że jest popularnym mówcą na konferencjach. Nigdy nie słyszałem jego wykładu, lecz moi przyjaciele tak.

– Czy mówi po francusku? – zainteresowała się Marine.

– Tak, jak mi mówiono, z uroczym akcentem. Słyszałem, że coś się stało i że Lydgate bardzo szybko opuścił dom aukcyjny.

– Czy to miało coś wspólnego z tym, że pił? – zapytała kobieta.

– Nie jestem pewien – odrzekł jej ojciec, biorąc zakręt z prędkością o połowę niższą niż prędkość Verlaque’a w jego porsche.

– *Papa* – odezwała się Marine, próbując zachować cierpliwość. – Chciałabym ci tylko przypomnieć, że umówiliśmy się na dwunastą.

– Dojedziemy na czas, nie martwcie się.

– Po prostu podziwiał widoki, Marine – powiedział Verlaque z uśmiechem, odchylając się do tyłu z rękoma założonymi za głowę.

– Już podziwiałam, Antoine, dziękuję bardzo – odparła, patrząc na uśpione winnice. – Prowansja nawet w zimie jest piękna.

– Szczególnie Luberon – rzekł jej ojciec. – Kiedy byłaś mała, myśleliśmy, by kupić tu dom letni. Jeden z moich pacjentów, bezdzietny wdowiec, sprzedawał właśnie swój rodzinny dom.

Marine spojrzała na ojca.

– Naprawdę?

– Stary, ładny budynek z kamienia – mówił dalej doktor Bonnet.

– *Papa* – zauważyła kobieta. – Teraz byłby wart fortunę.

– Wiem – odparł. – Ale wtedy to było dla nas dużo pieniędzy, a twoja matka nie wyobrażała sobie przyjeżdżania tu co weekend. To wydawało się tak daleko od Aix.

Verlaque powstrzymał śmiech, bo nie jechali jeszcze czterdzieści minut, a już byli blisko domu Edmunda Lydgate’a. Zdarzało mu się jechać dłużej na filiżankę dobrej kawy. W tej chwili rozdzwoniła się jego komórka, więc przeprosił i odebrał. Usłyszał wieści Bruno Paulika o zniknięciu Rebeki Schultz.

– *Merde* – powiedział, rozłączając się. – Doktor Schultz zniknęła.

– A nie mówiłam? – rzekła Marine, odwracając się, by na niego spojrzeć.

– Nie ufałam jej.

– Nigdy jej nie widziałas.

– Wystarczyło mi to, co o niej słyszałam – stwierdziła Marine. – Stanowisko profesora z Ivy League i rola top modelki nie idą w parze.

– No, nie wiem, *chérie* – odezwał się jej ojciec. – Ty mogłabyś być modelką.

– *Merci, papa.*

– Gdybyś wyprostowała włosy – mówił dalej, zwalniając prawie do

zupełnego zatrzymania samochodu. – Słyszałem, jak pielęgniarki rozmawiały o prostownicach, które można kupić...

– Włosy Marine są prześliczne – wtrącił się sędzia.

– Wróćmy jednak do rzeczy – powiedziała kobieta. – Uczę na Uniwersytecie Aix-Marseille. Daleko mu do prestiżu Uniwersytetu w Yale.

– Jest także dużo tańszy – dodał Bonnet. – Edukacja dla wszystkich, bogatych i biednych.

– Wczoraj do późna oglądałam zdjęcia obrazu, które zrobiliśmy – odezwała się Marine, żeby zmienić temat. Ubolewała nad małostkowymi wojenkami wewnętrznymi swoich kolegów, nad ich nieustannym porównywaniem francuskich uczelni do uczelni z innych krajów w skali szanghajskiej, a także nad ogólnym brakiem zasobów i złym stanem Aix *faculté*. – I czytałam o Cézannie do trzeciej nad ranem. Spójrzcie na nasze zdjęcie – dodała, wyjmując z torebki polaroidowe zdjęcie malowidła. – Kim jest modelka? Antoine, powiedziałaś, że w 1885 Cézanne miał romans. Niezależnie od tego, czy kochankowie przypieczętowali swój związek, czy nie, jeżeli uda nam się datować to malowidło na ten rok, to będziemy bardziej pewni jego autentyczności.

– Co pan o tym myśli, doktorze Bonnet? – zapytał Verlaque.

– Myślę, że to mogła być tajemnicza mieszkanka Aix z 1885 roku. Proszę spojrzeć, co ma na sobie – odparł Anatole Bonnet, nerwowo zerkając na zdjęcie i jednocześnie prowadząc samochód. – Czy jest bogata? Z wyższych sfer?

– Z pewnością nie – odparł sędzia. – Po pierwsze, nie jest to sukienka z połyskliwego jedwabiu.

– No właśnie – zgodził się Bonnet. – Czyli jest biedna, ale szczęśliwa. A Cézanne lubił spędzać czas z robotnikami i chłopami. Bogaci go złościli, intelektualiści denerwowali.

Marine skinęła głową.

– Wczoraj wieczorem czytałam o przyjęciu u Moneta w Giverny. Monet skomplementował Cézanne'a, który się wściekł. Był tak dziwny, że nie potrafił nawet przyjąć komplementu od przyjaciela.

– Jest coś jeszcze, co niepokoi mnie poza uśmiechem, który, jak pan powiedział, doktorze, rzadko gościł na portretach tego malarza – odezwał się sędzia, biorąc fotografię w dłoń. – A, już wiem. To jasny kolor jej ubrania. Wydaje się zbyt jasny dla ubogiej dziewczyny pod koniec XIX wieku.

– Mnie też wydało się to dziwne – zgodziła się Marine.

– Ale ubrania w Prowansji były dużo bardziej kolorowe niż w innych regionach Francji – wyjaśnił Anatole. – Nawet przed stu laty. Prowansalskie materiały miały mnóstwo kolorów, zwłaszcza w Arles.

– To prawda – przytaknął sędzia. – Ale dziewczyna ma na sobie pomarańczową spódnicę i jasnoniebieską bluzkę. Prowansalskie ubrania

były kolorowe, ale nie aż tak jasne. A jeśli była biedna, to jej ubrania powinny być spłowiałe od ciągłego prania i wystawiania na słońce, czyż nie?

– Proszę, pomyślcie o tym, czym się interesował Cézanne – powiedział Bonnet, zwalniając.

– No cóż, nie zamierzał wiernie naśladować rzeczywistości – zasugerował Verlaque.

– Rozumiem, *papa!* – zawołała Marine. – Tutaj ubrał modelkę, w której był zakochany, albo też bardzo nią zauroczony, w najbardziej klasyczne prowansalskie kolory, jakie mógł znaleźć. On to wymyślił. To błękit nieba i pomarańcz – jego dopełnienie. Może nawet kobieta w rzeczywistości nie była ruda.

– Tak, masz rację – odezwał się Verlaque. – Zwłaszcza że rudy odcień, jakiego użył do namalowania jej włosów, jest taki sam jak kolor ziemi z Bibémus i Mont Sainte Victoire.

– To chyba trochę naciągane, Antoine – zauważył Bonnet.

– Naprawdę? – zapytał Verlaque z wyrazem zawodu na twarzy. – Myślałem, że coś odkryłem.

– Cóż, mam nadzieję, że Edmund Lydgate potrafi nam przedstawić profesjonalną opinię na temat farby i pociągnąć pędzla – powiedziała Marine. – *Papa*, zatrzymałeś samochód.

– To tu – oznajmił doktor Bonnet, wyglądając przez przednią szybę. – Gordes. Zawsze się tutaj zatrzymuję, by przyjrzeć się widokowi.

– Dużo lepiej to wygląda z oddali niż kiedy się jest w środku – zauważyła Marine, odchylając się do tyłu i wpatrując w średniowieczną wioskę wczepioną w klif.

– Tam jest teraz zbyt tłoczno.

– Więc może dobrze, że nie kupiliśmy tutaj domu – odpowiedział jej ojciec z uśmiechem.

Verlaque spojrział przed siebie, starając się policzyć, ile z tych przebudowanych wiejskich domów mogło się poszczycić basenem.

Le Mas des Lilas

Marine przyglądała się mapce od Edmunda Lydgate'a, którą wydrukowała.

– Myślę, że jesteśmy na miejscu – powiedziała, składając papier na pół.

Jej ojciec zwolnił i zjechał na podjazd.

– Na posesji Lydgate'a powinno się znajdować *borie* – mówiła dalej. –

Nigdy nie widziałam tak doskonale okrągłego. Pomyśleć, że wiele dziesięcioleci temu ktoś poświęcił całe tygodnie, budując je z kamieni polnych bez zaprawy. Tylko po to, by przechowywać w nich ziarno lub siano. Jest tak pięknie zbudowane i ma takie proporcje, że stało się dziełem sztuki.

– *Mas des Lilas* – mruknął Anatole Bonnet, wychylając się, by przeczytać napis na drewnianej tabliczce nad skrzynką na listy. – Nie mogę w to uwierzyć. To był ten dom, Marine.

– Co pan ma na myśli? – zapytał Verlaque. – Czy to jest właśnie ta posiadłość, którą prawie kupiliście? – Kiedy zobaczył kamienny dom na końcu podjazdu, z ledwością się powstrzymał, by nie powiedzieć: „którą powinniście kupić”. To był piętrowy osiemnastowieczny dom, pełen zakamarków, zbudowany z białego kamienia, który rozślawił Gordes i sprawił, że latem robiło się tu nieznośnie tłoczno. Okna budynku, o licznych podziałach, po bokach były obramowane jasnozielonymi okiennicami. Bluszcz piął się do połowy wysokości budynku, a drewniane drzwi wejściowe były obrośnięte grubymi, powykręcanyymi gałęziami, które owijały się wokół drzwi i wyrastały w dwie strony ponad nimi. Nie będąc ekspertem w sprawie roślin, zwłaszcza w miesiącach zimowych, Verlaque pomyślał, że to wisteria.

– Tak, to jest to miejsce – potwierdził doktor Bonnet. Nawet nazwa pozostała ta sama. – Twoja matka pokochała *borie*, Marine.

– Domyślam się dlaczego – powiedziała Marine.

Kiedy doktor Bonnet ostrożnie wjeżdżał na kamienny podjazd, Verlaque miał ochotę otworzyć drzwi po swojej stronie i wyskoczyć.

– Widzisz te bzy? To od nich dom otrzymał nazwę – rzekł doktor Bonnet, wskazując na prawo. – Chociaż teraz są w okresie spoczynku. Kiedy tu przyjechaliśmy, były w pełnym rozkwicie. Niektóre białe.

– A oto sam gospodarz – rzekła Marine. – Z grzywą białych włosów, które pasowałyby do białych bżów.

Edmund Lydgate musiał usłyszeć kangoo na podjeździe i cieszył się, że goście przybyli na czas. W piekarniku miał kurczaka z Bresse, a nie chciał podawać wysuszonego poulet. Pokazał gestem, by zaparkowali obok jego zniszczonego clio, którym już nie mógł jeździć.

– Witam! – zawołał, mając nadzieję, że nie przesadza. Tak naprawdę nie lubił gości.

Wyciągnął rękę i energicznie uściśnął dłoń Anatole’a, Marine, na końcu Verlaque’a. Kobieta uśmiechnęła się do Antoine’a i mrugnęła okiem. Podobał jej się wygląd Edmunda Lydgate’a. Nie był wysoki ani szczupły, ani dystyngowany, tak jak według niej powinien wyglądać emerytowany angielski handlarz dzieł sztuki. Był niski i korpulentny, z białymi włosami i podkręconym wąsem. Miał na sobie kolorową koszulę o krzykliwych barwach, w szerokie żółte, czerwone i niebieskie paski oraz granatowe spodnie. Jego różowa muszka w jasnoniebieskie kropki trochę się przekrzywiła.

– *Allez, allez* – wykrzyknął, machając rękami w powietrzu. – Zamarzniemy tutaj.

– Prawie kupiliśmy ten dom, *monsieur* Lydgate – powiedział doktor Bonnet, kiedy Lydgate pośpiesznie wiesział ich płaszcze w holu.

– Naprawdę? – zdziwił się Lydgate. – To niezwykle. Jestem jego właścicielem od ponad pół wieku. I to wielkie szczęście, bo teraz nie mógłbym sobie na niego pozwolić. Zapraszam do salonu.

Verlaque spojrzał na Marine i uniósł brew – Lydgate w najmniejszym stopniu nie zainteresował się dziwnym zbiegiem okoliczności, który sprawił, że ojciec Marine znał ten dom. Ale jeśli M. Lydgate nie wyglądał tak, jak według niej powinien wyglądać licytator sztuki, to meble w jego domu prezentowały się idealnie. Każdy wolny centymetr pokoju dziennego i jadalni wypełniały dzieła sztuki i antyki, począwszy od biurka i komód z epoki napoleońskiej, aż po lampy z lat pięćdziesiątych XX wieku. Na ścianach wisiały oprawione obrazy, które podobnie jak meble, wydawały się pochodzić z różnych epok.

– Proszę usiąść – poinstruował ich gospodarz, wciąż machając rękami. – Podam sherry, a potem przyjrzę się waszemu skarbowi. Chyba że macie ochotę na coś mocniejszego. Może single-malt whisky?

– Tak, poproszę – odparł Verlaque, rozglądając się po pokoju.

– Świetnie – powiedział Lydgate. – Będę panu towarzyszył przy pierwszej szklaneczce.

Kiedy Lydgate zajął się ich drinkami, odezwała się Marine:

– Wszystkie pańskie obrazy, panie Lydgate, są portretami.

– Tak, rzeczywiście – przytaknął, wręczając jej i jej ojcu po kieliszku sherry. – Mam do nich słabość. Pewnie dlatego, że lubię być sam, a one dotrzymują mi towarzystwa.

– Cieszę się, że zgodził się pan z nami spotkać – rzekł Verlaque. –

Dziękujemy.

– Pański komisarz nie pozostawił mi wyboru, mówiąc, że ktoś został zamordowany z powodu tego kawałka płótna.

– Kiedy M. Rouquet do pana dzwonił? – zapytał sędziego.

Lydgate wznosił oczy ku górze.

– Kilka dni temu. We środę, w czwartek? Trudno go było zrozumieć, a ja się szczycę moim francuskim. Był bardzo podekscytowany.

– Czy wie pan, skąd wziął pański numer? – chciał wiedzieć Verlaque.

– To dobre pytanie – odparł Lydgate. – Nie, nie wiem. Moje prawo jazdy zostało na jakiś czas zawieszane, więc nie mogłem pojechać do Aix, a jak się wydawało, on nie mógł dojechać tutaj. Opowiadał coś o starym skuterze.

Sędzia skinął głową – Pierre powiedział mu, że René jeździł zużytym skuterem pocztowym, nadal żółty, lecz pozbawionym jednego z kufrów bocznych. – Czy Rouquet wydawał się przestraszony?

Lydgate zastanawiał się przez chwilę z ręką na brodzie.

– Nie – odparł. – Tylko podekscytowany.

– I nie wymienił żadnych nazwisk? Kogoś, kto go śledził?

– Nie. Jedynym nazwiskiem, jakie wymienił, było nazwisko Cézanne’a. Teraz, kiedy wszyscy wypiliśmy po drinku, może spojrzymy na jego obraz? – zapytał Lydgate.

Verlaque wstał, wyjął płótno z torby i rozprostował ręcznik, w który je owinął dla ochrony.

– O rany – wyszeptał Lydgate, wskazując na ręcznik.

– Co? – zaniepokoił się Verlaque.

– Włókna, drogi chłopcze, włókna. Mniejsza z tym, proszę położyć to tutaj – rzekł Lydgate, wskazując na mahoniowy stolik. – Zastanawiam się, jak się panu udało zwędzić obraz z Pałacu Sprawiedliwości.

– Autorytet – odparł Verlaque. – Poza tym nikomu o tym nie mówiłem. Ale wziąłem rękawiczki – dodał, wyjmując parę z kieszeni tweedowej kurtki.

– Może pan włożyć te – odpowiedział Lydgate, także wyciągając rękawiczki z kieszeni marynarki. – Ja użyję własnych.

Verlaque rozwinął płótno, a Lydgate zakrył usta dłonią i gwałtownie nabrał powietrza.

– O rany! To piękne.

Szybko włożył rękawiczki i przez kilka minut przyglądał się malowidłu, nucąc coś cicho.

Anatole Bonnet przemierzał pokój, Marine siedziała spokojnie i patrzyła na gospodarza. Jedynym dźwiękiem, który dało się słyszeć, kiedy Lydgate przestawał śpiewać, było tykanie zegara.

– Piękne zielenie i błękity – rzekł w końcu.

– Ale czy to zielenie i błękity Cézanne’a? – dopytywał się Verlaque

z uśmiechem.

– O, tak. I powtarzają się na obrazie, tak jak powtarzałyby się u niego.

– Ale u innych malarzy też tak było, prawda? – upewniała się Marine. – Mam na myśli to, że kolory się powtarzały. Zieleń trawy odzwierciedlona na niebie i tak dalej.

– Tak, jak u Vermeera – potwierdził Lydgate. – Ale Cézanne nie tylko powtarzał kolor. Kształty – sześciany, walce – kreślił nie tylko konturami, lecz także starannym wykorzystaniem zmian kolorów. – Wskazał na duże guziki na niebieskiej bluzce dziewczyny. – Proszę spojrzeć – powiedział. – Tutaj seria gradacji kolorów zdefiniowała krągłość guzika. Zwykle łatwiej to zaobserwować na owocach w jego martwych naturach. Ale on robił to również z płaskimi kształtami, jak oparcie jej krzesła. Nie ma ono jednakowej barwy, jakiej spodziewamy się po klasycznym krześle wyplatany trzcina – nudnego dębowego brązu. – Lydgate wzruszył ramionami. – Och, jak ja nie znoszę dębu!

– Zgadzam się – przyznał mu rację Verlaque.

Anatole Bonnet spojrział na córkę zdumiony. To można lubić taki, a nie inny gatunek drewna? On i Florence kupowali większość swoich mebli z katalogu Camif.

– Dla Cézanne’a krzesło to wielość planów, nie tylko obiekt, na którym się siada. Ulega więc tym samym zmianom kolorów, jak chmury czy woda – powiedział.

– Jak ściana za dziewczyną – dodał sędzia.

– O, tak – odparł szybko Lydgate. – I znów tyle zmian koloru. Wszystkie pracowicie wykonane małymi równoległymi pociągnięciami pędzla. Nic dziwnego, że Cézanne był zawsze w złym nastroju!

– Jest coś, co mnie za każdym razem zdumiewa, gdy patrzę na Cézanne’a – odezwał się doktor Bonnet. – Żaden element się nie wyróżnia. Góra, szopa, sosna – wszystkie są równie ważne.

– Zazwyczaj tak – potwierdził Lydgate. – To harmonia.

– Rilke napisał: „Tak jakby każde miejsce miało świadomość wszystkich innych miejsc” – zacytował doktor Bonnet. – Cézanne nazywał to „chwytaniem się za ręce”.

– To piękne – powiedziała Marine. Pochyliła się nad obrazem i mu się przyglądała. – Ale w tym obrazie dziewczyna jest ważniejsza niż inne elementy, czyż nie? Widzę ją jaką pierwszą, następnie ścianę czy krzesło. Bije od niej blask.

– O, tak – odparł Lydgate. – *Quel dommage*.

– Co pan ma na myśli? Czy mówi pan tak dlatego, że ten obraz to nie jest prawdziwy Cézanne? – chciał wiedzieć Verlaque.

– Nie sędzę, żeby był, nie – odpowiedział Lydgate. – Ale to mistrzowska kopia.

– Jest pan pewien? – dopytywała się Marine.

Lydgate wydawał się co do tego przekonany.

– Jest niezwykle dobrze wykonany, muszę spędzić z nim więcej czasu. Ale najpierw powinniśmy coś zjeść. Poprosiłem rzeźnika z Apt, by dostarczył mi to *poulet de Bresse* – powiedział Lydgate, po czym wskazał gościom drogę do przylegającej do salonu jadalni.

Verlaque uśmiechnął się na myśl o kupowaniu mięsa z miejsca oddalonego o kilka miejscowości i poczuł, że coraz bardziej lubi Lydgate'a.

Stół został nakryty wielką liczbą obrusów i srebra. Marine podążyła za gospodarzem do kuchni, by pomóc mu podawać.

– Może pani zabrać *gratin dauphinois*, moja droga – powiedział Lydgate, wręczając Marine parę rękawic kuchennych i wskazując piekarnik. – Przysięgam, że nie ma tam śmietany! – dodał. – Tylko mnóstwo masła!

Goście wyrazili wielki podziw dla złocistego *poulet*, a Lydgate z dumą otworzył wino *Domaine Leroy* z 1989.

– Jest pan bardzo szczodry, Mr. Lydgate – powiedział Verlaque po angielsku. – Nigdy nie kosztowałem wina *Lalou Bize-Leroy*. Tylko o nim słyszałem

Gospodarz spojrział na butelki tak, jakby był zmieszany. Następnie powiedział:

– Praca w domu aukcyjnym przez tak wiele lat miała swoje dobre strony.

Wlał nieco wina do kieliszka Verlaque'a, by ten spróbował.

– Jest doskonale – powiedział sędzia.

Lydgate uśmiechnął się i napełnił pozostałe kieliszki.

– Welurowe – stwierdziła Marine po skosztowaniu trunku. – Jedwabiste, ale gęstsze, jak welur.

– Mr. Lydgate – odezwał się sędzia, kiedy zaczęli jeść – czy kiedykolwiek zetknął się pan z informacją, że w 1885 roku Cézanne miał kochankę, mieszkankę Aix?

– Nie – odparł Lydgate – (Marine pomyślała, że trochę za szybko). – Ale nie jestem ekspertem od biografii artystów.

– A kto nim jest?

– No cóż – odpowiedział gospodarz, odkładając widelec – po pierwsze Rebecca Schultz z Yale.

– Niestety, zniknęła ze swojego hotelu – rzekł Anatole Bonnet, sięgając po zapiekankę.

– Co pan mówi? – zainteresował się Lydgate. – Jakiego hotelu? Czy ta wybitna uczona jest tutaj? W Prowansji?

Verlaque wbił spojrzenie w Bonneta, który skurczył się na swoim krześle.

– Tak, jest tutaj – odparł sędzia. – To ona znalazła ciało M. Rouqueta w dawnym mieszkaniu Cézanne'a.

– Och, podejrzana numer jeden, a teraz się ulotniła – rzekł Lydgate, składając ręce. – Oczywiście miała swoje motywy.

– Słucham? – zdziwiła się Marine.

– Kolekcja Schultzów – wyjaśnił gospodarz, krojąc więcej kurczaka. – Dziwię się, że pani o niej nie słyszała. Dziwię się, że państwo o nim nie słyszeli.

– To dlatego jej nazwisko wydawało mi się znajome! – zawołał doktor Bonnet, klepiąc się w czoło. – Wiedziałem, że jest historyczką sztuki, ale jednocześnie męczyło mnie poczucie, że znam jakieś fakty z jej przeszłości.

– Czy panowie zechcieliby nas oświecić? – zapytała Marine.

Lydgate otworzył kolejną butelkę wina i nalał do kieliszków.

– Proszę sobie wyobrazić: jest rok 1961. Młoda żydowska para – ona jest nauczycielką, a on prowadzi firmę dostarczającą owoce i warzywa na Dolny Manhattan. Wynajmują mieszkanie o kontrolowanym czynszu i nie mogą mieć dzieci. Pewnego wieczoru w drodze do domu Isaac Schultz widzi niewielki obraz Cézanne’a w oknie galerii. Kosztuje pięć tysięcy dolarów. Więcej niż dwuletni czynsz. Wraca do domu, rozmawia z żoną, Judy, i oboje postanawiają go kupić. Na raty. Spłacają go przez dwa lata. Po pięciu latach są posiadaczami dwóch Cézanne’ów, dwóch Picassów i rzeźby Duchampa, którą umieszczają na środku pokoju dziennego. Firma dostawcza rozkwita – klienci w Montanie i Kansas chcą mieć avocado i klementynki przez cały rok, a brat Isaaca, Irv, okazuje się specjalistą w dziedzinie transportu samochodowego i logistyki. Schultzowie powoli się bogacą, choć nigdy nie posiadają miliardów, tak jak dzisiejsi kolekcjonerzy. Wszystko, co zarabiają od tej pory, wydają na dzieła sztuki. Rzadko wyjeżdżają do Europy, nigdy nie jadają na mieście. Judy nie nosi futer ani biżuterii, on skleja połamane okulary taśmą. Nie kupują samochodu. Ale na początku lat siedemdziesiątych są posiadaczami trzydziestu Cézanne’ów z samą tylko Mont Sainte Victoire. Do szczęścia brakuje im tylko jednego.

– Dziecka – odezwał się Verlaque.

Przeczcucie Edmunda Lydgate'a

– Cóż za inspirująca historia – powiedziała Marine. – Pamiętam, że Gertruda Stein mówiła młodemu Hemingwayowi, żeby kupował sztukę i nic więcej. Schultzowie wzięli sobie tę zasadę do serca. Czy wciąż żyją?

– Issac Schultz zmarł przed trzema laty – odparł Lydgate. – A Judy we wrześniu.

– A co z kolekcją sztuki? – zapytał sędzia. – Rebecca ją dziedziczy, prawda?

– Tak, biedna dziewczyna.

– Nie rozumiem, panie Lydgate – odezwał się Verlaque.

– Okropne amerykańskie podatki od spadku. Rebecca w żadnym wypadku nie może zatrzymać tych dzieł, chyba że zapłaci podatek od ich obecnej wartości rynkowej.

– To chore – stwierdziła Marine. – Kiedy jej rodzice kupowali arcydzieła, z pewnością nie wiedzieli, jak bardzo ich ceny poszybują w górę.

– A znając branżę, wiem, że Rebecca jest teraz nagabywana przez Christie, Sotheby'ego, Japończyków i Rosjan – dodał Lydgate.

– Być może ta młoda kobieta nie chce stygmatyzacji związanej z posiadaniem tak wyjątkowej kolekcji sztuki. To wymaga szczególnej osobowości, kogoś, kto lubi być w świetle reflektorów – odezwał się doktor Bonnet.

„Och, myślę, że to by jej odpowiadało” – pomyślał Verlaque. Rebecca Schultz raczej przestała być główną podejrzaną – dlaczego miałyby zabić dla obrazu Cézanne'a, skoro dorastała z jego obrazami wiszącymi w kuchni?

– Czy potrafi pan określić, za jaką cenę sprzedałaby się kolekcja Schultzów? – chciała wiedzieć Marine.

Lydgate wstał i zaczął zbierać naczynia.

– Aby przybliżyć pani tę kwestię, powiem, że ostatnio małe studium akwarelowe *Grający w karty* Cézanne'a zostało sprzedane za prawie dwadzieścia tysięcy dolarów. A Schultzowie posiadali jedno z najważniejszych płócien, nie akwarele.

– Więc nawet jeśli doktor Schultz nie uda się zatrzymać kolekcji – stwierdziła Marine – to po jej sprzedaży będzie zamożną kobietą.

– Tak, to prawda – zgodził się z nią Lydgate.

– Pozwoli pan, że pomogę sprzątnąć naczynia – powiedział Anatole

Bonnet, zrywając się.

– Dziękuję – odparł Lydgate. – Dam pani patery na ciasto, które byli państwo uprzejmi przywieźć. Widzę, że zostało kupione u Michauda – wszędzie rozpoznalibyśmy to czerwone pudełko.

Kiedy Lydgate i jej ojciec byli w kuchni, Marine zwróciła się do Verlaque'a i szepnęła:

– To chyba oczyszcza Rebecę Schultz, prawda? Dlaczego miałyby zabijać dla obrazu Cézanne'a?

– Właśnie o tym myślałem – odparł. – A według naszego gospodarza to falsyfikat.

– Ale doktor Schultz o tym nie wiedziała – rzekła Marine. – Nie widziała obrazu. Może desperacko zapragnęła go posiadać w ramach osobistej vendetty, ale nie wiem przeciwko komu.

– Jako wybitna biografka Cézanne'a, wiedziałyby też o kochance Cézanne'a z Aix – odezwał się sędzia. – Nawet mnie było łatwo to odkryć. –

Sięgnął do kieszeni marynarki i sprawdził komórkę. – Żadnych wiadomości – powiedział.

– Przecież nie mogła rozpląnąć się w powietrzu – zauważyła Marine. – Taka piękność.

Lydgate i doktor Bonnet wnieśli *tropéziennes*, dumnie prezentujące się na kryształowym półmisku.

– Kto potrzebuje czekolady, kiedy jest *chantilly*? – zapytał Lydgate.

– Panie Lydgate – odezwał się Verlaque, kiedy ciasto zostało już pokrojone i podane. – Jest coś, czego nigdy nie rozumiałem w sztuce.

– Proszę mówić dalej – zachęcił go Lydgate, wkładając do ust kawałek ciasta i odchylając się na oparcie krzesła z wyrazem rozkoszy na twarzy.

– Skąd pan, czy też jakikolwiek ekspert, wie, czy Cézanne nie chciał zmienić stylu tylko dla tego konkretnego obrazu?

Verlaque coraz bardziej zastanawiał się nad rozmową z Bruno Paulikiem i zaczął wątpić w siłę swego argumentu.

Edmund Lydgate wyglądał na skonsternowanego.

Sędzia mówił dalej:

– Na przykład, jak się czuł pewnego wtorkowego poranka?

Lydgate się uśmiechnął, a sędzia zauważył, że na twarzy ojca Marine maluje się niepokój.

– Przestańcie na mnie patrzeć jak na półgłówka – próbował zażartować Verlaque.

– Mój drogi – odezwał się Lydgate po angielsku – artysta tak poważny jak Paul Cézanne, nie zmienia stylu pewnego ranka jedynie dla zabawy.

– Dlaczego nie? – dopytywał się sędzia, krzyżując ramiona i czekając na więcej argumentów.

– Tak dużo czasu zajęło mu dotarcie do tego punktu – powiedział Anatole Bonnet, ponownie sprowadzając język rozmowy na francuski. –

Był wyrzutkiem, ale w 1885 w końcu znalazł swój dar. Pomyślcie o wszystkich złościwościach, jakie usłyszał w Paryżu. Nawet mieszkańcy Aix go nie rozumieli.

– Nie miał czasu ani żadnego interesu w tym, by zacząć się bawić inną techniką – wyjaśnił Lydgate. – I to właśnie dzięki temu ludzie tacy jak ja...

– Eksperci.

– Zgadza się – przytaknął Lydgate. – Tak, eksperci tacy jak ja mogą być pewni, na co patrzą. Chociaż...

– Tak? – zainteresowała się Marine, pochylając się do przodu.

Gospodarz zerknął w kierunku płótna i wstał od stołu. Podeszedł do obrazu, z rękoma złożonymi na plecach, i się pochylił. Wziął lupę i zaczął się przyglądać szczegółom, znów coś nucąc.

– W kuchni jest butelka *eau-de-vie*, moi drodzy. Może ktoś z państwa zajmie się podaniem. Są przy niej małe szklaneczki.

Verlaque spełnił polecenie. Anatole nakrył dłonią swoją szklaneczkę – ponieważ był kierowcą, mógł spróbować tylko odrobinę wina. Marine wstała i stanęła obok Lydgate'a.

– Co pan widzi, a czego nie widzi?

– Bardzo sprytne – odparł. Doktor Bonnet i Verlaque stanęli przy nich. – Widzę wstępne szkice płótna, a Cézanne zawsze robił je pędzlem, niebieską farbą, nigdy węglem. – Wskazał odpowiednie części obrazu. – I nie widzę czarnej kawy.

Goście popatrzyli na niego ze zdumieniem, aż wreszcie Marine zapytała:

– Do postarzenia?

– Tak. Czarna kawa rozlana na płótno wgryzie się w strukturę materiału. Wtarta dłonią, wysycha i za cztery i pół minuty obraz będzie wyglądał na starszy o sto lat.

– Na pewno istnieją inne sposoby na postarzenie obrazu – odezwał się Verlaque.

– Kurz z odkurzacza też czyni cuda – odparł Lydgate.

– Chyba pan żartuje.

– W żadnym razie – zaprzeczył Lydgate. – Mistrz fałszowania w północnej Anglii, nim został przyłapany, przez lata malował tanimi domowymi farbami. – Gospodarz pociągnął duży łyk *eau-de-vie* i nadal wpatrywał się w obraz, używając lupy. – Przy tym płótnie nikt nie kombinował – orzekł w końcu. – Nie widzę oznak sztucznego postarzenia. Ale potrzebowałbym więcej czasu i lepszego sprzętu, żeby mu się przyjrzeć. Nie sądzi pan...

– Jeśli pan sobie życzy, to może pan na nie patrzeć w Pałacu Sprawiedliwości w Aix – poinformował go sędzia. – Ale nie mogę stracić go z oczu.

– Czy mogę zrobić kilka zdjęć? – zapytał Lydgate.

– Pięć – odparł Verlaque z uśmiechem.

Gospodarz wręczył Marine mały aparat fotograficzny.

– Czy mogłaby pani, moja droga? Potrzebujemy więcej *eau-de-vie*. – Lydgate podniósł szklankę i wyciągnął ją przed siebie. Verlaque nalał mu trunku, a on pił, chodząc po pokoju. Marine patrzyła na eksperta i zastanawiała się, czy nie stara się on ich oszukać, że malowidło jest falsyfikatem. Lydgate pasjonował się portretami, ale teraz wydawał się niezdecydowany.

– Wydał pan okrzyk na widok tego obrazu – powiedziała Marine. – Pierwsze przeczucie mówiło panu, że to autentyk.

Lydgate spojrział na nią.

– Nie myli się pani. – Znowu podszedł do płótna, odstawił pustą szklankę na blat stołu i zaczął mu się przyglądać z rękami założonymi na plecach.

Verlaque spojrział na Marine i się uśmiechnął. Lydgate stał teraz po przeciwnej stronie stołu i patrzył na płótno odwrócone do góry nogami. – „Nie powinien pić tej drugiej szklanki *eau-de-vie*” – pomyślał sędzia.

– To modelka mnie martwi – powiedział w końcu Lydgate, odwracając twarz do Marine, Verlaque’a i doktora Bonnet. – Nieznana kobieta, w zbyt jaskrawym ubraniu, która uśmiecha się do malarza. To mógłby być Manet. Albo Monet. Ale nie Paul Cézanne. Przykro mi.

– On nie jest naszą własnością – rzekł Verlaque. Dla siebie zachował myśl, że prawdopodobnie dwóch ludzi zostało zamordowanych z powodu fałszywego Cézanne’a. Dlaczego? – Nie zależy nam więc aż tak bardzo, żeby to był prawdziwy Cézanne. Ale dziękuję panu za pański czas.

*

Edmund Lydgate słyszał silnik brzydkiego samochodu doktora Bonnet, który powoli kierował się w dół podjazdu i zatrzymał się w końcu przy wyjeździe na szosę. Kiedy Edmund sprzątał ze stołu, nalał sobie trochę więcej *eau-de-vie* i na chwilę się zatrzymał na wspomnienie obrazu. Obrazu, który przyprowadził go o szybsze bicie serca.

Na górze otworzyły się i zamknęły drzwi, a on wszedł do holu i czekał u podnóża schodów, opierając dłoń na mosiężnej kuli wieńczącej balustradę z kutego żelaza. Kiedy zobaczył czarne wysokie obcasy i zielone tweedowe spodnie, pomyślał o swojej drogiej żonie, Hazel. Nie żyła już od prawie dziesięciu lat, ale nie było dnia, by o niej nie myślał, zwłaszcza kiedy przebywał w ogrodzie. Hazel, która, w przeciwieństwie do niego, uprawiała sport. Hazel, która unikała alkoholu i uważała na to, co je. Ale rak chyba w ogóle się tym nie przejął.

– Mam nadzieję, że zostawiłeś mi coś do jedzenia – powiedziała kobieta, która teraz zeszła już na dół i wyciągnęła do niego rękę.

– Tak, moja piękna – odparł Lydgate, ujmując jej dłoń i prowadząc ją do kuchni.

– Świetnie. Myślałam, że już nigdy nie wyjdą – rzekła Rebecca, podeszła do zlewozmywaka i umyła ręce. – Ale wiesz, Edmundzie – odezwała się do niego, kiedy wyjmował z piekarnika talerz z pozostałym jedzeniem, które trzymał tam dla niej, żeby było ciepłe – nigdy nie uważałam się za piękność. Raczej za dziwoląga. Zbyt wysoka, z burzą nieposłusznych włosów na głowie. Drobne szczupłe blondynki – to one były pięknościami.

Lydgate się uśmiechnął: – Och, gdzie one są teraz? – zapytał. – Blond włosy z pasemkami, a ich filigranowe ciała zmieniły się w pulchne.

– Bardzo w to wątpię, biorąc pod uwagę to, gdzie dorastałam – odparła. – Ale dzięki. – Podążyła za nim do jadalni, a on szybko przygotował dla niej miejsce przy stole. Podniosła widelec i zaczęła jeść z apetytem. – Edmundzie, twoja zapiekanka jest... boska!

– Powinnaś uważać na to, jak często używasz słowa „boska” – skomentował.

Rebecca się uśmiechnęła i wytarła kąciki ust lnianą serwetką, którą wręczył jej gospodarz. – Zatem, mój drogi, jaki jest twój werdykt? Czy zastosowałeś trik „do góry nogami”, tak jak ci radziłam?

– Tak, kochana – odparł. – Ale przykro mi, muszę cię rozczarować, ponieważ to nie oryginał. Bardzo dobry, lecz jednak falsyfikat.

Dedans / dehors

– Bruno – odezwał się Verlaque, wstając zza biurka. – Czasami myślę, że mnie wykorzystujesz, ponieważ mam ekspres do espresso.

Paulik się uśmiechnął i uściśnął dłoń szefa.

– Tylko w poniedziałkowe poranki, proszę pana. Poza tym kawa nas rozgrzeje.

Sędzia włączył ekspres i obaj mężczyźni stali przed nim, czekając, aż zapali się małe czerwone światełko, sygnalizujące, że jest już wystarczająco rozgrzany, by zrobić kawę.

– Lepiej mu się tak nie przyglądajmy – powiedział sędzia.

– Ma pan rację – zgodził się Paulik, odwracając się tyłem do niewielkiego urzędnika. – Flamant był tu wczoraj przez cały dzień i szukał informacji o Guy Manevalu.

– I?

– Po pierwsze, Guy pracował jako bramkarz w La Fantasie.

– Ma jakieś powiązania z mafią? – zapytał Verlaque, ponieważ wiadomo było, że klub jest własnością korsykańskiej organizacji przestępczej.

– Tak – odpowiedział Paulik. – Jeden z jego kolegów jest teraz w areszcie, więc Flamant i Caromb złożyli mu wizytę. Proszę zgadnąć, kto to. Kévin Malongo. Z radością zgłosił chęć współpracy. Z tego, co udało nam się poskładać razem – w tym z informacji, które uzyskał pan od barmana z baru Zola – wynika, że Maneval musiał podsłuchać, jak René Roquet chwali się obrazem, poszedł za nim do domu i zabił go w trakcie szarpaniny. Zabrał jedyny obraz, jaki udało mu się znaleźć, który z grubsza wyglądał na Cézanne’a.

– Co zamierzał z nim zrobić? – zapytał sędzia. – Niełatwo coś takiego sprzedać. Oczywiście, gdyby wziął właściwy obraz.

– Malongo mówi, że Maneval zawalił transakcję narkotykową i miał nadzieję naprawić stosunki z Fabriziem Orsanim.

– Chciał oddać obraz ojcu chrzestnemu? – zapytał Verlaque. Odwrócił się do ekspresu. – Światełko miga.

Paulik zatarł ręce.

– Ja wypiję ristretto.

– Ja też – stwierdził Verlaque. – A potem następne.

– Dotrzymam panu towarzystwa.

– Jak Maneval mógł zawalić transakcję narkotykową? – pytał dalej

sędzia. – Czy ktoś został zabity?

– Nie – odparł Paulik. – Caromb i Flamant razem z Malongo nieźle się z tego pośmiali. Maneval transportował worki heroiny z Marsylii do Paryża i je zgubił.

Verlaque wręczył Paulikowi kawę.

– Biedak – podsumował. – Jak się gubi heroinę?

Komisarz usiadł, popijając kawę.

– To najlepszy kawałek – powiedział ze śmiechem. – Zgubił ją w TGV.

*

Verlaque siedział w nieoznakowanym samochodzie, szczęśliwy, że prowadzi Roger Caromb. Po raz pierwszy, odkąd został sędzią śledczym, miał tremę. Niewiarygodne, że tak szybko udało mu się umówić na spotkanie z Fabriziem Orsanim – inspektorzy dzwonili przez cały ranek, a po południu Paulik wsunął głowę w szparę w drzwiach biura i poinformował Verlaque'a o spotkaniu o szesnastej.

Verlaque udawał, że przegląda dokumenty, żałując, że nie może po prostu się odwrócić i podziwiać widoków. Nie chciał jednak rozmawiać z Carombem. Pędzili po A52, krętą autostradą, zazwyczaj pustą ze względu na opłaty za przejazd. Była to najkrótsza droga, by dotrzeć do Orsaniego, ponieważ nie mieszkał on w Marsylii, lecz niedaleko uroczej nadmorskiej wioski Cassis. Chociaż nigdy tam nie był, sędzia wiedział, że posiadłość Orsaniego nie może się znajdować w samej wiosce, ale na Giens, półwyspie położonym na zachód od Cassis, która była otoczona morzem i obejmowała kilka nieruchomości. Mieścił się tam również luksusowy hotel Les Roches Blanches, ulubiony hotel dziadka i babci Verlaque'a. Kiedyś gościł tam także Winston Churchill, który malował akwarele, siedząc na tarasie.

Kiedy Caromb zasygnalizował zjazd z autostrady w Carnoux, sędzia pochylił się do przodu i powiedział:

– Roger, zjedź później, bardzo cię proszę. Opłata będzie wyższa, ale przejedziemy przez winnice w Cassis.

Caromb wzruszył ramionami, wymamrotał: – Dobrze, proszę pana – i jechał dalej. W wolne dni zawsze korzystał ze zjazdu w Cassis. Dzięki temu oszczędzał euro dwadzieścia na opłacie za przejazd, poza tym w Carnoux mijał trafikę, przy której się zatrzymywał, żeby kupić papierosy lub kilka piw na plażę.

Skręcili w następny zjazd, samochód mknął w dół krętej drogi biegnącej przez winnice – przeważnie białych winogron – Cassis, jednego z najmniejszych francuskich regionów szczycących się certyfikatem pochodzenia wina. Na pierwszym rondzie skręcili w prawo i wjechali na wzgórze, mijając małe i drogie hotele. Verlaque roześmiał się na głos, kiedy zobaczył nazwę jednego z nich – Royal Cottages. Jakim cudem chata mogła

być królewska? W najwyższym punkcie wsi skręcili w lewo na Półwysep Giens, według wskazówek, jakich udzielił Carombowi inny inspektor.

– To chyba siedziba ojca chrzestnego, co – zapytał Caromb, kiedy zwolnili przed czarnymi bramami.

– Nic podobnego – odparł Verlaque, podenerwowany, jak zwykle, kiedy przebywał z Carombem. – Fabrizio Orsani jest właścicielem małej firmy przewozowej, kilku hoteli, restauracji i nocnych klubów.

„Ale kto wie?” – zadumał się sędzia. Być może Orsani nie miał związków z mafią. Być może korsykański ojciec chrzestny naprawdę był nietykalny i ukrywał się gdzieś na wzgórzach za Marsylią lub Ajaccio.

– Tak, słyszałem też, że importuje oliwę z oliwek – zaśmiał Caromb.

Odniesienie do nagradzanej książki Maria Puzo, adaptowanej na filmową trylogię, nie uszło uwagi Verlaque’a, który zdecydował się podjąć grę.

– „Zostaw broń, weź cannoli” – zacytował swoje ulubione zdanie z pierwszej części filmu.

Kiedy do ich samochodu podszedł strażnik, Caromb powstrzymał śmiech, otworzył okno i oznajmił:

– Inspektor Roger Caromb i sędzia Antoine Verlaque. O szesnastej mamy spotkanie z M. Orsanim.

„Nie, nie mamy” – pomyślał Verlaque. – „Ja mam”.

– Odznaki – zażądał strażnik, przyglądając im się badawczo.

Caromb wręczył mu odznaki, a strażnik spojrział na zdjęcia i długo studiował ich twarze.

– Wjeżdżajcie – powiedział w końcu, oddając im odznaki. – Zaparkujcie na szczycie wzgórza, przy motocyklu. Potem idźcie ścieżką wzdłuż muru do drzwi wejściowych.

Wjazd meandrował w górę wzniesienia, rozpościerając przed ich oczyma widoki na Cassis na wschodzie i na otwarte morze na zachodzie. Caromb zaparkował samochód i wysiedli, a sędzia wskazał kamienną ławkę.

– Nie sądzę, by spotkanie trwało długo – powiedział.

– Tak, proszę pana – odparł Caromb, przeciągnął się i usiadł.

Verlaque szedł wzdłuż wąskiej ścieżki, która wiła się, podobnie jak podjazd, podążając za mniej więcej dwumetrowym kamiennym murem. Dom zrobił na nim wrażenie i jednocześnie go zaskoczył. Nie była to rezydencja w fałszywym stylu włoskim, z loggiami i rzeźbami. Nie było to również ultramodernistyczne minimalistyczne dzieło architektoniczne, które także uważał za prawdopodobne w takim miejscu. Był to parterowy kamienno-ceglany dom z dachem z czerwonej dachówki. Gdyby dach pokryty był gontem, pasowałby do amerykańskiego środkowego zachodu. Budynek harmonizował – ale nie rywalizował – z otoczeniem. Został wykonany z naturalnych materiałów. Długa pergola z dachem z belek z polerowanego drewna chroniła gości od słońca i wiatru. Dach pergoli tu

i ówdzie miał otwory, aby drzewa mogły przez nią dalej rosnać. Wzdłuż zadaszanej ścieżki pięły się rośliny, których bujność świadczyła o ciągłej trosce i podlewaniu. Rosły tam też grube palmy, rozłożyste paprocie i – jak sobie wyobrażał Verlaque, barwne kwiaty tropikalne w lecie. Kiedy zbliżył się do drzwi wejściowych, ujawnił się prawdziwy charakter domu. Przez ogromną ścianę ze szkła goście mogli zajrzeć do środka, a osoba przebywająca wewnątrz musiała się czuć, jakby przebywała na zewnątrz, w tropikalnym ogrodzie. Verlaque starał się nie zaglądać do środka, ale zerkając w bok, mógł dostrzec białe ściany, książki i rzeźby.

Drzwi wejściowe, masywne i wykonane z jasnego drewna, otwarły się przed nim, zanim do nich dotarł. Niski, białowłosy mężczyzna w marynarce ze stójką i w okrągłych rogowych okularach otworzył jedno ze skrzydeł.

– Dzień dobry, panie sędzio – powiedział, usuwając się na bok.

Verlaque uściśnął mu dłoń.

Mężczyzna się uśmiechnął: – Jestem Fabrizio Orsani. Proszę wejść.

– Dziękuję za zaproszenie z tak krótkim wyprzedzeniem – odparł sędzia, wchodząc do obszernego foyer.

– *C'est normale* – rzekł Orsani. – Zaszokowała mnie śmierć jednego z naszych pracowników. Zapraszam do pokoju dziennego.

Szli po terakotowych płytkach podłogowych, tak wypolerowanych, że sędzia obawiał się poślizgnąć, do pokoju tonącego w świetle dzięki ścianie z tafli szklanych. Pozostałe ściany pomalowano na kolor ciemnokremowy, przydający ciepła pomieszczeniu o suficie z chropowatego betonu.

– To bardzo piękny dom – odezwał się Verlaque. Zawahał się, czy ma rozmawiać o czymś neutralnym, a jednocześnie chciał dać do zrozumienia, że przybył z dobrymi intencjami, niezależnie od tego, czy starszy mężczyzna był ojcem chrzestnym, czy też nie.

Ku zaskoczeniu sędziego, gospodarz się rozpromienił.

– Dziękuję, jak pan widzi, to niewielki dom. Kupiliśmy go przed dwudziestu laty ze względu na położenie. Wówczas był to ponury budynek z lat pięćdziesiątych. Mój architekt po prostu wyrzucił wszystkie okna i zastąpił je szkłem od podłogi do sufitu, wprowadzając do środka morze i ogród. Nazywa to *dedans/dehors*. Napisał o tym książkę.

Verlaque jeszcze raz popatrzył na pokój dzienny. Orsani miał rację, nie był większy od jego salonu, lecz wielkie okna, pozwalające, by we wnętrzu zagościło to, co na zewnątrz, sprawiały, że pomieszczenie wyglądało na trzy razy większe. Sędzia z zalem pomyślał o tym, że nigdy nie uda mu się wymienić wąskich osiemnastowiecznych okien w jego mieszkaniu.

– Kawa? – zaproponował Orsani. – Woda gazowana? A może i to, i to?

– I to, i to, jeśli mogę – odparł Verlaque.

Orsani nie strzelił palcami, jak fantazjował wcześniej sędzia, lecz tylko się odwrócił, a wtedy, jakby miał nos przyklejony do drzwi pokoju, pojawił

się w nich młody człowiek.

– Jean-Louis, poproszę dwa espresso i dwie szklanki wody gazowanej – powiedział Orsani. Wskazał na odnowioną skórzaną sofę z lat pięćdziesiątych. – Proszę usiąść, panie sędzio.

– Dziękuję. Czy znał pan Guy Manevala?

– Nie, wcale – zaprzeczył gospodarz bez wahania. – Prowadzę dużą działalność, z wieloma punktami sprzedaży. Powiedziano mi, że z przerwami pracował jako bramkarz w jednym z naszych klubów w Aix.

Verlaque próbował sobie wyobrazić tego kulturalnego mężczyznę jako właściciela dyskoteki.

– Tak – potwierdził. – I tej nocy, kiedy został zamordowany, włamał się do mieszkania w centrum Aix. Być może zabił jego właściciela i uciekł z obrazem, który uznał za dzieło Cézanne’a. Czy wiedział pan o tym?

Orsani przecząco pokręcił głową i wzruszył ramionami. Tymczasem Jean-Louis wrócił z tacą, podał mężczyznom napoje i cicho wyszedł, i jak zauważył sędzia, pozostawił lekko uchylone drzwi.

– Manevala znaleziono zastrzelonego, z fałszywym obrazem Cézanne’a na szyi, który ktoś wcisnął mu przez głowę. Czy jest w tym jakiś sens?

– Według mnie nie.

– Nie kolekcjonuje pan obrazów Cézanne’a?

Orsani zakreślił okrąg dłonią.

– Proszę się rozejrzeć, a zobaczy pan, że interesuje mnie sztuka współczesna oraz afrykańskie rzeźby.

Verlaque zrobił to, co zasugerował mu gospodarz – wstał i przeszedł się po pokoju, zauważając duże kolorowe płótna.

– Poza tym – dodał Orsani – ceny Cézanne’a są nawet dla mnie poza zasięgiem. Trzeba być członkiem rodziny królewskiej, żeby kupować impresjonistów i postimpresjonistów. I nie mówię tu o zubożałych europejskich rodach królewskich.

„Ale ten został skradziony dla ciebie” – pomyślał sędzia. „Nie musiałbyś za niego płacić”.

Verlaque spojrzał na jadalnię, zaskakująco małą i kameralną, i dostrzegł prowadzące do niej trzy stopnie. Stał z rękoma na biodrach i przyglądał się czarnemu malowidłu na przeciwległej ścianie pomieszczenia.

– Jest pan wielbicielem? – zapytał Orsani.

– Tak, zdeklarowanym – przyznał sędzia. – W Centrum Pompidou ma być jego retrospektywa.

– Tak, i to płótno będzie jej częścią.

Verlaque powstrzymał się przed powiedzeniem, że jego obraz również i że spotkają się na *avant-première*. Jeśli Orsani bywa na takich wydarzeniach.

– Wahalem się, gdy poprosili mnie o wypożyczenie obrazu – ciągnął gospodarz. – Ale Elena, moja kochana żona, powiedziała, że jestem egoistą.

Sędzia się uśmiechnął. – Ma pan imponującą kolekcję sztuki – odezwał się, rozglądając się po pokoju. Przypomniał sobie artykuł w czasopiśmie prawniczym, autorstwa komendantki Barrès, najlepszej francuskiej ekspertki od kradzieży dzieł sztuki. W tym artykule, który pani komendant policji żartobliwie zatytułowała „Łapać złodzieja”, podkreślała ona znaczenie kradzionych dzieł sztuki w świecie zorganizowanej przestępczości: wykorzystywano je jako formę zapłaty, łapówki i spłatę długów. W mafii sztuka odgrywała rolę pieniędzy.

Orsani spojrział na sędziego i jak gdyby czytał mu w myślach, zapytał:

– Czy coś jeszcze? Niestety, za chwilę mam kolejne spotkanie.

Zanim Verlaque zdążył odpowiedzieć, drzwi do pokoju dziennego otworzyły się i ponownie pojawił się w nich Jean-Louis.

– Jean-Louis odprowadzi pana do wyjścia. A na wypadek, gdyby się pan zastanawiał – kupuję dzieła sztuki w renomowanej galerii w Zurychu i jeszcze jednej, w Paryżu.

Jasne chmury Graneta

26 lutego 1885

Manon przyglądała się Émilie de Saporta która siedziała w lektyce i się wachlowała mimo chłodu zimnego lutowego dnia. Hrabinę niosło dwóch młodych mężczyzn, jeden z przodu, drugi z tyłu, każdy trzymał drewniane drążki przechodzące przez uchwyty przytwierdzone po obu stronach lektyki. Patrzyli prosto przed siebie, każdy dumny z wypełnianego zadania, a może nim przerażony. Lektyka zdradzała swój wiek i podupadającą fortunę Saportów – drewno było zniszczone, a pozłacane detale wymagały retuszu.

Émilie de Saporta wyglądała na słabowitą i w wieku trzydziestu lat nie była już odpowiednim materiałem na żonę. U Michauda rozeszły się plotki, że rodzice hrabiny postanowili nie wydawać jej za męża, kiedy znajomy ojca dziewczyny, bogaty notariusz z Lyonu, stracił żonę po jej długiej chorobie.

– Ten człowiek – jak z przejęciem relacjonowała Manon i współpracownikom Amandine Michaud – ma ponad pięćdziesiąt lat, jest gruby, ma nos jak kartofel i małe przekrwione oczka.

Manon stała na Cours, wspominała śmiejące się sprzedawczynie i niemal tęskny wyraz twarzy Amandine i pomyślała: „Przynajmniej mnie to się nigdy nie przydarzy”. Zakasłała i owinęła się szalem. „Wolę żyć w biedzie”.

– *Un jour son palanquin va être dans un musée* – odezwał się głos za jej plecami.

Odwróciła się powoli – Tak pan myśli? – zapytała z uśmiechem.

– Oczywiście, Mlle Solari – odparł Cézanne. – Wkrótce nadejdzie dzień, kiedy bogaci przestaną być noszeni wszędzie jak niepełnosprawni królowie, a ich idiotyczne lektyki będą pokazywać w prowincjonalnych muzeach osobliwości.

– A podpis będzie głosił: „Jednoosobowa lektyka, noszona przez dwóch tragarzy, używana w Europie do 1900 roku”.

Cézanne się uśmiechnął:

– Bardzo dobrze! Przełom wieków przyniesie wiele zmian.

– Ale musimy poczekać piętnaście lat – rzekła dziewczyna. – Piętnaście lat to bardzo długo. W tym czasie może nas dopaść tyle chorób. Nawet żona bogatego notariusza z Lyonu nie zdołała przed tym uciec.

– No cóż, ale zanim to nastąpi, co powiesz na spacer? – zaproponował malarz. Powstrzymał się od wyciągnięcia do niej ręki, ponieważ znajdowali się na Cours Mirabeau. – Mam dobre wieści, panienko – dodał.

– Spotkajmy się gdzieś – powiedziała Manon, czując na swoich plecach wzrok Amandine Michaud. Clara miała rację, że się martwiła – co też Amandine notowała w swoich zeszytach?

– Do diabła z tymi konwenansami. Nie dbam o to, czy ludzie...

– Ale ja dbam – odezwała się z mocą Manon. – Przy sośnie. Tam, gdzie się spotkaliśmy po raz pierwszy – uścisnęła jego dłoń i odeszła.

Cézanne wyjął zegarek kieszonkowy – dochodziło południe. Kupi trochę sera, salami i wina i weźmie je na miejsce spotkania. Było zimno, a tak chciałby ją zabrać w jakiś ciepły zakątek. Skierował się w stronę katedry i po drodze próbował oszacować, ile z jego pieniędzy można by przeznaczyć na wynajęcie gdzieś małej chatki lub mieszkania. Może w Gardanne? Nikt ich tam nie znał i mógłby dać Mlle Solari niewielką sumę na pociąg. Ale płacił już za mieszkanie Hortense i Paula w Marsylii. Mademoiselle była taką rozsądną dziewczyną – czy w ogóle zgodziłaby się z nim spotkać za zamkniętymi drzwiami? – „Jakie są twoje intencje, Paulu Cézannie”? – pomyślał. Położył dłoń na klamce swojej ulubionej boulangerie i zdał sobie sprawę, że jego intencje są czyste – pragnął jedynie, przynajmniej w tamtej chwili, namalować Manon Solari.

– Czy przyszedł pan wzdłuż Le Tholonet? – zapytała Manon. – Dłuższą drogą?

Malarz się roześmiał. Tak wiele razy ktoś się z nim drażnił, zwłaszcza w Paryżu, że z kolacji czy z kawiarni wychodził często wściekły. Ale Mlle Solari potrafiła droczyć się z nim z miłością, ciepło. Niewinnie.

– Kupiłem dla nas coś na przekąskę – odezwał się. Usiadł na zimnej trawie i sięgnął do swojej torby. – Proszę spojrzeć – powiedział, rozpakowując dwa małe krążki koziego sera. – Rocamadour.

Twarz Manon się rozjaśniła. – Tylko raz jadłam ten ser.

Cézanne wyprostował się z dumą. Pieniądze jego ojca z banku mogły przynajmniej uszczęśliwić tę dziewczynę i napełnić jej żołądek. „A jeśli o to chodzi – pomyślał – to ja też spędziłem w banku wiele długich dni”. Przypomniał sobie któreś popołudnie na początku lat sześćdziesiątych, kiedy pewien urzędnik, bardzo irytujący zresztą – jak on się nazywał? – przerwał ojcu Paula, z wahaniem pukając do jego drzwi. W rękę trzymał księgę rachunkową, którą położył ostrożnie na biurku starszego mężczyzny, nie ukrywając uśmiešku czającego się w kącikach jego ust. Ostatnia strona księgi biła w oczy bankiera – był tam wiersz najwyraźniej napisany ręką jego syna: „Zatrwożony i zniszczony stary bankier Cézanne orientuje się, że jego miejsce zajął malarz”. Niedługo po tym incydencie Louis-Auguste pozwolił synowi opuścić bank, wyjechać do stolicy i podążać za artystycznymi marzeniami. Starszemu panu nie podobał się pomysł

z Paryżem ani to, że jego syn będzie mieszkał w brudnej i prawdopodobnie niebezpiecznej szóstej dzielnicy obok Ogrodu Luksemburskiego. Ale przynajmniej był tam Émile Zola, a bankier znał jego filozofię nadludzko ciężkiej pracy. Będzie wywierał dobry wpływ na Paula.

„Leopold” – pomyślał Cézanne, kiedy odpakowywał salami. Tak miał na imię ten złośliwy urzędnik.

– Czy to wołowina, czy wieprzowina? – zainteresowała się Manon, wachając kielbasę i pocierając dłonie.

– I to, i to – odparł malarz. – To mieszanka. Rzeźnik dostaje ją raz w tygodniu z Arles.

– Rozpieszcza mnie pan, panie Cézanne – powiedziała, po czym przyłożyła chusteczkę do ust i zakasłała.

– Musimy znaleźć sobie jakieś inne miejsce na spotkania – odezwał się malarz. – Tu jest za zimno.

Manon wzruszyła ramionami.

– Wszędzie będę szczęśliwa. Uwielbiam patrzeć, jak pan maluje.

– Mógłbym malować gdzieś we wnętrzu – odparł, odrywając dla niej kawałek bagietki.

– Philippe mówił mi o pańskich martwych naturach. Jabłka i gruszki, które spadają z kuchennego stołu! – Dała mu kuksańca w bok i uśmiechnęła się. – Powiedział, że są wspaniałe, awangardowe. Mówił, że pewnego dnia krytycy przyjrzą się tym obrazom i wreszcie dostrzegą, co starał się pan osiągnąć.

– Ale nie za mojego życia. – Zdał sobie sprawę, że to zabrzmiało pośępnie, więc próbował zmienić temat. – Czy Philippe opowiadał pani o sztuce? Wie pani tak dużo, jak paryscy artyści.

Manon się zarumieniła.

– Raz w tygodniu zabierał mnie do Musée Granet. Mówił, że większość prac nie należy do wybitnych...

– Z wyjątkiem obrazów samego Graneta.

– Właśnie! – potwierdziła, odkładając ser i nóż, żeby swobodnie gestykulować. To między innymi lubił w niej Cézanne. – Te jego jasne chmury!

– I te swobodne, luźne pociągnięcia pędzla! – dodał malarz z ekscytacją, nalewając Manon wina do małego metalowego kubeczka, który zawsze nosił w plecaku.

Dziewczyna podziękowała i przyglądała się, jak malarz koncentruje się na krojeniu salami scyzorykiem. Jakże się zmienił przez tych kilka tygodni, gdy spotykali się na skraju lasu! Czasami nadal bywał szorstkim artystą, o którym plotkowały dziewczęta u Michauda, ale zdarzało się to coraz rzadziej. Czuła niemal, że może mu powiedzieć wszystko. Ale nie zapytałaby o jego kochankę i syna, a on sam nigdy o nich nie wspominał.

– Powiedział pan, że ma pan jakieś wieści – ośmieliła się zapytać. Czy

dotyczyło to jego kochanki i syna? A może chce wrócić do Paryża i ona już nigdy go nie zobaczy?

Cézanne się uśmiechnął i sięgnął do plecaka.

– Moi paryscy przyjaciele naprawdę się dla mnie postarali – powiedział.
– To przyszło poranną pocztą.

– Masło shea i masło kokosowe?

– Po dwa słoiczki każdego rodzaju – odparł malarz, wręczając jej przesyłkę. – Z pani olejkami eterycznymi już wszystko będzie prawie gotowe.

Manon wyciągnęła rękę i objęła go za szyję.

– Dziękuję panu!

Nie próbował się wyswobodzić z jej uścisku. Zaskoczył go, a jednocześnie od dawna o nim marzył.

– Teraz potrzebuje pani tylko emulgatora.

Dziewczyna zmarszczyła brwi.

– To będzie najtrudniejsze – odezwała się, biorąc kawałek salami i wkładając go do ust. Uśmiechnęła się. – Jakie dobre – rzekła, kiedy przełknęła.

– No cóż – powiedział Cézanne, wyciągając rękę, by nalać jej więcej wina, a przy tym poczuć zapach lawendy, którą zawsze pachniała. Zapach, który stworzyła. – Rozmawiałem ze starym Vallierem.

– Kto to?

– Ogrodnik w Jas de Bouffan. Powiedziałem mu, że mam... przyjaciółkę, która potrzebuje środka wiążącego do kremu do twarzy, który chce wyprodukować. I wie pani, co zrobił?

– Proszę mi powiedzieć – odparła Manon, ciesząc się tą zabawą.

– Zabrał mnie na tył działki, za ogrodem różanym mamam. Vers les ruches.

– Och! Ule!

Cézanne się uśmiechnął.

– Vallier zbierze dla pani trochę wosku, *mademoiselle*. Myślę, że może się sprawdzić.

Kółko i krzyżyk

Rebecca Schultz patrzyła przez okno i wędrowała gdzieś myślami. Nie było dnia, by nie pomyślała o swoich adopcyjnych rodzicach. Została sierotą krótko po narodzinach i teraz, w wieku trzydziestu czterech lat, znów nią była. Co prawda mogła liczyć na wsparcie przyjaciół jej rodziców, a także rodziny, wuja Irva i jego żony, Deborah, którą uważała za słodką idiotkę. Ale to nie to samo, co stałe towarzystwo Isaaca i Judy (kiedy skończyła osiemnaście lat, zaczęła zwracać się do rodziców po imieniu). Nawet kiedy wyprowadziła się na drugi koniec Ameryki, żeby studiować w University of California Santa Cruz, a potem do Berkeley, by zrobić magisterkę, i na Harvard, by tam obronić doktorat, oni zawsze byli w jej głowie, ich ciche głosy dawały jej zachętę. Duże, błyszczące twarze, które uśmiechały się i obserwowały, jak ona rozkwita. Starsza kobieta siedząca obok niej czytała opowiadania Alice Munro przetłumaczone na francuski, Judy też chętnie przeczytałaby coś takiego.

Była niemowlęciem, gdy wzięli ją do swego domu, choć sami zdążyli już posiwieć. Mieli jednak ogromną energię – wystarczającą na to, by opiekować się bardzo żywą, ale grzeczną małą dziewczynką. Jak pamiętała Rebecca, w ich domu było pełno gości – zazwyczaj głodnych artystów lub właścicieli galerii, przychodzących po radę do jej rodziców, którzy, choć laicy wyrobili sobie niesamowite oko na współczesną sztukę. W jednym ze swych najwcześniejszych wspomnień dziewczynka została przyłapana na grze w piłkę w salonie.

– Rebecca! – zawołała Judy. – Uważaj na Duchampa! Pamiętaj o naszej zasadzie! Żadnej gry w piłkę w salonie, możesz to robić w holu.

Duchamp został sprzedany, by opłacić jej naukę w Harvardzie. Rebece go nie brakowało, a Judy zwierzyła jej się kiedyś, że wybrał go Isaac, nie ona.

Na przyjęciach Judy lubiła opowiadać historię o pierwszej nocy swojej córki poza domem. Rebecca właśnie skończyła siedem lat i pojawiła się w domu następnego ranka, zmęczona, ale szczęśliwa. Judy starała się nie zadawać zbyt wielu pytań – sama nie spała za dobrze – i w końcu córka spojrzała na nią i zapytała:

– Rodzina Karen jest bardzo miła, ale gdzie oni trzymają swoje Cézanne’y?

Rebecca wciąż była właścicielką mieszkania swoich rodziców w East

Village. Irv i Deborah twierdzili, że do niedawna, dopóki dzielnica nie zamieniła się w drogą i elegancką, szaleństwem było w niej mieszkać. Ale Deborah, niech ją Bóg błogosławi, pomogła Rebecce spakować i oddać wiele ich rzeczy, tych których nie chciała zatrzymać: proste, dobrze skrojone garnitury i ozdobne krawaty, znoszone wełniane spódnice i jedwabne bluzki matki, dużo za małe dla Rebeki. Zachowała większość torebek matki, które poza dziełami sztuki były jedynym szaleństwem, na jakie Judy sobie pozwalała. Elegancką kopertówkę z krokodylej skóry Rebecca podarowała Deborah, która przyjęła ją ze łzami w oczach.

Rebecca poruszyła się na krześle, starając się usiąść wygodnie. Spojrzała w dół, na swoją jasnozieloną torebkę z lat sześćdziesiątych i wyszeptwała:

– Judy, jesteś mi potrzebna.

*

Musieli jechać jak w wyścigu, by złapać pociąg o dziewiętnastej pięć. Roger Caromb zarobił na swoją pensję, dowożąc Verlaque'a na stację TGV w Aix na cztery minuty przed odjazdem pociągu. Zaparkował na drugiego na placu pod domem sędziego, podczas gdy ten wbiegł na górę po schodach, szybko zapakował torbę na jedną noc i już się spocił. Zmieni koszulę w pociągu. Następnie inspektor przejechał za róg, do Pałacu Sprawiedliwości i zaparkował przed wejściem z włączonym kogutem, a Verlaque wszedł do środka, by wziąć obraz. Wbiegł na drugie piętro i kierował się wzdłuż korytarza prowadzącego do skarbcza. Otworzył kluczem pierwsze pomieszczenie i zatrzymał się, zaskoczony, że widzi kogoś w środku.

– Co pani tu robi? – zapytał.

Młoda kobieta odwróciła się, zdumiona. Położyła rękę na sercu i powiedziała:

– Przepraszam, przyszłam tu wypić herbatę.

Verlaque spojrział na nią w osłupieniu.

– Co, u licha?

Wskazała czajnik na herbatę stojący na niskiej szafce na dokumenty.

– Wszyscy tu pijemy herbatę, panie sędzio. To najcieplejsze pomieszczenie w budynku.

Stał tam i rzeczywiście czuł ciepło wydzielane przez przewody wentylacyjne pod sufitem. Spojrział przed siebie i zobaczył, że drugie drzwi, okratowane, prowadzące do mniejszego pokoju, w którym przechowywano dowody, są bezpiecznie zamknięte.

– Skądś panią znam, prawda? – zapytał.

Kobieta podeszła do niego i wyciągnęła rękę.

– Mam na imię Françoise – odparła. – Jestem tu sprzątaczką, ale mam nadzieję, że któregoś dnia zostanę sekretarką. – Uśmiechnęła się. – Spotkaliśmy się też przy rue Boulegon. Jestem... byłam sąsiadką René

Rouqueta.

– Ach, tak, tam panią poznałem – rzekł Verlaque. – Aix jest bardzo małe. Przykro mi, ale będzie pani musiała wypić herbatę gdzie indziej, muszę wziąć dowód z pokoju obok.

– Oczywiście – powiedziała sprzątaczką, chwytając swój kubek. – Zrobię sobie herbatę w kuchni. Do widzenia.

Sędzia patrzył, jak odchodzi, otworzył drugie drzwi innym kluczem i wyjął malowidło. Wyszedł, zamykając za sobą oboje drzwi, i na korytarzu wpadł na Paulika.

– Mam pański bilet – odezwał się komisarz, wręczając bilet Verlaque’owi. – Zszedłem do samochodu i Caromb mi powiedział, że jest pan u góry.

– Od kiedy to personel wykorzystuje skarbiec, by się ogrzać?

– Odkąd wysiadło ogrzewanie – odparł Paulik, poprawiając swój wełniany szalik. – Lecz oczywiście nie powinni tam przebywać. Powiem Mme Gérard, by rozesłała ogłoszenie.

– Tak, proszę, zrób to – rzekł Verlaque, wkładając bilet do kieszeni. Razem pobiegli w dół schodów. – Czy wiedziałeś, że była sąsiadka Rouqueta pracuje tutaj jako sprzątaczką? Myślałem, że Mme Chazeau przekazała ci listę miejsc pracy mieszkańców rue Boulegon.

– Przekazała – odpowiedział Paulik. – Ale sprzątaczką nie pracują dla nas.

– Słucham?

– To jest podwykonawca – wyjaśnił komisarz. – Nazywają się Netoyage-Aix. Pewnie dlatego nie dotarło to do mnie. Mają kontrakty w całej Prowansji i wszędzie można zobaczyć ich furgonetki.

– Czy to przypadek? Sprawdź to – polecił sędzia. – I przekaz, żeby wszyscy trzymali się z dala od skarbcza!

– Tak, proszę pana.

Podeszli do samochodu i Paulik otworzył drzwi pasażera.

– Zadzwoń do ciebie po spotkaniu z Hyppolyte’em Thébaud i komendantką Barrès – rzekł Verlaque, wsiadając do samochodu.

Paulik zasalutował i pomachał, kiedy samochód przyśpieszał. Wiedział, że ruch pomiędzy Aix i stacją TGV będzie duży, ale Caromb użyje niebieskiego światła policyjnego, jeśli okaże się to konieczne. Paulik nigdy nie spotkał Hippolyte’a Thébauda, lecz Antoine Verlaque kilka miesięcy temu przekazał mu przy lunchu szczegółowy – i nieco humorystyczny – opis tego człowieka. Dandys – tak określał go sędzia. Wedle wiedzy Paulika dandys oznaczał, że Thébaud był drobnej budowy, przykładał wielką wagę do tego, co ma na sobie, delikatnie się wypowiadał i prawdopodobnie cenił staroświeckie akcesoria, takie jak rzeźbiona laska, róża w klapie marynarki, albo nawet cylinder. Bruno Paulik urodził się i wychował na farmie w Luberonie i nigdy nie widział dandysa, choć jego

żona Hélène przedstawiła mu kiedyś słynnego krytyka win, który według Paulika pasował do tej definicji. Albo też do jego definicji takiego człowieka.

*

Hippolyte Thébaud był jednym z najbardziej poszukiwanych we Francji ekspertów od win, jeśli nie ekspertem najbardziej poszukiwanym. Tym, co go odróżniało od innych konsultantów, była nie tylko jego fotograficzna pamięć, kiedy chodziło o wina, lecz także to, że wszystkiego, co umiał, nauczył się, gdy był w więzieniu. Zarówno sędzia, jak i komisarz od razu pomyśleli o wykorzystaniu kontaktów Thébauda w świecie oszustów, które pomogłyby im ocenić pochodzenie i stwierdzić autentyczność płótna.

– Profesjonalny znawca sztuki to jedno – stwierdził kiedyś Verlaque. – Ale znawca, który sam malował kopie, czy też je sprzedawał, potrafi spojrzeć na ten portret w inny sposób.

– Wisienką na torcie był fakt, że Mme Gérard udało się umówić spotkanie z komendantką Barrès, autorką artykułu Złapać złodzieja.

Verlaque uświadomił sobie, że miał szczęście, zdążywszy na pociąg, gdyż jego spotkania z Hippolyte'em – w trakcie poprzedniej sprawy, związanej z kradzieżą wina, przeszli na ty – i jego kumplem Hervé, fałszerzem dzieł sztuki, miały rozpocząć się następnego dnia o dziewiątej. Ale kupowanie biletu w ostatniej chwili zawsze miało swoje złe strony, a wśród nich najgorsze było to, że upragnione pojedyncze miejsca w wagonach pierwszej klasy były już zajęte. Verlaque wyciągnął nogi, a mały chłopczyk naprzeciwko niego kręcił się i wiercił. Matka chłopca bawiła się komórką, bądź też wysyłała SMS-y, a dziecko próbowało samo się sobą zająć. Sędzia nie znosił *carées* w TGV – cztery siedzenia, dwa obok siebie naprzeciwko dwóch innych, a pomiędzy nimi wąski stolik. Starszy mężczyzna po lewej stronie Verlaque'a zasnął, już zanim pociąg dotarł do Awinionu, a jego ciche chrapanie doskonale się zsynchronizowało z brzmieniem pociągu. Osobowy przekroczył Ren i sędzia zmrużył oczy, by zobaczyć centrum Awinionu. Pomimo ciemności widział, że jest rozświetlony, jak zwykle, a średniowieczny Palais des Papes góruje – a nawet przytłacza – dużo nowsze budynki, które go otaczają.

Verlaque otworzył swój notes Moleskine'a i zastanawiał się, czy nie wyrwać z niego kartki i nie dać dzieciakowi naprzeciwko razem z ołówkiem, by chłopiec miał jakieś zajęcie. Matka nadal była wpatrzona w telefon. Verlaque westchnął i zaczął przeglądać swoje notatki na temat obecnego przypadku. Narysował pustą ramkę. Dwa morderstwa, jedna zaginiona amerykańska uczona – wszystko obracało się wokół obrazu, który Edmund Lydgate nazwał fałszerstwem. Czy kłamał? Ale dlaczego? Gdyby obraz był falsyfikatem, zatrzymano by go jako dowód w Pałacu Sprawiedliwości, a następnie zniszczono. Lydgate nie mógłby wejść w jego

posiadanie w kilka miesięcy czy lat później ani go sprzedać.

Pojawił się kelner i rozdał menu. Starszy pan się obudził i szybko zamówił sałatkę z makaronem i kanapkę z szynką. Verlaque spojrział na menu i poprosił o risotto.

– Przepraszam – usprawiedliwił się kelner. – Już nie możemy roznosić gorących potraw, tylko zimne. Po gorące danie musi pan przejść do wagonu restauracyjnego.

– W takim razie zjem coś w Paryżu – powiedział sędzia, oddając menu. Nie znosił zimnych kolacji, a nie miał ochoty przeciskać się do wagonu restauracyjnego. Poza tym ze swojego miejsca widział skrawek swojej skórzanej torby, która spoczywała na półce na bagaż z przodu przedziału.

Kobieta i dziecko zaczęli jeść kanapki i ser i Verlaque poczuł ulgę, gdy mama malucha wyjęła owoce i wodę, zamiast raczyć go napojem gazowanym i słodyczami.

Wyjął książkę o Cézannie i zaczął czytać. Od zawsze lubił patrzeć na obrazy tego malarza, ale do tej pory nie zdawał sobie sprawy z jego wkładu w sztukę współczesną. To Cézanne pierwszy wykorzystał zasoby swojej wyobraźni, by malować tak, że prawie każdy artysta XX wieku szedł w jego ślady. Natura była dla Cézanne'a niemal duchową materią – kosmosem, w którym wszystko się ze sobą łączyło. Sędzia odłożył książkę i pomyślał o kimś, kogo poznał przy jednej z wcześniejszych spraw – o Jeanie-Claudzie Auvieux, ogrodniku, który zajmował się gruntami wokół château na przedmieściach Aix – teraz małym, luksusowym hotelu. Według Verlaque'a Jean-Claude był najbliższy temu, by stać się współczesnym Cézanne'em. Sędzia przyrzekł sobie, że wkrótce go odwiedzi. Znowu otworzył książkę i spojrział na jeden ze wczesnych portretów ojca Cézanne'a z 1866 roku, gdy malarz miał dwadzieścia siedem lat. Starszy pan miał na sobie małą czarną czapkę i siedział w fotelu, a w grubych rękach trzymał gazetę „L'Enénement”. Verlaque się uśmiechnął, doceniając żart malarza: ojciec bankier czytający lewicową gazetę. To tak, jakby jego ojciec czytał „Libération”. Autor książki sugerował, że Cézanne zadrwił ze swego ojca. Verlaque wyrzwał w ciemność za oknem i znów popatrzył na obraz. Być może Cézanne nie był złośliwy. Może szukał zrozumienia, starając się nawiązać kontakt z ojcem.

Sędzia zauważył, że przyniesiono posiłek starszemu człowiekowi, a ten jadł z apetytem, oblizując wargi. Skończył swoje bordeaux i pochłaniał teraz mus czekoladowy nawet z większym entuzjazmem niż kanapkę. Mały chłopiec przyglądał mu się zafascynowany.

Żołądek sędziego zaczął burczeć. Starszy pan – tym razem wolno – pociągał koniak, wyjął gazetę i zaczął czytać. Była już prawie dwudziesta trzydzieści. Dzieliło ich jeszcze półtorej godziny od Paryża i Verlaque pomyślał, że gorący posiłek, czerwone wino i koniak uspokoją go przed wizytą u *chez les parents*. Jego brat, Sébastien, wyjechał do jakiegoś

kurortu w Maroku, więc kiedy ojciec Verlaque'a powiedział mu o chorobie matki, wydawało się oczywiste, że sędzia zatrzyma się u nich w domu. M. Verlaque zawahał się przez krótką chwilę, zanim powiedział:

– Przyjedź, proszę. Pewnie zjesz w pociągu?

Po tym komentarzu, a raczej wskazówce, Verlaque skierował się do wagonu restauracyjnego.

Gdy wrócił na swoje miejsce, z miniaturową buteleczką koniaku i plastikowym kubkiem, chłopiec kręcił się jeszcze bardziej niż poprzednio. Jego matka syknęła:

– *Arrêt-toi!*

Verlaque sięgnął do swojej teczki, która leżała na półce nad siedzeniem i przeszukiwał ją, dopóki nie znalazł długopisu i kawałka papieru. Położył kartkę na stoliku pomiędzy nim a dzieckiem i narysował pionowe i poziome linie do gry w kółko i krzyżyk. Chłopiec powoli wziął długopis i z ciekawością spojrzął na Verlaque'a.

– Ty pierwszy – powiedział sędzia.

– Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu – odezwała się matka chłopca, uśmiechając się do niego. – Wykorzystam tę sposobność, by udać się do toalety.

– Bardzo proszę – powiedział Verlaque. Uśmiechnął się i nalał sobie kieliszek koniaku.

Rozgrywali dwunastą partię, kiedy pociąg wtoczył się na Gare de Lyon i zatrzymał się na peronie. Chłopiec się uśmiechnął, gdy sędzia odsunął papier i długopisy. Jego matka wróciła i robiła zamieszanie wokół ich bagaży.

– *Voilà, maman et papa* – powiedziała, wskazując gestem na parę starszych ludzi, którzy stali przed ich oknami, machając gorączkowo.

Chłopiec zaklaskał w dłonie i przycisnął nos do szyby. Ta scena przypomniła Verlaque'owi o Emmeline i Charles'u, jego dziadkach, a także o nim samym, gdy był małym chłopcem.

– Wspaniałego pobytu w Paryżu – powiedział.

– *Merci, monsieur* – podziękowała matka, przytulając chłopca. – Pośpieszmy się!

Sędzia włożył płaszcz i zdjął swoją teczkę z półki powyżej, pozwalając, by inni pasażerowie przechodzili obok niego. Chciał być ostatnią osobą, która wysiada. Nie widział swojej skórzanej torby na półce na bagaż i uznał, że czyjaś wielka walizka ją blokuje. Niczym w zwolnionym tempie obserwował w przerażeniu, jak każdy z pasażerów przyciska swoją walizkę, zabierając ją z półki, a kiedy inne walizki zniknęły, tej należącej do niego ciągle nie było widać. Poczul suchość w ustach, a serce zaczęło bić coraz szybciej. I to wszystko dla marnego gorącego posiłku. Ostatnią osobą, która wysiadała, była wysoka, jasnowłosa bizneswoman. Widział, jak wsiadała w Awinionie, a teraz chwyciła małą srebrną torbę na jedną noc

i prawie wyskoczyła, pozostawiając za sobą pusty regał na bagaże.

22

W domu

– Co takiego? – krzyknęła Marine do słuchawki. – *Ce n'est pas vrai!*

– Nie musisz krzyżeć – wyszeptał Verlaque. Chciał powiedzieć: „To się zdarza każdego dnia” – ale Marine o tym wiedziała. Oboje słyszeli relacje radiowe o chińskim biznesmenie, który w drodze do Genewy zostawił w pociągu bezcenną wagę z epoki Ming. Oboje naśmiewali się z biedaka. W tej chwili Verlaque miał dla niego więcej współczucia. Siedział w bokserkach na skraju podwójnego łóżka i patrzył na swoje gołe kolana. Jego matka, teraz w szpitalu, normalnie spałaby w pokoju obok, a pokój jego ojca znajdował się po przeciwnej stronie holu. A w każdym razie Verlaque założył, że ojciec tam śpi, bo najpewniej w wieku siedemdziesięciu lat zrezygnował ze swoich miłosnych podbojów. A może w tym wieku były one najbardziej intensywne?

– I nie widziałeś nikogo, kto mógłby być...

– Zbirem z mafii? – zapytał sędzia. – Albo złodziejem dzieł sztuki? Nie.

„Czego miałem szukać?” – prawie zapytał Verlaque. „Grace Kelly w czerni, z małą maseczką?”

– Ale ze swojego miejsca widziałeś półkę na bagaż, prawda? Zauważyłbyś więc, gdyby ktoś chwycił twoją torbę.

– No cóż...

– Chyba że wyszedłeś z przedziału, nie zabierając bagażu ze sobą.

– Teraz po ciepły posiłek musisz iść do wagonu restauracyjnego – tu przerwał swoje wyjaśnienia, zdając sobie sprawę, jak są żałosne. Nie powiedział Marine, że jego uwagę odwrócił mały chłopiec, a on myślał o swoich rodzicach i zapomniał wziąć torbę do wagonu restauracyjnego.

Marine nie mogła powstrzymać się od śmiechu, więc Verlaque odsunął słuchawkę od ucha.

– Starszy mężczyzna obok mnie pił koniak – mówił dalej. – A ten koniak pachniał tak ładnie...

– Straciłeś coś, co mogło być obrazem Cézanne'a, warte miliony euro, bo miałeś ochotę na buteleczkę taniego koniaku? Przecież ty nawet nie lubisz koniaku!

– To prawda, jeśli mam wybór, wolę armaniak.

– Antoine! Bądź poważny!

Verlaque zaczął się śmiać.

– To i tak jest falsyfikat – powiedział tylko i wytarł nos.

– Mój ojciec jest innego zdania – stwierdziła Marine. – A jeśli to falsyfikat, to dlaczego ludzie tak desperacko chcą go mieć?

– Czuję się otępiały, naprawdę, i bardzo mnie to dziwi. Powinienem się martwić albo złościć na siebie, ale nic nie czuję. Po tych wszystkich latach mam spędzić noc w domu moich rodziców. Wiesz, ostatni raz, kiedy tu byłem, spędziłem z nimi godzinę w jednym z ich zagraconych pokoiów dziennych i nie pamiętam, by wymienili ze sobą choćby jedno słowo. Zadali mi kilka zdawkowych pytań, odpowiedziałem, nie przekazując zbyt wiele informacji, a potem wszyscy jak na komendę ziewnęliśmy i poszliśmy spać. Dziś wieczorem widziałem mojego ojca wystarczająco długo, by powiedzieć mu cześć. I pożyczył mi jakieś ubranie.

– Przykro mi, Antoine.

– Wiesz, w pociągu był mały chłopiec – powiedział sędzia. – Jego matka nie powiedziała do niego ani jednego słowa, najwyraźniej chciała tylko, by siedział cicho i przestał się wiercić. Biedy dzieciak nie miał żadnych gier ani zabawek. A kiedy dojechaliśmy do Paryża, na peronie czekali jego dziadkowie. Patrzyłem, jak wyskakuje z pociągu i rzuca się im w ramiona.

Marine zauważyła podobieństwo do dziadków Verlaque'a.

– Czy jutro będziesz mógł odwiedzić matkę?

– Mam nadzieję – odparł sędzia.

– Idź spać, wyśpij się, a rano zaczniesz szukać obrazu. Nie mógł się rozpląnąć w powietrzu. – Przerwała i dodała: – Jest coś, co mnie martwi...

– Mnie też – powiedział Verlaque. – Ktoś mnie śledził w pociągu.

– Tak – zgodziła się z nim Marine. – Pewnie ktoś cię śledził już w Aix. Zastanawiam się, czy ktoś za nami jechał w Luberonie.

Sędzia wstał i popatrzył przez okno w dół rue des Petits Pères. Zobaczył parę młodych ludzi spacerujących pod rękę i podążającego w przeciwnym kierunku starszego człowieka, który wyprowadzał małego pieska na spacer. Zaciągnął zasłony.

– Ale inspektor, który wiózł mnie na stację TGV, jest prawdziwym szaleńcem – odezwał się do Marine. – Nikt nie potrafiłby dotrzymać mu kroku.

Marine zastanowiła się przez chwilę, popijając przy tym ziołową herbatę.

– Motocykl mógłby.

– *Merde!* – zaklął Verlaque, wchodząc do łóżka i naciągając na siebie pikowaną kołdrę. Nagle zrobiło mu się zimno i zatęsknił do Marine.

– Dobra pani jest, pani profesor Bonnet.

– Poza tym motocykle mają przywileje parkingowe na dworcu, prawda?

– Tak. Mogą parkować tuż przed wejściem.

*

Verlaque obudził się następnego ranka wypoczęty, ale ze ściśniętym żołądkiem. Już dwa razy zabierał płótno z sejfów w Pałacu Sprawiedliwości,

a teraz ono zginęło. Wziął prysznic, wdzięczny, że ktoś – prawdopodobnie należący do personelu – zajął się zaopatrzeniem łazienki w kosztowne mydło i szampon.

Jego ojciec wyłożył mu czystą koszulę – byli mniej więcej tego samego wzrostu, choć z wiekiem starszy pan stracił charakterystyczny dla średniego wieku brzuch, jakim teraz mógł się pochwalić sędzia. Na łóżku obok leżały też bokserki w nietkniętym fabrycznym opakowaniu... Czy to był prezent? Czy może jego ojciec nie lubił pasków?

– Możesz zatrzymać skarpetki, jeśli chcesz – powiedział, wręczając synowi parę kolorowych skarpetek z jedwabnej przędzy Missoniego, które prawdopodobnie kosztowały więcej niż koszula. – Miałem je na sobie tylko raz i okazały się trochę za duże – dodał. – To był prezent.

„Od włoskiej kochanki?”

Verlaque wciągnął skarpetki – pasowały – i pomyślał o płaszczu Rebeki Schultz, też od Missoniego.

Gdy już ubrany schodził na dół, po raz pierwszy od lat zwrócił uwagę na inspirowane średniowieczem i renesansem meble, które jego matka porzastaiała w paryskim mieszkaniu. Kolory, jak uznał, były całkiem przyjemne – czerwień, złoto i zieleń – ale prawdopodobnie wyszły już z mody. Pamiętał, że rodzice wielkim kosztem odrestaurowali drewniane schody. W drewnie starannie wyrzeźbiono łuki w gotyckim stylu, a pierwsza właścicielka mieszkania – śpiewaczka operowa – dawała koncerty z najwyższego stopnia, podczas gdy goście podziwiali ją z niższego piętra.

Śniadanie już czekało w jadalni, w drzwiach pojawiła się służąca z dzbankiem kawy i świeżo wyciśniętym sokiem pomarańczowym. Uśmiechnął się do niej – była to kobieta w średnim wieku, o miłym wyglądzie, błyszczących oczach i różowych policzkach.

– Dziękuję...

– Hortense – odparła.

– Nie przyjeżdżam tutaj często. Czy już się spotkaliśmy?

– Tak, panie sędzio. Kilka razy.

Verlaque poczuł się zakłopotany. Powinien ją pamiętać. Teraz wiedział, że zanim poznał Marine, był zapatrzonym w siebie egocentrykiem. Hortense go obsługiwała, a on kompletnie ją ignorował. Upił łyk kawy – była mocna i gorąca – i powiedział:

– *Le café est délicieux. Merci, Hortense.*

Kobieta się uśmiechnęła, ukłoniła się lekko i wyszła, pozostawiając go samego w jadalni, gdzie zjadł świeżego maślanego croissanta pod ogromnym kryształowym żyrandolem w stylu Ludwika XIV. Czy Hortense pamiętała, że on woli croissanty od *pains au chocolat*? Być może.

Skończył jeść, wytarł ręce w dużą zieloną lnianą serwetkę – sam lubił białą len, być może nauczył się tego od matki – i wyjął telefon komórkowy.

Poczuł ulgę, gdy Hippolyte Thébaud odebrał po pierwszym dzwonku. Jak się wydawało, Thébaud był rozczarowany, gdy Verlaque odwołał ich spotkanie – a nie powiedział Thébaudowi, że stracił obraz – i zaproponował zmianę terminu. To da sędziemu trochę czasu. Następnie zadzwonił Bruno Paulik, który słuchał cierpliwie, podczas gdy Verlaque streścił mu historię z TGV.

– *Bon* – odezwał się w końcu komisarz. – Jest kilka minut po ósmej, więc ktokolwiek śledził pana w Paryżu, nie wrócił jeszcze do Aix. Pierwszy poranny pociąg wyjeżdża z Paryża dziewiętnaście po szóstej i przyjeżdża do Aix dziewiętnaście po dziewiątej – wiem, bo nim jeździłem. Natychmiast wyślę inspektora na stację TGV, by zanotował wszystkie numery rejestracyjne motocykli i je sprawdził. Proszę chwilkę poczekać, aż wezwę Flamanta.

Sędzia czekał, podczas gdy Paulik wyjaśniał sytuację Flamantowi i wysyłał go na dworzec. Komisarz wrócił do telefonu, a Verlaque zapytał: –

Pewnie by to nie pomogło, gdyby jeden z inspektorów obserwował motocykle?

– Sądzę, że złodziej pozbył się pańskiej torby – odparł komisarz, przypominając sobie skórzany worek marynarski, który wyglądał na kosztowny. – A większość ludzi, nawet motocyklistów, będzie wysiadała z TGV z jakąś podręczną torbą. Przecież są w podróży. Nie, myślę, że najlepiej będzie, jeśli Flamant spisze numery rejestracyjne i poszukamy nazwisk właścicieli. Na przykład Lydgate’a. Schultz mogła wypożyczyć motocykl, możemy sprawdzić wypożyczalnie w Aix, nie ma ich za wiele.

– Nie potrafię sobie wyobrazić żadnego z nich na motorze – skomentował Verlaque. – A nazwisko mafiosa nic nam nie powie.

– Chyba że już się u nas pojawił – zauważył Paulik, mając na myśli Pałac Sprawiedliwości. – Poza tym entuzjaści motocykli są bardzo różnorodni – mówił dalej, z pozycji byłego właściciela jednośladu. – To nie musi koniecznie być młody energiczny mężczyzna szukający śmierci. Chociaż zgadzam się, że aby dotrzymać kroku Carombowi, musiałyby to być doświadczony kierowca.

Verlaque nie był przekonany. Wyobraził sobie młodego, energicznego mężczyznę.

– Odwołałem spotkanie z Hippolyte’em Thébaudem, ale mam się zobaczyć z komendantką Barrès. Jest specjalistką od zaginionych dzieł sztuki – powiedział.

– Powodzenia – życzył mu Paulik.

– Dziękuję – odparł sędzia, odkładając telefon. Spojrzał na swoją dłoń i zauważył, że drży. Czuł się bezużyteczny, stracił cenny dowód i na dodatek swoje ubrania. Teraz musiał polegać na innych ludziach, co zawsze trochę nadszarpywało jego poczucie własnej wartości. Dzień zaczął się od mówienia „dziękuję” – ojcu, Hortense i teraz Brunonowi Paulikowi –

i wiedział, że przez cały dzień będzie dziękował ludziom, zanim pójdzie spać.

Frustracja Flamanta

– *Daube au vin blanc!* Czy możesz sobie wyobrazić? – zapytał Alain, gdy szli w górę rue Mistral. – Moja matka zawsze robi duszoną wołowinę z czerwonym winem. Lisa też tak ją przyrządza. – Opowiadał Julesowi o wspaniałym – i za droгим – posiłku, jaki on i Lisa ostatnio zjedli z okazji swojej rocznicy.

– Brzmisz jak neofita – powiedział Jules.

– No cóż, tak naprawdę wolę przepis mojej mamy. Ale nie mów Lisie.

– Zatrzymam to dla siebie.

– A dlaczego interesuje cię bar Zola? To nie wygląda na miejsce dla ciebie.

– Któregoś wieczoru byłem tam z Verlakiem i rozmawialiśmy z barmanem. Skoro nikt w tym mieście nic nie mówi, może on coś powie – odparł Jules.

Minęli Cours Mirabeau, ruchliwe, choć było już po dwudziestej trzeciej w poniedziałkową noc.

– Co sądzisz o Verlaque’u? – zapytał Alain.

Jules wzruszył ramionami.

– Nie zastanawiałem się nad tym aż do tego wieczoru, gdy wpadliśmy na siebie i poszliśmy na drinka. Ale wiesz, on jest taki, jak wszyscy...

– Pomijając to, że jest bogaty.

– Tak, ale ma takie same zmartwienia, nadzieje i marzenia jak każdy z nas.

– *Hyperphilosophique* – zażartował Alain, trącając Jules’a w ramię.

– Spróbuję to stonować – odparł Jules z uśmiechem. – Szczególnie w barze Zola.

Szli w milczeniu w górę rue Clemenceau. Alain próbował zgadnąć, ile kosztuje mieszkanie w centrum za metr kwadratowy, a Jules dziwił się, że właściciele sklepów co wieczór wykładają rozłożone kartony przed wejściem i czekają na śmieciarke, zamiast poddawać je recyklingowi, tak jak robią to w Colmarze.

Kiedy zbliżali się do baru Zola, Jules usłyszał tę samą piosenkę Rolling Stonesów, którą grano tego wieczoru, gdy przyszedł z Verlakiem.

– Wejdz pierwszy – powiedział, otwierając drzwi.

Flamant kierował się do baru i Schoelcher widział, że czuje się tutaj swobodnie. Flamant poruszał się powoli i z determinacją, uśmiechając się

lekką, gdy mijał ładne młode kobiety. Dotarli do baru i Jules z ulgą dostrzegł tego samego barmana, choć w innej koszulce Harleya-Davidsona.

– Cześć, Patrick – przywitał się. – Dobry wieczór. Jak się masz?

– Słucham? – odpowiedział mężczyzna.

– To ja – Jules i stuknął kciukiem w klatkę piersiową. – Byłem tu jakiś czas temu.

– Co zamawiacie? – zapytał Patrick.

Jules spojrział na Alaina, który udawał zainteresowanie kolekcją butelek za głową Patricka.

– Rum – powiedział Jules.

– A dla mnie piwo – zamówił Alain.

– Więc mnie nie pamiętasz – zwrócił się Jules do barmana.

– To będzie razem dziewięć pięćdziesiąt – odezwał się Patrick, wpatrując się w plakat na ścianie ponad głową Jules'a.

Ten zapłacił i razem z Alainem wzięli swoje szklanki do małego, okrągłego stolika, który właśnie został sprzątnięty. – O rany – powiedział Alain. – Powiedziano mu, żeby nic nie mówił.

– Najwyraźniej – rzekł Jules. – A ja tylko chciałem się przywitać.

Ogród japoński

Verlaque wpatrywał się w mały domek japoński i myślał o Fabrizio Orsanim. *Dedans/dehors*. Wnętrze/zewnątrz. Żałował, że nigdy nie był w Japonii, kiedy przyglądał się elementom, jakie najlepsi architekci zapożyczyli od Japończyków: były tam przesuwne drewniano-pergaminowe drzwi, które można było maksymalnie otworzyć, wprowadzając ogród do środka, żadnych mebli poza niskim drewnianym stolikiem, poduszkami i jedną lub dwiema półkami, na których, jak zauważył Verlaque, mieszkańcy eksponowali porcelanowe miski. Przeciwiństwo dusznego, porządnie urządzonego mieszkania jego rodziców. Czy relacje między jego matką i ojcem byłyby inne, gdyby mieszkali w japońskim domu? Czy architektura mogła wywierać wpływ na szczęście ludzi? Sądził, że tak. Wyobraził sobie serię kolorowych fotografii swoich rodziców jako część wystawy w muzeum sztuki współczesnej – socjologicznego eksperymentu artysty: „M. i Mme Verlaque w ich domu inspirowanym architekturą japońską. Mme Verlaque nalewa herbatę. M. Verlaque przycina bonsai w ogrodzie”.

– Dobrze – mruknął po angielsku i siedł dalej, wsłuchując się w chrzęst własnych butów na wysypanej żwirem ścieżce. Nawet w zimie ogród był imponujący – ścieżka wiła się wokół japońskich roślin i prowadziła przez małe kładki pomalowane na czerwono. Odgłosy ruchu ulicznego przypomniały mu, że znajduje się w muzeum na skraju Paryża, a nie na japońskiej wsi. Wszedł ścieżką na małe wzgórze, skąd widział znajdujące się przed nim dwa ogrody: zimowy i różany. Na skraju ogrodu różanego pojawiła się kobieta z wózkiem dziecięcym. Sędzia zszedł ze wzgórza i zbliżył się do niej.

Kiedy podchodził, układała wełniany kocyk na śpiącym dziecku.

– Pani komendant Barrés? – zapytał, pochylając się.

– Tak – odpowiedziała, prostując się i ściskając jego dłoń. – Nie musi pan szeptać, Jeanne prześpi wszystko.

Uśmiechnął się i powiedział:

– Jeanne. Piękne imię. Joanna d’Arc.

– Dziękuję, że przyjechał pan do Boulogne – powiedziała, kiedy usiedli obok siebie na drewnianej ławce. – Jestem na urlopie macierzyńskim, ale byłam... zaintrygowana, kiedy zadzwonił pan do komisariatu. Kolega od razu zadzwonił do mnie do domu.

– Naprawdę? – zapytał Verlaque, patrząc na śpiącą Jeanne. – Nie miałem pojęcia, że w tej chwili pani nie pracuje. Bardzo przepraszam.

Oddaliła jego przeprosiny jednym ruchem dłoni w rękawicze.

– Nie, nie, proszę nie przepraszać – powiedziała. – Kolega zadzwonił do mnie, wiedząc, jaką mam obsesję. Cézanne jest moim ulubionym malarzem. A skoro jest słoneczny dzień, pomyślałam, że możemy spotkać się tutaj. Mieszkam tuż za rogiem. Jeanne ma teraz sześć miesięcy, więc mogę już myśleć o powrocie do pracy.

– Cudownie tu być, nawet w chłodny dzień – rzekł Verlaque, patrząc na przycięte pnące róże. – To moja pierwsza wizyta tutaj.

– Och, Albert Kahn był jednym z tych wielkich dziewiętnastowiecznych filantropów – powiedziała Barrès. – Interesowało go wszystko, rośliny, jak pan widzi, fotografia, nauka i medycyna. Stracił wszystko w kryzysie z 1929 roku. Mieliśmy szczęście, że miasto Boulogne-Billancourt kupiło nieruchomość w 1940 roku. Domy Kahna na Riwierze, gdzie ogrody były nawet większe, są już na zawsze stracone.

Patrzył na policjantkę. Była wysoka i szczupła, choć trudno było dostrzec jej figurę pod jasnoróżowym wełnianym płaszczem, którym była owinięta. Miała krótkie brązowe włosy, odsłaniające srebrne kolczyki, najprawdopodobniej ręcznie robione, jedyne w swoim rodzaju. – Jak długo pracuje pani w wydziale kradzieży dzieł sztuki? – zapytał.

– W sumie jedenaście lat – odparła. – Komendantką jestem od pięciu. W naszym biurze są żandarmi i policjanci. Pracujemy razem.

– Czy studiowała pani historię sztuki, zanim wstąpiła pani do policji?

– Nie – odpowiedziała ze śmiechem. – Studiowałam języki, co okazało się przydatne w tej pracy. Ale teraz zaocznie studiuje historię sztuki, robię magisterkę na Sorbonie. Przy Jeanne jednak to jest duże wyzwanie.

Sędzia prawie zapomniał o śpiącej dziewczynce i spojrzał teraz na jej małe rączki, ściskające brzeg kocyka.

– Powiem pani, dlaczego tu jestem – zaczął. – Prowadzimy śledztwo w sprawie zabójstwa pewnego mężczyzny, René Rouqueta, który mieszkał w dawnym mieszkaniu Paula Cézanne’a w centrum Aix. Mniej więcej tydzień przed swoją śmiercią znalazł płótno, zwinięte i ukryte w jego mieszkaniu. Portret młodej kobiety...

– I myślicie, że to Cézanne?

– Miejscowy lekarz, który po amatorsku studiuje historię sztuki, tak podejrzewa – odparł sędzia. – Ale emerytowany licytator z Sotheby uważa, że to fałszerstwo, choć wydawało mi się, że jest nim bardzo zainteresowany.

– Sądzi pan, że on kłamie?

– Tak. Tylko nie wiem dlaczego.

– Jak się nazywa? – zapytała Barrès.

– Edmund Lydgate.

Zapisała nazwisko w małym notesie i zmarszczyła brwi.

– Nazwisko wydaje mi się znajome, ale nie wiem skąd. Sprawdzę, kiedy wrócę do domu.

Verlaque powstrzymał się przed powiedzeniem pani komendant, że stracił płótno.

– Czy łatwo sprzedać kradzionego Cézanne’a? – zapytał. – Staram się zrozumieć, dlaczego zabito Rouqueta i czy zabójca miał doświadczenie w sprzedaży kradzionych dzieł sztuki.

– Niemożliwe byłoby sprzedanie kradzionego Cézanne’a na legalnym rynku. To dlatego nigdy nie odzyskano Cézanne’a z Ashmolean Museum. Płótna Cézanne’a, van Gogha czy innego starego mistrza znikają, kiedy zostaną ukradzione.

Verlaque pochylił się do przodu, opierając łokcie na kolanach.

– Proszę opowiedzieć mi o kradzieży w Oksfordzie.

– My, policjanci, specjalizujący się w kradzieży dzieł sztuki, dzielimy się danymi z całego świata – powiedziała. – Jeśli dobrze pamiętam, tamta kradzież wydarzyła się w sylwestra, kiedy cały Oksford świętował. Złodziej wykorzystał rusztowanie na fasadzie budynku, by dostać się na dach. Zbił jedną ze szklanych szyb świetlika i zsunął się na podłogę, posługując się drabinką sznurową. W drodze w dół rzucił na podłogę granat dymny, który spowodował, że włączył się alarm, ale policjanci, którzy przybyli na miejsce zdarzenia, nie mogli tam wejść.

– Z powodu dymu.

– Właśnie – odparła. – A włamywacz zabrał pejzaż Cézanne’a i wyszedł przez świetlik.

– Jeden Cézanne? – zapytał Verlaque. – Czy to była kradzież na zamówienie kolekcjonera?

Komendantka Barrès pokręciła głową.

– To powszechny błąd – wyjaśniła. Na filmach złodzieje dzieł sztuki wydają się wspaniali, wyrafinowani i przemyślni. To bardzo dalekie od prawdy. Ci złodzieje to zawodowi przestępcy, a wielu z nich to recydywiści. Kradną przede wszystkim to, co jest najłatwiejsze, albo to, co widzieli w telewizji. W 2003 dwóch złodziei ukradło dwa z wczesnych ciemnych malowideł van Gogha z Muzeum w Amsterdamie.

Verlaque popatrzył na nią.

– Byłem w tym muzeum – powiedział. – Nie zabrali słoneczników?

– Nie – odparła. – Ja wzięłabym autoportret.

Sędzia się roześmiał. – Dlaczego zatem dwie z jego wczesnych prac?

– To były pierwsze dwa obrazy wymienione w katalogu muzeum – odpowiedziała Barrès z uśmiechem.

– Żartuje pani.

– Nie, nie żartuję. Jak pan widzi, rzadko stoi za tym bogaty, kulturalny mecenas, który płaci tym ludziom za kradzież. To po prostu kryminaliści,

często zaangażowani w przestępczość zorganizowaną.

– Co, u diabła, tacy faceci zrobiliby z pejzażem Cézanne’a albo z dwoma van Goghami? – zainteresował się Verlaque. – Przecież nie mogliby ich sprzedać w Sotheby.

– Mafia jest idealnym miejscem, by pozbyć się dzieł sztuki – odparła Barrès z uśmiechem.

– Czytałem pani artykuł *Złapać złodzieja* – odezwał się Verlaque.

– Miło mi. No cóż, tak jak napisałam w artykule, kradzione dzieła sztuki są wykorzystywane jako waluta. Kryminaliści posługują się nimi do spłacenia innych kryminalistów, na przykład do zwrócenia długów. Mafia ma kontakty na całym świecie.

– Tak łatwo jest wykorzystać bezcenne dzieło sztuki do zapłacenia za broń lub za narkotyki? – zapytał Verlaque. Myślał o tym, jak szybko pozbył się go Orsani.

– Tak, a przestępcy mają wypracowany system transportu. Przekraczanie granic zazwyczaj nie jest problemem. Niektóre z dzieł sztuki są sprzedawane, a im szybciej to się dzieje, tym trudniej je nam namierzyć. Ostatnio odzyskaliśmy skradziony złoty zegar z XVII wieku. Został zrabowany z chateau w Brittany w sobotni wieczór, a we wtorek znalazł się na rynku dzieł sztuki. Gdyby jednak został sprzedany na czarnym rynku, mógłby zniknąć na zawsze.

Sięgnęła na dno kosza przy wózku, żeby wyciągnąć usztywnianą torbę, rozsunęła zamek i wyjęła iPada. Włączyła go, otworzyła plik i przesuwała zdjęcia, pokazując je Verlaque’owi.

– Czy to wszystko są kradzione obiekty? – zapytał.

– Tak, a ściśle mówiąc dziewięćdziesiąt dwa tysiące takich obiektów.

Verlaque gwizdnął.

– Jaki jest wskaźnik ich odzyskiwania?

– Dziesięć procent. – Wskazała na lampę wykonaną w latach sześćdziesiątych. – To rzadki prototyp stworzony przez Gae Aulentiego – powiedziała. – Została skradziona z gabinetu ministra finansów przez jego pracownika. Wybory przychodzą i odchodzą, ministrowie się zmieniają, a ich personel często odchodzi z „pamiątkami”. – Komendant Barrès znalazła zdjęcie obrazu trzymanego przez dwóch uśmiechniętych policjantów. – W 2005 strażnik w Centrum Pompidou ukradł tego Picassa, wartego dwa i pół miliona. Nie mógł go jednak sprzedać, gdyż nie miał odpowiednich koneksji, więc ten obraz został odzyskany.

Sędzia poczuł ucisk w gardle na myśl o zbliżającej się wystawie Soulages’a.

– Czy ma pan zdjęcie płótna, które znaleźliście w Aix? – zapytała komendantka Barrès.

Verlaque wyjął telefon z kieszeni płaszcza i pokazał jej portret młodej kobiety.

– Nie poznaję go – powiedziała.

Verlaque właśnie miał jej przerwać i poinformować, że obraz dopiero co został znaleziony, gdy ona zapytała:

– Czy zbadaliście sprawę skradzionych Cézanne’ów w przeszłości? – Mały pejzaż Moneta został skradziony z muzeum Le Havre w 1974 roku, a na aukcji w Christie pojawił się dopiero czterdzieści lat później.

– Złodziej czekał tak długo?

– Tak, to dopiero jest cierpliwość, prawda? Ale mieliśmy w bazie danych zdjęcie tego obrazu, więc łatwo go było rozpoznać. Emerytowana kustoszka z tego muzeum pamiętała malowidło i zadzwoniła do nas, kiedy zobaczyła zdjęcie w katalogu Christie. Po wszystkich tych latach wciąż czuła się winna.

– Nie przyszło mi do głowy, że płótno, które znaleźliśmy w Aix, mogło być skradzionym przed laty Cézanne’em – przyznał się Verlaque.

Ojciec Marine nie rozpoznał go, ale czy znał każdy obraz tego artysty? Lydgate’owi sędzia nie ufał, ten nawet nie przyjrzał się dokładnie malowidłu. A teraz jeszcze zdał sobie sprawę z tego, że niewiele wiedzieli o René Rouquecie.

– Co pani wie o falsyfikatach? – zapytał.

Skoro odwołał spotkanie z Hippolyte’em i Hervém, to może przynajmniej komendantka oświeci go w kwestii tworzenia i sprzedawania kopii.

– Och, podróbki są wszechobecne i sprzedaje się je wszędzie, od eBaya po galerie międzynarodowe. Falsyfikaty są coraz lepsze i dlatego pochodzenie płótna przypisywanego Cézanne’owi stanowi przedmiot dyskusji. Dziś naprawdę trudno odróżnić autentyczne dzieło od falsyfikatu. Przeciętny odbiorca nie ma na ten temat pojęcia, nawet muzealnicy dają się zwieść. W muzeum w Caracas ukradziono Maneta i zastąpiono go kopią. Była tak dobra, że kradzieży nie odkryto przez wiele lat.

– A do tego czasu prawdziwy Manet dawno zniknął – domyślił się Verlaque.

– Tak – odparła. – Wczoraj wieczorem czytałam esej napisany w latach trzydziestych przez krytyka sztuki Waltera Benamina. Praca domowa – uśmiechnęła się i mówiła dalej: – Przewidział, że w dobie reprodukcji technicznej, niemal sakralny charakter sztuki zaniknie. Nazywał go „aurą” dzieł sztuki. Przestaną być one skarbami kulturowymi, będą jedynie wizerunkami krążącymi swobodnie po całym świecie. Ich wartość się obniży.

– Ale stało się coś przeciwnego – zauważył sędzia. Jean zaczęła gaworzyć, sygnalizując tym samym koniec spotkania. – Ceny oryginałów są kolosalne.

– Tak – zgodziła się. – Ale miał rację, że te obrazy będą wszędzie: reprodukcje w książkach, w telewizji, na plakatach...

– Na T-shirtach, w kalendarzach – dodał Verlaque. Wydaje się, że

wszystkie te reprodukcje jeszcze bardziej podbijają cenę, wartość i pragnienie posiadania dzieł. Andy Warhol był tego w pełni świadomy.

Komendantka Barrès uśmiechnęła się, będąc pod wrażeniem tego sędziego o szpakowatych włosach i ze złamanym nosem.

– A ponieważ wszędzie dostępne są wizerunki oryginałów – rzekła – kopie stają się coraz lepsze.

– Zgadza się, wszyscy wiemy, jak wyglądają oryginały, ponieważ widzimy je każdego ranka na kubku z kawą. Są nam bardzo bliskie.

– A fałszerze posługują się teraz współczesną technologią, żeby wytwarzać lepsze kopie. Cyfrowe skanowanie na przykład. Mogą wykorzystać mikroskopijne szczegóły, aby wykonać dokładną reprodukcję. Ale jest coś, czego nie potrafią odtworzyć...

– Pociągnąć pędzla?

– Właśnie. Kto potrafi imitować energiczne pociągnięcia pędzla Van Gogha? Albo Rembranta?

– To dusza obrazu – zauważył sędzia. – „Aura” Benjamina jest bardzo trafnym określeniem.

– Tak. Ale weszliśmy w XXI wiek i druk 3D.

– *Merde*. Nie liczyłem na szczęśliwe zakończenie.

– *Ah, oui* – powiedziała. – Nawet muzeum Van Gogha w Holandii oferuje, i to za darmo, ogromną liczbę szczegółowych informacji na temat obrazów olejnych Vincenta. Może więc zatoczmy koło i uznamy, że Walter Benjamin miał rację.

– Kiedy kopie staną się tak dobre – odezwał się Verlaque – oryginały nie będą już miały żadnej wartości.

– I w tym momencie rynek dzieł sztuki się załamie – rzekła pani komendant. – A ja stracę pracę.

Podniosła obudzoną teraz i ziewającą Jeanne i kołysała ją w ramionach.

– Dziękuję za spotkanie – powiedział sędzia, podnosząc się.

– Nie ma problemu – odparła komendantka Barrès. Spojrzała na jego kostki i uśmiechnęła się. – A tak przy okazji, ładne skarpetki. Nie mogłam ich nie podziwiać.

– Dziękuję – odpowiedział Verlaque ze śmiechem. „Były prezentem od mojego ojca, a on otrzymał je od Chiary, swojej florenckiej dziewczyny”. – Ojciec mi je dał.

– Missoni, prawda? – zainteresowała się. Wskazała w kierunku ukochanego japońskiego ogrodu Alberta Kahna. – Tak jak płaszcz tamtej kobiety.

25

Teppanyaki

Kiedy Verlaque do niej podszedł, Rebecca Schultz stała na japońskim moście i patrzyła w wodę. Odwróciła się, gdy zakasłał.

– O, mój Boże! – westchnęła po angielsku. Potem wydała z siebie stłumiony śmiech i dalej mówiła po francusku. – Jest pan ostatnią osobą, którą spodziewałabym się tu spotkać. Zaskoczył mnie pan, panie sędzio.

Nic nie odpowiedział, ale wyciągnął do niej dłoń.

– Czy był pan tu już wcześniej? – zapytała, wyciągając do niego rękę w zielonej skórzanej rękawiczce. – To jedno z moich ulubionych miejsc w Paryżu.

Patrzył na nią, zdumiony jej autentycznym zaskoczeniem. Albo rzeczywiście ją to zaskoczyło, albo była świetną aktorką.

– Nie śledziła mnie pani tutaj? – chciał wiedzieć.

Tym razem wybuchnęła śmiechem.

– Dlaczego pani wierzę, a jednocześnie mam to szalone przeczucie, że gdybym zadzwonił do mojego komisarza, powiedziałby mi, że jechała pani tym samym TGV, co ja?

Pani profesor przestała się uśmiechać.

– Jechałam pociągiem wczoraj o dziewiętnastej pięć.

– *Moi aussi* – odparł Verlaque. „Moja kolej, by się uśmiechnąć”.

Roześmiała się nerwowo.

– No cóż, przynajmniej nie byliśmy w tym samym wagonie. Zauważyłabym pana. Jechałam w wagonie jedenastym.

– Ja trzynastym – Verlaque spojrzał na Piękność. Miała rację, jeżeli była w wagonie jedenastym, to on by jej nie spotkał, nawet gdy wybrał się po koniak, ponieważ bar był w wagonie czternastym, tuż obok niego. – Opuściła pani hotel, nikomu nic nie mówiąc.

– A co w tym złego? – zapytała. – Powiedział mi pan tylko, żebym nie opuszczała Francji, nic więcej.

– Miała pani nas informować o wszelkich zmianach.

– Ups.

Nagle zdał sobie sprawę, że Rebecca Schultz dotarła do miejsca, w którym się znalazła, po części dzięki swojej urodzie. Ale na niego to nie działało, widział wiele pięknych kobiet. Jego serce zaś należało do Marine.

– Była pani w Paryżu przez cały czas? – chciał wiedzieć.

Schultz okręciła swój moherowy szal ciaśniej wokół szyi.

– Nie – odparła. Czy nie moglibyśmy się przenieść w jakieś cieplejsze miejsce, żeby porozmawiać?

Verlaque spojrział na zegarek. Było dwadzieścia pięć po dwunastej. W mieszkaniu za rogiem komendantka Barrès karmiła Jeanne. Hortense prawdopodobnie jadła sama lub z inną służącą, bo jego ojciec zazwyczaj jadał lunch w męskim klubie.

– Może pójdziemy coś zjeść? Jest pora lunchu – zaproponował.

*

W teppanyaki nie był już od lat. Spektakl w tej restauracji teraz wprawiał go w zakłopotanie, ale jako dzieci on i Sébastien go uwielbiali. Pamiętał, jak się śmiali, gdy tofu skwierczało na gorącym grillu, a potem podskakiwało i się obracało, tak jak złowiona ryba rzucona na pokład łodzi. Musiał się uśmiechać, bo Rebecca Schultz powiedziała:

– Mam nadzieję, iż nie ma mi pan za złe, że pana tu przyprowadziłam. Jako dziecko kochałam to miejsce.

– Była tu pani wcześniej? – zapytał Verlaque, patrząc na prosty wystrój japońskiej restauracji. „Tematem dnia jest dziś Japonia” – pomyślał.

– Wiele razy – odparła. – Wynajmowaliśmy mieszkanie od przyjaciół przy tej ulicy. Moi rodzice posiadali wspaniałą kolekcję sztuki, lecz bardzo uważali, by nie wydawać pieniędzy na błahe rzeczy, jak hotele. Zazwyczaj tu właśnie się zatrzymywaliśmy. Poza tym, w centrum Paryża nie było wolnych miejsc w hotelach.

– To się często zdarza – potwierdził. – A więc stąd pani wie o muzeum Alberta Kahna.

– To było ulubione miejsce mojej matki – rzekła.

Verlaque zauważył, że chociaż profesor się uśmiecha, jej oczy wilgotnieją.

– Dlaczego przyjechała pani do Francji? – chciał wiedzieć. – I proszę mi nie mówić, że po to, by prowadzić badania.

Właśnie miała odpowiedzieć, kiedy pojawił się kucharz, równie majestatyczny, jak przerażający w ciemnoniebieskim kimonie, ze skórzaną pochwą na nóż u boku. Ukłonił się, skropił oliwą gorący grill i ułożył sześć kawałków tofu, które, tak jak w dzieciństwie Verlaque’a, zaczęły skakać i koziółkować w powietrzu. Schultz klasnęła w dłonie, po czym zakryła nimi twarz.

– Przepraszam – zawołała – ale skaczące tofu zawsze mnie rozczulało.

Sędzia także się roześmiał.

– To jest tak samo zabawne, jak wtedy, gdy miałem dziesięć lat.

– Jest pan jeszcze bardziej przystojny, kiedy pan się śmieje – powiedziała po angielsku.

Kucharz odłożył tofu i starannie umieścił na grillu cienkie plastry zwiniętego omletu. Verlaque zdał sobie sprawę, że ich rozmowa będzie

nieustannie przerywana przez występ kucharza teppanyaki. Czy właśnie dlatego Rebecca Schultz wybrała tę restaurację? Siedzieli obok siebie, więc sędzia musiał ciągle się odwracać, żeby spojrzeć na rozmówczynię. Gdyby siedzieli przy zacisznym stoliku dla dwojga, również by nie odpowiedział na jej kokieteryjny komentarz, ale tu w ogóle nie musiał tego robić, bo na ich oczach rozgrywało się przedstawienie. Plastry bakłażana skwierczały na grillu, a szef kuchni szybko je przewracał w tę i z powrotem, jego łopatką zaś wydawała rytmiczne zgrzytliwe dźwięki na grillu ze stali nierdzewnej.

– Przepraszam, że byłam tak bezpośrednia – powiedziała, obracając wokół nadgarstka dużą srebrną bransoletkę wysadzaną turkusami. – O czym mówiliśmy przed moim niefortunnym flirtowaniem?

– Miała mi pani powiedzieć, dlaczego pani tu jest.

– Przyjechałam, ponieważ Cézanne miał kochankę i jestem już bardzo blisko odkrycia, kim ona była.

– Romans z 1885 roku.

– Dobra robota – odparła. – A wiedząc to, co wiem o artyście, sądzę, że namalował swoją przyjaciółkę.

Verlaque nie odpowiedział, tylko pozwolił jej mówić dalej. To był trik, którego nauczył go jeden z profesorów prawa – jedna z niewielu rzeczy, jakie zachował w pamięci ze studiów prawniczych. Inną było upodobanie do whisky nabyte w trakcie semestru, kiedy mieszkał w Edynburgu.

– Tamtego wieczoru już wcześniej byłam w mieszkaniu René Rouqueta. Przedtem skłamałam. Przyszłam pod jego dom o dziewiętnastej i nacisnęłam na dzwonek domofonu. Ku mojemu zdziwieniu odpowiedział. Myślałam, że właścicielem dawnego mieszkania Cézanne’a stanie się arystokratyczne małżeństwo lub jakiś nawiedzony artysta, a nie ktoś taki, jak on.

– Emerytowany listonosz.

– O tak, tak właśnie wyglądał – rzekła. – Powiedziałam mu, kim jestem, oraz to, że piszę biografię Cézanne’a, i wpuścił mnie na górę.

– Prawdopodobnie dlatego, że naprawdę był emerytowanym listonoszem – zauważył sędzia – a nie hrabią.

Rebecca Schultz się uśmiechnęła. – Pewnie ma pan rację. Zrobił mi filiżankę kawy rozpuszczalnej. Im więcej pytań o Cézannie zadawałam, tym bardziej był niespokojny. Zwłaszcza, kiedy wspomniałam rok 1885.

– Niczego nie pokazał po sobie?

– Nie, ale czułam, że ma więcej informacji. Albo coś ukrywa.

Verlaque odchylił się do tyłu, gdy szef kuchni podał im pierwsze danie.

– Lubi pani sake? – zapytał. – Nie mam ochoty pić wody z kranu.

– Nie znoszę sake.

– To dobrze, ja też nie – podniósł menu, skinął na kelnera i wskazał na biały burgund.

– Moi rodzice zamawiali sake – powiedziała – aż do pewnego wieczora, kiedy mój ojciec zrobił zabawną minę i powiedział do matki: „Judy, nie znoszę tego!”

Verlaque znowu się roześmiał, biorąc kawałek tofu pałeczkami i zanurzając go w sosie sojowym.

– Nigdy nie byłem w Japonii – rzekł. – Ale wyobrażam sobie, że sake jest tam świetna.

– Ja też nigdy tam nie byłam – odparła. – Zawsze mnie dziwiło, że moi rodzice nigdy się tam nie wybrali, biorąc pod uwagę wpływ japońskich rycin na współczesną sztukę. Ale ciężko im było opuścić East Village na dłużej, zwłaszcza ojcu. Co sobota wyruszali na wycieczkę po małych galeriach, zawsze w poszukiwaniu nowych talentów. To było dla nich więcej niż hobby, to była pasja – uśmiechnęła się, opierając łokcie na lakierowanej ladzie. Pograżona w myślach, bawiła się pałeczkami.

– Bardzo pani kochała swoich rodziców. – Sędzia wziął do ust kawałek omleta, zatrzymał się i odłożył go z powrotem na swój talerz. – To cudowne.

Rebecca spojrzała na niego i wyobraziła sobie chmurę unoszącą się nad jego wypukłą klatką piersiową i szerokimi ramionami. Kłopoty rodzinne? Wydawało jej się, że jest typowym bogatym Francuzem, który był ignorowany przez swoich rodziców.

– Zrobiłabym dla nich wszystko – powiedziała. Wino i dobre jedzenie wywarły na nią dobry wpływ, wreszcie się rozgrzała i lekko kręciło jej się w głowie. – Powinnam wyznać coś jeszcze – odezwała się, patrząc, jak szef kuchni profesjonalnie przygotowuje dorsza dla niej i tuńczyka dla sędziego.

Jej uroda nie umknęła uwadze dwóch młodych japońskich kelnerów, którzy krążyli wokół niej w pogotowiu, z butelką wina lub karafką wody. Sędzia przyglądał się im, rozbawiony.

– *Ah bon?* – przywołał jednego z kelnerów i wskazał na swój kieliszek, który od jakiegoś czasu był pusty.

– Byłam na górze u Edmunda Lydgate’a, kiedy jedliście u niego lunch w niedzielę. Wiem wszystko o obrazie.

Verlaque odstawił swój kieliszek wina i spojrzał na nią.

– Zamierzałam panu powiedzieć – dodała pośpiesznie. Odchyliła się do tyłu, gdy kelner stawiał przed nią prostokątny talerz, z rybą z jednej strony i z cienko pokrojonymi warzywami z drugiej. Zapytała:

– Co pan wie o Mr. Lydgacie?

– Przez lata pracował jako wysokiej klasy licytator – odparł sędzia. – Teraz za dużo pije, mieszka w Luberonie. I to tyle. Mój komisarz sprawdza jego historię.

– Znał moich rodziców – rzekła. – Często wzywano ich do Sotheby, żeby ocenili wartość obrazów. Nie ufali mu, podobnie jak ja.

– Proszę mówić dalej.

– Opowiadał dość długą i emocjonalną historię o tym, dlaczego opuścił dom aukcyjny – powiedziała. – Ale sądzę, że tak naprawdę był powiązany z kradzieżami dzieł sztuki. Chociaż nikt tego nigdy nie udowodnił. Przez lata, a nawet dziesięciolecia, duża rodzina z Long Island zajmowała się obrotem dzieł sztuki i antyków w domu aukcyjnym – mówiła dalej. – To dobrze płatna, atrakcyjna praca, a ci ludzie dosłownie się do niej urodzili.

– *Les Cols Rouges* – skomentował Verlaque.

– Słucham?

– Tutaj mamy ten sam system, w domu aukcyjnym Drouota. Ludzie, którzy kolekcjonują dzieła sztuki albo nimi handlują, to Sabaudzcy. Od zawsze nimi byli.

– A czerwone kołnierzyki? Czy to ich mundurek?

– Właśnie. Od stuleci.

– No cóż – powiedziała Rebecca z uśmiechem. – Myślę, że ci goście – a większość z nich pochodzi z rodziny Bolibar – najprawdopodobniej noszą niebieskie dzinsy. Ale są Francuzami, przynajmniej z pochodzenia. Kilka lat temu zmarł pewien chirurg i jak zwykle pojawili się Bolibarowie, żeby spakować i skatalogować dzieła sztuki, które miały trafić na aukcję.

– Niech zgadnę – przywłaszczyli sobie kilka z nich?

– Tak, zabrali kilka grafik Raoula Dufy’ego, rysunek Picassa i biurko Eileen Gray, oryginalne, i małą rzeźbę Degasa. Jedną z jego baletnic.

– Jak ich złapano?

– Na szczęście chirurg kilka tygodni przed śmiercią pokazał swoją kolekcję pracownicy giełdy. Trudno zapamiętać wszystkie dzieła sztuki, które przewijają się przez to miejsce, może mi pan wierzyć lub nie...

– Wierzę.

– Ale ona pisała pracę magisterską na temat mebli Eileen Gray, dlatego zapamiętała biurko.

Verlaque wytarł usta w serwetkę i odłożył ją, odchylając się do tyłu.

– A jaki to ma związek z Lydgate’em?

– Moi rodzice mówili, że Bolibarowie wybierali dzieła wartościowe, a jednocześnie takie, które łatwo można sprzedać – wyjaśniła. – Tak jakby mieli doradcę. Kogoś, kto już wcześniej widział kolekcję i do nich dołączył.

– A przy tym pracował w domu aukcyjnym, dzięki czemu mógł im pomóc w sprzedaży tych przedmiotów.

– Właśnie – odparła Rebecca, dopijając swoje wino. – Kradli od lat i w magazynie na Long Island znaleziono ich łupy. Wiele skrzyń pełnych dzieł sztuki i antyków. Kiedy ich złapano, historia sprzedaży tych arcydzieł potoczyła się oszałamiająco. Jeden z członków rodziny przeznaczył swoje zyski na budowę sześciu apartamentowców na Manhattanie. Inny sprzedał dwa obrazy Picassa, by otworzyć sieć pubów. Rozbijali się porsche i lexusami.

– Czy miała pani nadzieję spotkać Lydgate’a, gdy przyjechała pani do

Francji?

– Tak. Miałam ze sobą jego numer w Gordes. Naprawdę dużo wie o sztuce – moi rodzice zapewniali mnie o tym, chociaż go nie lubili. Zadzwoiłam więc do niego i zapytałam, czy mogę go odwiedzić. Powiedział mi, że przygotowuje lunch dla sędziego, domyśliłam, że to pan.

– Czy rzucił nieco światła na Cézanne’a? – chciał wiedzieć Verlaque.

– Cóż, nie widziałam tego obrazu – odparła. – Ale rozmawialiśmy o tym, gdy wyszliśmy. Nie sądził, że to autentyczny Cézanne, mówił o tym obrazie ogólnikowo, tak jak wypowiadają się moi studenci pierwszego roku.

– To brzmi zaskakująco.

– Tak, więc albo zapomniał wszystko, co wie o sztuce współczesnej, albo nie chciał mi nic powiedzieć.

– Stawiam na to drugie.

Wizyta w studiu Cézanne'a

Marine spotkała się z ojcem przy parkingu Pasteur.

– Jak twoje zajęcia? – zapytał córkę Anatole Bonnet, kiedy wymienili *bise*.

– Dobrze – odpowiedziała. – Uczę historii państwa obywatelskiego. Nie robiłam tego od jakiegoś czasu.

– Och, jestem pewien, że zrobisz z tego coś bardziej interesującego niż zestawienie dat i dekretów.

– *Merci, papa* – powiedziała Marine, ujmując go pod ramię, kiedy szli w górę avenue Paul Cézanne. – Niestety moje metody wydają się zbyt interesujące niektórym spośród moich kolegów. W następnym tygodniu chcę pokazać studentom *Powrót Martina Guerre*. Część profesorów uważa, że film nie ma racji bytu w sali wykładowej.

– Nonsens. Jest bardzo ważny, poza tym chcesz pokazać studentom coś innego niż horror z wampirami.

Marine się roześmiała. Była pod wrażeniem, że jej ojciec zdaje sobie sprawę z popularności wampirów we współczesnych książkach i filmach.

– Zapomniałem, jak istotny jest przypadek Martina Guerre dla naszej historii prawa – mówił dalej. – Początki dokumentów pisanych wykorzystywanych jako dowód tożsamości, prawda? Teraz wydaje się oczywiste. Kiedy dokładnie to się wydarzyło?

– W Tuluzie, w 1560 – odpowiedziała Marine. – Przedtem tożsamość była uznawana na podstawie twarzy. Dowody osobiste na piśmie nie istniały. Dopóki Martin Guerre nie postanowił opuścić swojej żony i wrócić do niej po dwunastu latach.

– Och, tak. A w tym czasie zastąpił go ktoś, kto wyglądał tak jak on – powiedział jej ojciec. – Ale to był oszust.

– Pamiętam, że byłam na tym filmie z tobą. To jest pierwszy film z Gérardem Depardieu, jaki zapamiętałam.

Doktor Bonnet się roześmiał, wspominając Florence rozwiązującą krzyżówkę przed kilkoma dniami.

– Była z nami twoja matka. Ale ona nigdy nie potrafiła zapamiętać nazwisk aktorów. No cóż, wydaje się, że semestr dobrze się rozpoczął.

Marine westchnęła.

– Tak, ale zawsze trochę mi smutno, kiedy mam mniejszą grupę po świętach Bożego Narodzenia. Tak dużo dzieciaków odpada po pierwszym

semestrze.

– Znajdą sobie inną ścieżkę – powiedział.

– Ale muszą czuć się zniechęcone – odpowiedziała Marine. – Wiesz, nie jestem pewna, czy mamy najlepszy system, który każdemu, kto otrzymał dziesiątkę na maturze, pozwala dostać się na pierwszy rok prawa albo medycyny.

– Ale jest w porządku – Anatole patrzył przed siebie. Jego córka przejmowała zbyt wiele niesocjalistycznych poglądów Antoine’a Verlaque’a.

– Pewnie powiesz, że to są idee Antoine’a – powiedziała. – Myślałam o tym od jakiegoś czasu. – Zatrzymała się, by złapać oddech. – Ta droga jest bardziej stroma niż pamiętałam. Cóż, nie martwmy się tragicznym stanem naszego szkolnictwa wyższego i chodźmy na ten poświęcony Cézanne’owi spacer, który zorganizowałeś. Domyślam się, że pierwszy przystanek będzie przy jego atelier.

– Sądziłem, że najlepiej będzie tam właśnie zacząć – odparł Anatole. – W mojej młodości to było jeszcze Chemin des Lauves, podobnie jak wtedy, gdy Cézanne zbudował studio w 1902 roku. Możemy się odwrócić i popatrzeć na widok.

Zwrócili się w kierunku Aix, ojciec delikatnie objął córkę ramieniem.

– Patrzył na te same kościoły – odezwała się Marine, osłaniając oczy przed późnoporannym słońcem. – I na te same czerwone dachy.

– Było mniej domów niż dziś – rzekł jej ojciec. – Spójrz, tam widać zielone wzgórza na południe od Aix i Gardanne. Chciałbym mieć tam dom, ale uznaliśmy, że dobrze jest mieszkać na południe od centrum, by twoja matka mogła pieszo chodzić na uniwersytet.

– Widok jest fantastyczny – skomentowała Marine. – Ale musielibyscie chodzić do domu pod górę z zakupami.

– Masz rację.

Wspinali się na wzgórze, dziesięć minut później zatrzymali się przy bramie do studia Cézanne’a.

– To takie przygnębiające, że jego miejsce pracy jest teraz otoczone budynkami mieszkalnymi z lat pięćdziesiątych – zauważyła Marine, rozglądając się dookoła.

Jej ojciec wzruszył ramionami.

– Zbyt wiele dzieci urodziło się po wojnie – powiedział z uśmiechem. – A w Aix zawsze brakowało mieszkań.

– Wiem, że Cézanne miał stąd lepszy widok na Mont Sainte Victoire, ale chyba ważniejsze było to, że mógł trzymać się z dala od zadzierających nosa mieszkańców Aix – stwierdziła Marine.

Anatole się uśmiechnął i zacytował Jeana-Paula Sartre’a:

– *L'enfer, c'est les autres*. Piekło to inni.

Marine na ogół miała dobre relacje z ludźmi, ale złośliwa uwaga jej

kolegi na temat pokazywania filmu studentom prawa sprawiła, że była skłonna przyznać rację francuskiemu myślicielowi.

– Tak, inni ludzie potrafią być okropni – rzekła. – A tutaj Cézanne mógł być sam.

Minęli wejście i pokazali swoje dowody osobiste. Jako mieszkańcy Aix nie musieli płacić za bilety. Wąskimi schodami weszli na górę, do atelier malarza, gdzie olbrzymie, wychodzące na północ okno wpuszczało stłumione poranne światło. To nadawało pokojowi marzycielski wygląd. Nie dochodziły tam prawie żadne dźwięki oprócz kasłania i szurania nogami innych odwiedzających, którzy powoli przemierzali się po pokoju, patrząc na obiekty wykorzystywane przez Cézanne’a do martwych natur – białe ceramiczne miski i dzbany, drewniane krzesła z wyplatany oparciami, cynowe karafki i oczywiście owoce, które, jak przypuszczała Marine, personel wymieniał każdego dnia.

– Tu jest smutno – szepnęła Marine.

– Też tak zawsze myślałem – rzekł Anatole. – Ale Cézanne był tutaj smutny. Jego matka, z którą był bardzo związany, już nie żyła, nie żył także Zola.

– Myślałam, że się pokłócili.

– Tak, istotnie – odparł. – Ale kiedy Cézanne w 1902 dowiedział się o śmierci Zoli, zamknął się w swoim pokoju przy rue Boulegon i przez cały dzień nie chciał wyjść.

– Cézanne też był chory, prawda?

Anatole skinął głową.

– Cukrzyca. Zaczął korzystać z atelier w 1902, a zmarł cztery lata później. Jeden z moich starszych profesorów medycyny był w Komitecie Obywatelskim, który starał się ocalić studio w 1952 roku, kiedy prawie sprzedano je deweloperom.

– Tym samym, którzy budowali apartamentowce.

– Niewątpliwie. Kiedy znaleziono studio, wypełniały je obrazy.

– Naprawdę? – zapytała Marine. – Co się z nimi stało?

– Zebrano je w pakietach po dziesięć sztuk i sprzedano Amerykanom.

Marine otworzyła usta, by wyrazić swoje oburzenie.

Anatole położył palec wskazujący na swoich ustach i wyszeptał:

– Amerykanie tak naprawdę ochronili studio przed deweloperami. Wykupili je i zamierzali podarować je Francji, która odmówiła jego przyjęcia. Próbowali więc zaoferować je regionowi, ale ten też odmówił.

– A miasto Aix?

– Również nie było zainteresowane – odparł Anatole.

Szli dalej, pochylając się, by spojrzeć na trzy czaszki wystawione na małym drewnianym stoliku.

– W końcu studio zostało przejęte przez uniwersytet.

Stanął przy nich młody człowiek, który patrzył na czaszki i kiwał głową.

– To o to chodzi? – zapytał ich łamaną francuszczyzną, w której słyhać było wschodnioeuropejski akcent. Rozłożył ręce zamaszystym gestem. – Czy to wszystko, co Aix ma po swoim najsłynniejszym synu? Niewielkie studio prawie bez obrazów? Jakies zakurzone miski? Tragedia!

– Ale Cézanne tu jest – odezwała się Marine. – Nie czuje pan tego?

Młody mężczyzna wzniósł oczy ku górze i poszedł dalej, kiwając głową.

– Ale te przedmioty mówią same za siebie, prawda? – zapytała Marine.

– Tak – odparł Anatole – teraz jednak mówi do mnie mój żołądek.

Marine się roześmiała. – Może pójdziemy do centrum? Możemy kupić jakiś ser u André i coś słodkiego u Michauda, a potem zjemy u mnie.

*

Zejsście w dół zajęło tylko połowę czasu potrzebnego na wspinanie się, a Marine musiała iść szybko, by dotrzymać kroku swojemu ojcu. Był od niej wyższy o piętnaście centymetrów, a w dodatku kiedy odczuwał głód, przyspieszał kroku. Pociągnęła go za ramię, kiedy zbliżyli się do katedry.

– Saint Saveur – powiedziała. – Tu odbył się pogrzeb Cézanne’a, prawda?

– O, tak – odparł jej ojciec w roztargnieniu. – 1906 roku. – Wskazał gmach po drugiej stronie ulicy, gdzie teraz mieścił się Instytut Nauk Politycznych. – A to był wcześniej Wydział prawa, gdzie stary Louis-Auguste Cézanne kazał synowi studiować.

Marine pomyślała o swoich studentach i zastanawiała się, ilu spośród nich wolałoby studiować historię sztuki, pielęgniarstwo czy gotowanie, ale zapisało się na prawo, by zadowolić swoich rodziców.

– Kupmy jakiś ser za rogiem – powiedziała.

– Cieszę się, że twoi przyjaciele, którzy sprzedają ser, powrócili do Aix – rzekł jej ojciec.

– Ja też – odparła. – Marsylczycy po prostu nie kupowali ich produktów.

– Marsylia to miasto rybackie. Po prostu.

– A nazwa tej ulicy codziennie przypomina o tym André – rzekła Marine, kiedy skręcili w rue des Marseillais.

Kiedy weszli do sklepu, odezwał się dźwięk dzwonka i przystojny ciemnowłosy właściciel pomachał do nich zza lady ze szkła i chromowanej stali.

– *Salut, Marine!*

André wyszedł przed ladę i dał Marine bise na powitanie. Przedstawiła mu swego ojca – starszy Bonnet zazwyczaj kupował sery w supermarkecie, czego nie powiedziała swojemu przyjacielowi.

– André jest jedynym *affineur* w Aix, *papa* – zwróciła się do ojca. – Ma trzy różne piwnice na swoje sery, każda z nich ma inną wilgotność i temperaturę, zależnie od dojrzałości sera. Czy mam rację, André?

– Tak – odparł André, przechodząc za ladę i podnosząc duży kawałek

sera z czarnymi żyłkami. Odkroił dwa kawałeczki i podał je Marine i jej ojcu na kawałku papieru.

– Już stąd czuję jego zapach – powiedziała Marine.

– Trufle! – zawołał jej ojciec, po czym włożył ser do ust i się uśmiechnął.

– Pecorino uszlachetniony czarnymi trufkami – rzekł André. – Rzadko go dostaję.

– Zbyt mało ludzi go kupuje? – zainteresowała się Marine. – To przecież niebo w gębie!

– Nie dość dużo ludzi go kupuje – odparł André. – Martwię się, że producent tego sera nie przetrwa. Ludzie nie chcą wydawać pieniędzy.

Anatole Bonnet spojrzał na cenę kilograma i gwizdnął.

– Ale kiedy ser jest dobry, potrzebujesz tylko kawałeczka – szybko powiedziała Marine, porytowana zachowaniem swojego ojca. Dobrze, że przynajmniej nie było z nimi matki – ta wyjęłaby swój kieszonkowy kalkulator. – Wezmę trochę dla Antoine’a. Teraz jest w Paryżu, ale jutro wróci.

– Powiedz mi, ile – odezwał się André, trzymając nóż na wierzchu sera.

– Około trzech centymetrów, dziękuję – rzekła Marine.

André odkroił pecorino i cały sklep wypełnił się ostrym piżmowo-orzechowym zapachem. Zadzwoił dzwonek i wszedł nowy klient.

– Och, André – wykrzyknął. – Zawsze, kiedy zamierzasz kroić truflowy pecorino, powinieneś umieścić na zewnątrz jakiś znak ostrzegawczy.

– Ja też wezmę plasterek – odezwał się Anatole Bonnet. – Odwrócił się do Marine i mówił dalej: – To będzie niespodzianka dla twojej matki.

Szybko wybrali miękkie rozpływające się kozie sery na lunch i wyszli, śpiesząc się, by zjeść, ale także by wejść jeszcze do Michauda. Szli w dół wąskich średniowiecznych ulic w milczeniu, nogi same prowadziły ich trasą, którą oboje znali od dzieciństwa. Czasami Marine nie była pewna, czy pamięta nazwy ulic, choć znała sklepy, rzeźbione, drewniane drzwi i szmerzące fontanny, ukazujące się na każdym skrzyżowaniu.

Przekroczyli Cours Mirabeau i skierowali się do Michauda. Anatole zatrzymał się pod numerem trzydziestym. – Tu mieszkała *madame Cézanne* – powiedział, wskazując okna na górze. – Po śmierci ojca Cézanne’a w 1886. Prawie każdego wieczoru ona i Paul jedli razem kolację.

Szli dalej w dół Cours aż do Michauda, gdzie na szczęście było spokojnie.

– Na co masz ochotę? – zapytała Marine. Spojrzała z miłością na ojca, który prawie przyciskał swój długi, wąski nos do szyby, wpatrując się w każdy deser.

– Małą tartę cytrynową – powiedział w końcu.

– A ja wezmę *mini éclaira* – odezwała się Marine do rudowłosej sprzedawczynie w czarnym mundurku, która uśmiechała się nieśmiało. – I kawę, nie czekoladę.

Dziewczyna ostrożnie umieściła ich desery w czerwonym kartonowym

pudełku, następnie wzięła złotą wstążkę, okręciła nią pudełko i zawiązała kokardę.

Marine podziękowała ekspedientce, która znów się uśmiechnęła, a jej niebieskie oczy lśniły.

– *Papa* – szepnęła Marine, obracając się do ojca – ta dziewczyna...

– Ma związek z naszą tajemniczą modelką? – zapytał, uśmiechając się szeroko.

– Ma ten sam uśmiech. Ale popatrz: złota wstążka. Dziewczyna na obrazie bawi się właśnie taką...

– Pracowała u Michauda! – wykrzyknął Anatole Bonnet.

– A jeśli tak? – powiedziała Marine, chwytając ojca za rękaw. – Gdzie znajdziemy listę pracowników z 1885 roku? W archiwach? W bibliotece?

Anatole Bonnet wskazał gestem w powietrze i wyszeptał do ucha córki:

– U samej Mme Michaud.

– To ona jeszcze żyje? – zapytała Marine, pamiętając niewysoką, jasnowłosą Mme Michaud. Wszyscy mieszkańcy Aix zwracali się do niej, używając jej panińskiego nazwiska, mimo że od dziesięcioleci była szczęśliwą żoną. Jej męża, wziętego notariusza, nikt nigdy nie widział w piekarni i Marine nie była nawet pewna, jak się nazywał.

Mme Michaud zawsze zajmowała się gotówką, nosiła kostiumy Chanel w pastelowych odcieniach, dopełnianych przez jedwabne szaliki od Hermégo i samym spojrzeniem, rzucanym klientom przez szylkretowe okulary, budziła lęk młodej Marine Bonnet.

Doktor Bonnet powiedział: – Jest jedną z moich najbardziej kłótliwych pacjentek.

Samotne śniadanie

Verlaque gwałtownie złapał oddech i usiadł. Jego pościel była przeпоcona.

– Dzięki Bogu – mruknął, przykrywając oczy przedramieniem.

Teraz przypomniał sobie, dlaczego w Paryżu wolał zatrzymywać się w hotelach – złe sny dręczyły go tylko na rue des Petits Pères.

Ktoś zapukał do drzwi.

– Proszę – powiedział bardziej szorstko, niż zamierzał.

– *Bien dormi?* – zapytał jego ojciec, wchodząc do pokoju i zamykając za sobą drzwi. – Późno wczoraj wróciłeś.

Verlaque usiadł, zaskoczony zarówno tym, że ojciec wszedł do jego pokoju, jak i tym, że zauważył, o której jego dorosły syn wrócił do domu.

– Przepraszam – powiedział. – Spędziłem dzień w Boulogne, a wieczorem zjadłem kiepską i zbyt drogą kolację w Le Dôme.

– Byłeś w Boulogne-Billancourt? – zapytał jego ojciec, siadając w fotelu.

– Cały dzień? Po co, na litość boską?

Sędzia się roześmiał. – W związku ze sprawą, nad którą pracuję. Boulogne nie jest takie złe. A ceny nieruchomości są prawie tak wysokie, jak tutaj.

– Być może...

– Powiedz mi – zapytał Verlaque – pamiętasz, jak chodziliśmy do restauracji teppanyaki?

Ojciec znów go zaskoczył, ponieważ się uśmiechnął.

– Jako dzieciaki uwielbialiście ją – rzekł. – Mówiąc o restauracjach, myślałem, że jeśli jesteś wolny, to moglibyśmy zjeść razem lunch. Jest taki baskijski szef kuchni...

Verlaque przetarł oczy i ziewnął.

– W jedenastej...

– Zgadza się – odparł ojciec. – Właśnie czytałem opis jego restauracji. Co ty na to?

„To byłoby możliwe, gdybym nie pracował przez cały dzień, próbując znaleźć to cholerne skradzione płótno”. – Pomyślałbym raczej o kolacji – odparł. – To byłby nawet dobry pomysł.

Jego ojciec nie odpowiedział, ale sędziemu wydawało się, że drgnął i minimalny uśmiechu pojawił się w kącikach jego małych, wąskich ust.

– Ale obawiam się, że nie znajdziemy stolika – dodał więc.

– Zostaw to mnie.

Verlaque się uśmiechnął. Jego ojciec był przecież potężnym paryskim biznesmenem, właścicielem jednego z największych we Francji młynów mącznych.

– Jak się czuje matka? – zapytał Verlaque. – Czy będę mógł ją odwiedzić?

– Obawiam się, że jeszcze nie – odpowiedział jego ojciec. – Potrzebuje jak najwięcej odpoczynku, więc lekarz zabronił wizyt.

– Ale rodzina...

Verlaque senior pochylił głowę, a potem spojrział w górę.

– Ona nie chce was, chłopcy, tutaj – powiedział. – Dziwię się, że ja mogę do niej wejść. To byłby dla ciebie szok, gdybyś ją zobaczył. Zmieniła się... Jest chudsza niż kiedykolwiek i ma te wszystkie rurki, które wchodzą i wychodzą...

– Nie dbam o to – rzekł sędzia. – Chcę ją zobaczyć.

– Ma słabe serce – wyjaśnił M. Verlaque. – Z powodu anoreksji jej serce nie pracuje prawidłowo.

– Och, rozumiem – Verlaque odkrył kołdrę i powoli wstał z łóżka.

Jego ojciec wstał z fotela i podszedł do okna, czyniąc przy tym pewną obserwację: krótkie, muskularne nogi Antoine'a, jego szerokie plecy i ramiona były zupełnie niepodobne do jego długich, szczupłych nóg i wąskiej klatki piersiowej. Sébastien miał jego budowę, Antoine odziedziczył swoją po dziadku.

– Następnym razem – powiedział M. Verlaque, rozsuwając zasłony o kilka centymetrów, by popatrzeć na zewnątrz – kiedy tylko jej tętno wróci do normy.

– Pojawię się za tydzień, jeśli będę musiał – odparł Antoine, idąc do łazienki. – Mówię poważnie. – Kiedy wchodził pod prysznic, postanowił nie kłócić się z ojcem. Nie tym razem. – Jestem zaskoczony, że chcesz wypróbować restaurację w jedenastej dzielnicy – zawołał jeszcze.

Jedenasta, dwunasta i dziewiętnasta dzielnica były obecnie najmodniejszymi rejonami miasta, pełnymi gwarnych, zatłoczonych barów i zaskakująco dobrych restauracji.

– Ja też – odparł Verlaque senior, przesuwając drżącą dłonią w górę i w dół miękkich welurowych zasłon. – Od lat nie wybierałem się dalej na północ niż Place des Vosges.

*

Hortense po raz drugi podała Verlaque'owi śniadanie. Kiedy skończył jeść, zapytał, czy może rozłożyć swoje papiery i komputer i popracować przy stole jadalnym. Uśmiechnęła się, zadowolona, że pyta ją o pozwolenie. Bóg jeden wiedział, jak ciężko pracowała, polerując wszystkie drewniane meble i srebra w tym wielkim pokoju, do którego nigdy nie wchodzili

goście.

– Oczywiście, panie sędzio – odpowiedziała, patrząc przez okno na deszcz uderzający w szyby ogromnymi kroplami. – Czy życzy pan sobie herbatę do pracy?

Verlaque spojrział na służącą i pomyślał: „Oto kobieta, która lubi się zajmować innymi”.

– Tak, dlaczego nie – odparł.

– Zieloną? – zapytała.

Verlaque zmarszczył brwi.

– Ona jest dobra dla zdrowia, prawda?

Hortense się uśmiechnęła. Starala się nie zerkać na wystający brzuch Antoine’a Verlaque’a, który przybrał na wadze od ostatniego razu, kiedy go widziała. Miała nadzieję, iż to dlatego, że jest szczęśliwy, że jada obiady z kimś, kogo kocha, nie tak jak jego rodzice.

– Zaraz wrócę z herbatą – powiedziała.

Sędzia jej podziękował i wtedy zadzwonił telefon.

– *Oui* – odezwał się, kiedy zobaczył nazwisko inspektora Flamanta na wyświetlaczu komórki.

– Przepraszam, że przeszkadzam – zaczął rozmowę Flamant.

– Nie przeszkadzasz – odrzekł Verlaque. – Leje tu jak z cebra i właśnie zamierzam się napić zielonej herbaty.

Uwagi Flamanta nie umknęła pewna ironia w tym zdaniu – wiedział, że Antoine Verlaque uwielbia kawę i słońce.

– Wciąż pracujemy nad dowodami rejestracyjnymi motocykli. Do tej pory nazwisko żadnego z właścicieli nic nam nie mówi, żaden nie popełnił poważnego przestępstwa.

– Nie jestem zaskoczony.

– Ale mam interesujące wieści o wypożyczonym samochodzie, który pojawił się przy stacji TGV na pół godziny przed odejściem pańskiego pociągu.

Sędzia się uśmiechnął, wiedząc, co zaraz usłyszy.

– Mów dalej.

– Doktor Schultz – oznajmił Flamant. Verlaque oczyma wyobraźni widział uśmiech młodego inspektora. – Pani profesor z Yale. Oddała samochód o osiemnastej trzydzieści.

– *Ah, bon* – Verlaque nie miał pojęcia, dlaczego nie opowiada Alainowi Flamantowi całej historii – że znalazł profesor Rebecę Schultz, że zjedli razem lunch i że przeszli się po podmiejskim Boulogne-Billancourt, on palił cygaro, a Rebecca mówiła o New Haven, Nowym Jorku i o życiu Cézanne’a. Ale coś mu podpowiadało, żeby się powstrzymać przed informowaniem innych, że ją widział.

– Myślę, że wszyscy już wiemy, kto zabrał obraz, kiedy jechał pan pociągiem.

– Proszę ją znaleźć, a go pan odzyska.

Zanim Verlaque zdążył odpowiedzieć, Flamant dodał: – Przepraszam pana, ta ostatnia uwaga nie była pomocna. Paryż to wielkie miasto.

– Tak, rzeczywiście.

W tym wielkim mieście jednak odnalazł Rebecę Schultz, spacerującą w dalekim, szarym zimowym ogrodzie. Miała na sobie płaszcz tak jasny i kolorowy, jak wiosna. Płaszcz, który dostrzegłby z daleka. Tak jakby chciała, żeby ją zauważono.

*

Odłożył telefon i uderzył pięścią w stół. Pracująca w kuchni Hortense aż podskoczyła. Słyszała, jak sędzia rozmawia przez telefon, i wiedziała, że jest zły. Właśnie miała zaproponować mu lunch, ale postanowiła chwilę poczekać.

Verlaque oparł głowę na rękach i jęknął.

– Oczywiście, zniknęła – powiedział. Teraz nie słyszał już Hortense, która wcześniej otwierała szafki i nuciła. Dochodziło do niego jedynie tykanie zegara i bębnienie deszczu o szyby.

„W ogóle nie pytała o obraz” – zanotował w notesie Moleskine’a. –

„Czyżby nie była nim zainteresowana? Nie zapytała: « Jak wygląda malowidło? Kim jest model czy modelka?» – Rebecca Schultz, która od lat bada życie Cézanne’a i twierdzi, że jest bliska odkrycia tożsamości jego kochanki...”

Westchnął i rozejrzał się po wypełnionym sprzętami pokoju. Czuł się zagubiony – zatrzymał się w domu rodziców po prawie dziesięcioletniej nieobecności i miał do towarzystwa tylko miłą, ale znudzoną służącą, która próbowała nie patrzeć na jego brzuch. Stracił dowód rzeczowy, dał się nabrać pięknej Amerykance i okłamywał wszystkich, którzy go otaczali. Poza Marine, ale jej tutaj nie było, została w Aix, robiła swoje i nikt jej nie oszukał tak jak jego.

Z kim w Paryżu mógłby porozmawiać? Kto mógłby mu pomóc? Chwytał telefon i zaczął przewijać książkę adresową, dopóki nie dotarł do litery T.

28

Portret Manon

17 marca 1885

– To była najwspanialsza podróż, jaka mi się w życiu przydarzyła!

Cézanne zmarszczył brwi.

– Nie ruszaj się Manon – powiedział. – To była też jedyna podróż pociągiem w twoim życiu.

Manon się roześmiała i owinęła złotą wstążkę wokół palców.

– Kiedy jechaliśmy przez wiadukt, myślałam, że zemdleję!

– Założę się, że prawie widziałas stamtąd dom swojej siostry Isabelli – powiedział, kiedy nakładał na płótno zieloną farbę.

– Chyba tak! – odparła Manon, zadowolona, że pamiętał imię Isabelle. –

Pociąg jechał tak szybko, ale jestem pewna, że widziałam moich bratanków i bratanice bawiących się na podwórku. Wyobraź sobie, z Aix do Gardanne w pół godziny!

– Dziwię się, że tak bardzo cię cieszy jazda pociągiem.

– Co masz na myśli? – zapytała. Przestała bawić się wstążką.

– To, że tory kolejowe niszczą krajobraz, o to mi chodzi.

– To lepsze niż drogi pnące się po wzgórzach – odpowiedziała. – A wkrótce wszystkie te drogi zostaną wybrukowane.

Cézanne odłożył pędzel i roześmiał się głośno. Stał z rękoma opartymi na biodrach. Uwielbiał opinie Manon – przypominały mu czas spędzany z Zolą.

– *Monsieur le peintre* – pogroziła mu palcem – pociągiem może podróżować więcej osób niż powozem. Jedna linia kolejowa może obsłużyć więcej ludzi niż tuzin dróg.

Rozejrzała się po mieszkaniu, które wynajęła. Było niewielkie, ale z pięknym widokiem na mały plac z fontanną i dwoma drzewkami oliwnymi. Nie zapytała Paula – jak go teraz nazywała – do kogo to mieszkanie należy ani jak je znalazł. Matce powiedziała, że Michaud będzie jej potrzebował przez cały dzień, a Amandine, która zapytała ją, czy może zastąpić inną dziewczynę, że jej siostra potrzebuje opieki nad dziećmi. Amandine spojrzała na nią z krzywym uśmiechem, a po chwili, która dla Manon ciągnęła się przez wieczność, powiedziała:

– *Bon*, znajdę kogoś innego.

Cézanne znów podniósł pędzel i zaczął malować ze zmarszczonymi

brwiami. Manon wyprostowała plecy i patrzyła na niego z uśmiechem.

– Marszczysz twarz z powodu pociągów? – zapytała.

– Nie – odparł, wychylając głowę zza płótna, aby na nią spojrzeć. – Chciałbym, żebyś przestała się ruszać i żartować. – I uśmiechnął się, dając jej do zrozumienia, że nie mówi poważnie i nie jest zirytowany. Jeśli chodzi o Paula, to czasem nie umiała tego ocenić.

A potem, nim zdołała się powstrzymać, wypaliła:

– Czy inni modele się nie śmieją? – Nie chciała mu jednak przypominać o Hortense.

– Nie – odpowiedział, jakby nie zauważając gafy. – Wiesz – mówił dalej – nauczyłem się malować ludzi w Musée Granet, kiedy byłem młody. Z tych obrazów Eustache’a Le Sueura i Jeana Restouta, które przedstawiają świętych.

– Pamiętam je – odezwała się Manon. – Są bardzo melancholijne. – Znów ugryzła się w język. Nie chciała sugerować, że portrety Paula są smutne albo że ich nie lubi.

– Twój portret taki nie będzie, jestem tego pewien. Nie potrafisz usiedzieć w jednej pozycji i uśmiechasz się tak szeroko, jak lis.

Chciałby pokazać ten portret swoim przyjaciółom w Paryżu. Być może zabierze go ze sobą przy okazji następnej wizyty u Claude’a w Giverny. Jego przyjaciele nie będą pytać o Manon, nie będą też oceniać jego umiejętności.

– Przynajmniej mamy tutaj ciszę i spokój – rzekł, malując dalej. – Nawet Aix staje się dla mnie zbyt hałaśliwe.

Manon się roześmiała i zaczęła kaszleć, przykładając chusteczkę do ust.

Cézanne spojrział za swojego płótna.

– Chciałbym, żebyś poszła do mojego lekarza – powiedział. – Zapłacę za to.

– Opowiedz mi o Paryżu, Paul – poprosiła.

Odwrócił się do malowidła, starając się ukryć łzy, które napływały mu do oczu. – Kobiety noszą przedziwne kapelusze – zaczął – z szerokim rondem, a niektóre elegantki wyglądają, jakby miały się przewrócić pod ciężarem tych nakryć głowy, zasypanych kwiatami z jedwabiu. To coś zupełnie innego niż twój prosty, jedwabny czepek.

– A ich ubrania?

– Nudne – odparł. – Nie ma w nich naszych słonecznych kolorów. A jeśli ktoś na swoje nieszczęście znajdzie się w pobliżu Hal wczesnym rankiem, to spotka się z czymś, co jest przykre dla oczu, a jeszcze gorsze dla nosa. –

Wolną ręką postukał we własny nos. – Tonie się w brudzie po kostki i brnie się przez zwierzęce wyziewy. A wszędzie wokół krzyczą ludzie: rzeźnicy, klienci, złodzieje, chłopcy na posyłki, włóczędzy...

– Ale przecież w Paryżu muszą być jakieś wspaniałe rzeczy – rzekła. – Wyolbrzymiasz to, co złe, żeby mi nie było przykro, że nigdy tam nie

byłam.

Odłożył pędzel i zmarszczył brwi.

– Mosty – powiedział. – Każdy z nich jest piękny. Są bardzo potrzebne, gdy ktoś mieszka po jednej stronie Sekwany, a pracuje po drugiej. Wtedy każdego dnia pracy przekracza się most, patrząc na rzekę, przyglądając się, jak przesuwiają się barki, a rybacy...

– Nigdy nie mieszkałam w mieście nad rzeką ani w mieście nad morzem, jak Marsylia.

– To dlatego jesteś tak wrażliwa na wieś – odparł Cézanne. – Twoim kolorem jest zielony, jak sosny i drzewka oliwne.

– Amandine Michaud ostatniego lata była w Paryżu – odezwała się Manon. – Bez końca opowiadała o wielkim domu towarowym...

– Le Bon Marché – odparł Cézanne i znów zaczął malować. – Pożyczę ci nową książkę Zoli.

– *Au Bonheur des Dames?* – upewniła się Manon. – Mówiła nam o niej Mme Michaud.

– Proszę się nie ruszać, Mlle Solari! Tak, mam tę książkę w domu.

Manon się uśmiechnęła, uświadamiając sobie, że czasem zwracali się do siebie w oficjalny sposób zwłaszcza, kiedy Cézanne malował albo był sfrustrowany. – Czy M. Zola napisał tę powieść na podstawie historii Le Bon Marché?

– Mniej więcej – odpowiedział malarz. – Wielki dom towarowy, który skupuje wszystkie budynki w kwartale i staje się coraz większy i większy, jak potwór.

– A małe sklepy znikają?

– *Oui, bien sûr.*

– Czyli miasta zmieniają się tak szybko, jak wioski – stwierdziła.

Nałożył trochę żółci na jej czoło, usta i drewniane guziki jej bluzki.

– Wolałbym, żebyś nie była taka mądra. To męczy starego człowieka.

Dwa atrakcyjne mieszkania

Mieszkanie Hippolyte'a Thébauda było tak zaskakujące i dziwaczne, jak zapamiętał Verlaque.

Było tu pełno sprzętów, tak jak u jego rodziców, lecz bardzo mu się podobało, więc z zainteresowaniem się przyglądał kolorom i materiałom. Siedział na starej drewnianej sofie z wyściełanym oparciem i siedziskiem obciągniętym jasnoczerwonym jedwabiem. Naprzeciw stało niebieskie krzesło, którego podstawę wykonano z drutu ze stali nierdzewnej; wyglądało jak klatka. Verlaque pomyślał, że pochodzi ono z Ameryki z lat sześćdziesiątych, ale nie był pewien. Za krzesłem stała zielona aksamitna otomana o zaokrąglonych kształtach, prawdopodobnie wenecka. Pokojowi nadano śmiałe barwy z czarnymi i białymi akcentami.

– Hippolyte! – zawołał w stronę kuchni.

– Tak, panie sędzio?

– Czy zielona otomana jest wenecka?

– Tak – odparł Hippolyte. Pojawił się w drzwiach, z czarną tacą z laki z kryształowymi kieliszkami do szampana. – Żyrandol też. A potem wypijemy kawę z włoskiej zastawy. – Deruta.

– O la la. Niczego nie mogę pana nauczyć.

– Przepraszam, byłem kiedyś w Derucie – odpowiedział sędzia. – Kilka spraw temu. A ta również dotyczyła dzieł sztuki.

Hippolyte postawił kieliszki na stole i gestem wskazał Verlaque'owi, by ten otworzył butelkę.

– Jestem trochę zaskoczony, że pojawił się pan tutaj ze schłodzonym szampanem.

– Po drodze miałem sklep winiarski – wyjaśnił sędzia, starannie obracając butelkę i jednocześnie trzymając korek. – Nie mogę się oprzeć takim małym, wypełnionym po brzegi sklepom. Poza tym dochodzi już południe.

Hippolyte się uśmiechnął. – Ale chyba nie w naszej strefie geograficznej. – Skrzyżował swoje długie chude nogi. Był ubrany w tak cenioną w zimie wełnę w kratkę, ale w jasnych kolorach: różowym, pomarańczowym i zielonym. Takie ubrania mógł zamówić tylko u jednego krawca, który pracował w malutkim studiu w Batignolles. Całe jego ciało pokrywały tatuaże z nazwiskami jego ulubionych mistrzów z Saville Row. Hippolyte i krawiec siedzieli razem w więzieniu, ten drugi odmówił płacenia podatku

dochodowego.

– Cieszę się z pańskiej wizyty – odezwał się gospodarz – i jestem zachwycony, że piję Pola Rogera z 1990 roku, zapewne przyjechał tu pan służbowo.

Korek wystrzelił i Verlaque napełnił kieliszki. – Rzeczywiście – powiedział tak poważnie, jak tylko umiał. Miał nadzieję, że Hippolyte się w nim nie podkochuje. – Czy twój przyjaciel, Hervé, będzie tu niebawem?

– Jest w drodze – odparł gospodarz. „Dobry Boże” – pomyślał. „Czyżby sędzia myślał, że jestem nim zainteresowany? Za bardzo przybrał na wadze. I w ogóle nie jest w moim typie...”

Verlaque powiedział: – Wiem, że kradzież win jest, a raczej była, twoim zajęciem... – zaczął Verlaque.

– Och, nadal jest. *Chin-chin*.

– *Cheers* – odparł Verlaque po angielsku i stuknął swoim kieliszkiem w kieliszek gospodarza.

– Wciąż jestem konsultantem paryskiej policji – wyjaśnił Hippolyte. Pociągnął łyk szampana i jego twarz się rozjaśniła. – *Trés, très bon* – stwierdził.

– Postanowiłem cię odwiedzić, lecz nie z pytaniem o kradzież wina, ale dzieło sztuki.

Hippolyte odchylił się do tyłu, dając sędziemu znak, by mówił dalej.

– W zeszłym tygodniu w Aix został zamordowany starszy mężczyzna, zaledwie kilka dni po tym, jak odkrył w swoim mieszkaniu płótno, którego twórcą mógł być Cézanne.

Następnie Verlaque wyjaśnił, że Rouquet mieszkał pod numerem dwadzieścia trzy przy rue Boulegon, ostatnim miejscu zamieszkania malarza.

– Obraz zaginął – kontynuował sędzia – i myślę, że może być tutaj, w Paryżu.

– I chce pan, abym ja lub Hervé zasugerował, dokąd złodziej mógł go zabrać.

Sędzia ponownie napełnił kieliszki, z ulgą, że gospodarz nie zapytał, w jaki sposób obraz zaginął.

– Tak, mniej więcej. Dokąd złodziej – być może początkujący – zabrałby płótno wątpliwego pochodzenia i gdzie próbowałby je sprzedać, albo przynajmniej dać do wyceny.

Odezwał się dzwonek u drzwi i Hippolyte szybko podniósł się z krzesła. – Hervé zaraz odpowie na twoje pytanie.

Otworzył drzwi, za którymi stał człowiek w średnim wieku, będący w każdym calu przeciwieństwem Hippolyte'a Thébauda. Hervé Lunel był łysiejącym mężczyzną z nadwagą, w brudnych, wypchanych dżinsach i znoszonym, niebieskim płaszczu. Obaj mężczyźni jednak sprawiali takie wrażenie, jakby nie posiadali się z radości, że się spotkali. Hervé zdjął

swoje staromodne okulary w złotej oprawie, którym – co Verlaque zauważył z przeciwnej strony pokoju – daleko było do czystości, żeby wymienić się bise z Hippolyte'm. Hervé gwałtownie ściągnął płaszcz, jakby chciał się szybko z niego uwolnić, i wręczył go gospodarzowi.

– To cholerne metro było zatłoczone – narzekał z akcentem, którego Verlaque nie potrafił rozpoznać.

– Dziękuję, że pan przyjechał – odezwał się sędzia, podchodząc i wyciągając rękę.

Hervé Lunel spojrział na jego dłoń, jakby był zakłopotany, a następnie ją uściśnął.

– Szampana? – zapytał Verlaque.

Hippolyte wrócił po odłożeniu płaszcza i powiedział:

– O, Hervé nie tyka alkoholu, prawda, Hervé?

Lunel znów coś wymamrotał, Hippolyte rzucił: – Zaraz wracam! – Verlaque zdołał zrozumieć tylko jedno słowo: „Paryż”.

Po chwili gospodarz pojawił się ze szklanką czegoś, co wyglądało jak woda, i wręczył ją przyjacielowi, który wypił płyn jednym haustem. Sędzia zastanawiał się, czy przypadkiem nie była to wódka albo dzin, ale tym razem rozpoznał akcent gościa:

– Lubię wodę z kranu w Paryżu, zawsze lubiłem – rzekł Lunel, odkładając niedbale szklankę na delikatny stolik.

– Pochodzi pan z Lille? – zapytał sędzia

– Tak, z północy. On też – odparł Lunel, wskazując na Thébauda. – Chociaż udaje, że nie.

Hippolyte szybko dopił szampana i rzekł:

– Sędzia Verlaque ma do ciebie kilka pytań, Hervé. Znaleźli w Aix obraz, prawdopodobnie Cézanne'a, ale teraz... zaginął.

Hervé gwizdnął.

– Rozumiem, że zajmował się pan kradzieżą dzieł sztuki, ale teraz jest pan czysty – odezwał się Verlaque.

– Tak. Zmęczyło mnie to. – Hervé ziewnął i wbił oczy w podłogę.

Verlaque pomyślał, że nawet wstawanie z łóżka jest dla tego mężczyzny wyzwaniem.

– I teraz udziela pan porad policji? – dopytywał się sędzia, trzymając kieliszek w górze, podczas gdy Hippolyte dolewał mu szampana. – Tak jak M. Thébaud doradza w sprawie skradzionych win?

Hervé potakująco skinął głową.

– Czy współpracuje pan z komendantką Barrés?

Hervé się uśmiechnął i klepnął w kolana.

– Urodziła dziecko! Dziewczynkę!

Zadowolony, że znalazł temat, który skłoni Lunela do mówienia, Verlaque kontynuował:

– Tak! – wykrzyknął, starając się dorównać entuzjazmowi Hervé. –

Jeanne! Widziałem ją wczoraj.

– Ojej – odezwał się Hervé, nadal się uśmiechając.

– Jeżeli zatem ktoś miałby Cézanne’a, płótno, którego wcześniej nikt nie widział, jak mógłby legalnie je sprzedać? – szybko zapytał Verlaque.

Hervé odpowiedział, a sędzia wyłapał słowo „zaginionych”.

– Słucham? – zapytał.

Hervé tym razem mówił wolniej, a Hippolyte wspomniał, że trzeba by pomyśleć o czymś do zjedzenia.

– Jeśli nikt nigdy wcześniej nie widział obrazu, to ja bym go zgłosił. Do Archiwum. Zaginionych. Dzieł. Sztuki – powiedział powoli, jakby Verlaque był niezbyt rozgarnięty.

– Zgłosiłby pan to? – upewniał się sędzia, zakłopotany.

– To baza danych o skradzionych dobrach – wyjaśnił Hippolyte. – Policja używa jej na całym świecie. Nowy właściciel skradzionego dzieła sztuki, czasem jest to renomowana galeria, wysyła jego fotografię. Jeżeli nie znajduje się ono w bazie danych, zgłoszone jako skradzione – o czym złodziej czy cholerna galeria powinni wiedzieć, że nie – to ludzie z bazy danych wysyłają list, który mówi rzecz ujmując w skrócie: „Tego nie ma w naszych archiwach”. Wyjątkowo dobrze sprawdza się to w wypadku takich dzieł sztuki, które skradziono dosłownie z ziemi, jak na Bliskim Wschodzie.

– I z takim listem żelaznym – odezwał się sędzia – mogą je sprzedać legalnie.

– Zgłosił je pan jako skradzione, prawda? – zapytał Hervé.

Tym razem Verlaque zrozumiał każde słowo i był pewien, że wyraz paniki na jego twarzy został dostrzeżony przynajmniej przez Hippolyte’a, który podbiegł i wlał resztę szampana do kieliszka sędziego.

*

Marine przypomniała sobie prawdziwe nazwisko Mme Michaud – Bruissane – kiedy zobaczyła je na mosiężnej tabliczce na prostych drewnianych drzwiach wejściowych przy rue Bernardines. Teraz siedzieli w salonie starszej pani w otoczeniu prowansalskich antyków. Mme Michaud wciąż nosiła klasyczne stroje Chanel i nadal farbowała włosy na truskawkowy blond. Miały taki kolor, odkąd Marine pamiętała, i chociaż wołała, gdy kobiety pozwalały włosom siwieć naturalnie, tak jak jej matka, podziwiała energię i dyscyplinę wewnętrzną potrzebną, by co cztery tygodnie wybrać się do fryzjera, szczególnie w tym wieku. Nie trzeba było zgadywać długości życia Mme Michaud, ponieważ starsza pani z dumą ujawniła swój wiek, kiedy tylko Marine i jej ojciec zdjęli płaszcze i usiedli.

– Właśnie skończyłam dziewięćdziesiąt dwa lata – oznajmiła, wskazując Marine kilkusetletnią sofę pokrytą kwiatowym wzorem. – Ale pani ojciec wraz z moimi dziećmi uznali, że lepiej, jeśli zakończę pracę, kiedy wejdem

w moją dziesiątą dekadę.

Anatole Bonnet się uśmiechnął.

– *Madame*, mogłaby pani nadal pracować w piekarni – powiedział. – Ale stałaby tam pani przez cały dzień i za dużo się martwiła. Wierzę, że ta praca jest dobra dla pani umysłu i duszy. Ale pani ciało mówi coś innego.

Machnęła upierścienioną dłonią, bagatelizując jego słowa.

– No cóż, zajęłam się malarstwem. Skoro nie pozwala mi pan prowadzić mojego interesu, drogi doktorze, czy chcieliby państwo zobaczyć moje ostatnie próby w dziedzinie sztuki współczesnej?

– *Bien sûr* – odpowiedzieli Marine i jej ojciec unisono.

– To proszę za mną. Zamieniłam biuro mojego zmarłego męża na studio.

Podążyli za *madame* korytarzem ozdobionym serią małych obrazów olejnych – głównie prowansalskich krajobrazów. Marine przyglądała się, jak starsza pani się porusza, wsparta na lasce – martwiła się, że może się poślizgnąć, bo podłoga z jasnej terakoty wyglądała na świeżo woskowaną.

– *Tomettes* aż błyszczą, wyglądają wspaniale – Anatole Bonnet wyraził to, o czym właśnie myślała Marine.

– Jeden z moich wnuków niedawno je woskował – rzekła Mme Michaud, zatrzymując się, by postukać laską w jedną z sześciobocznych płytek. – Ma problemy małżeńskie, więc przyjeżdża tutaj, by skupić się na naprawianiu wszystkiego w moim domu. Nie przyszło mu do głowy, że mogę się przewrócić. *Eh, voilà...*

Żadne z Bonnetów nie odpowiedziało, a Marine była zafascynowana, a jednocześnie zaskoczona szczerością kobiety.

– Oto jesteśmy – orzekła Mme Michaud, otwierając drzwi do jej nowo powstałego studia. Wzdłuż ścian stały wbudowane regały z ciemnego drewna, które nadawały pomieszczeniu ponury wygląd. Pośrodku stała sztaluga i mały drewniany stół pokryty tubami farby olejnej i pastelami. Był tam również słoik z pędzlami.

– W pracy korzystam z fotografii – powiedziała Mme Michaud, zdejmując stare prześcieradło z obrazu na sztaludze. – Wpatruję się w stare zdjęcia, by namalować historię mojej rodziny. To jedna z moich ciotek.

Stało przed nimi inspirowane kubizmem malowidło i Marine spojrzała na nie z zachwytem. Nie spodziewała się tego po drobnej, starszej kobiecie, która miała na sobie różowy kostium Chanel i perły.

– Nie zamierzałam malować tante Amandine w ten sposób – ciągnęła Mme Michaud. – Chciałam ją namalować, ale w ogóle mi nie szło. Mój nauczyciel malarstwa poprosił, żebym opisała ciotkę, a ja mu powiedziałam: „Była wredna” – wyciągnęła rękę i poklepała doktora Bonnet po ramieniu – „nawet bardziej wredna niż ja”.

– Nigdy bym tak pani nie nazwał – powiedział doktor z uśmiechem.

– Założę się, że tak – Mme Michaud popatrzyła na malowidło i mówiła

dalej: – Amandine nigdy nie wyszła za mąż, biedaczka, wyładowywała swoje niepowodzenia na sprzedawczyniach. Mój ojciec był zbyt zajęty, by zauważyć, co się dzieje. Był piekarzem, więc przebywał w kuchni, na tyłach, podczas gdy Amandine terroryzowała personel, aż zmarła w 1945 w bardzo podeszłym wieku. Ale nauczyła mnie biznesu. Była sprytna, nawet jeśli połowa naszych produktów trafiała do jej ust, a sprzeczne uczucia, jakie żywiłam wobec niej, sprawiły, że mój nauczyciel malarstwa zasugerował podejście picassowskie.

– Udzielił pani bardzo dobrej rady – stwierdziła Marine. – To wspaniały portret.

– Tak, rzeczywiście – dodał Anatole Bonnet. Nie był wielbicielem kubizmu, ale przecież, jak mawiał Picasso, to wszystko z niego, Cézanne’a, „ojca każdego z nas”.

– Czyli Amandine, pani ciotka, pracowała w piekarni na przełomie wieków – dopytywała się Marine, spoglądając znacząco na swojego ojca.

– Oczywiście – odparła Mme Michaud. – Znała Cézanne’a.

– Mme Michaud, po części dlatego właśnie tu jesteśmy – rzekł Anatole Bonnet.

– Och, a nie z troski o zdrowie ulubionej pacjentki?

– To też – odpowiedział. – Ale obecnie Marine prowadzi badania nad Cézanne’em...

– Myślałam, że jest pani profesorem prawa – zdziwiła się Mme Michaud, przyglądając się badawczo Marine.

– Jestem – odparła młoda kobieta. – Ale wszyscy akademicy są ciekawi świata. Badania nad Cézanne’em są czymś w rodzaju hobby. Interesuje mnie jego życie prywatne.

– To najważniejsze – odrzekła Mme Michaud z uśmiechem. – I dobrze się sprzedaje. Ale nie jestem pewna, czy życie prywatne Cézanne’a, jak pani je nazywa, było szczególnie interesujące.

– Czy pani ciotka nigdy o tym nie mówiła? – zapytała Marine.

– Tak jak wspomniałam wcześniej, bardziej interesowały ją *bonbons* i *éclair*s. Ale może zajrzemy do jej dzienników?

– Dzienników? – zawołał doktor Bonnet, wychylając się mocno do przodu, tak, że niemal nosem dotykał burzy blond włosów gospodyni.

– Niczego nie obiecuję – Mme Michaud skierowała swoje drobne ciało w stronę drzwi, a goście podążyli za nią. Gdy szli korytarzem, mówiła dalej:

– *Tante* Amandine sporządzała notatki w tuzinie notesów – takich, jakich wówczas używano w księgowności. Ale wiem, że zapisywała również informacje o każdym, kto wchodził i wychodził ze sklepu, gdyż była bardzo wścibską osobą. Te dzienniki leżą w kufrze w jednej z sypialni – wyjaśniła. – Zapraszam do kuchni. Pan drogi doktorze, zaparzy nam kawy, a pani profesor pomoże mi znaleźć te zapiski.

Dalej niż Place des Vosges

Do ich stolika podszedł młody kelner i postawił przed nimi małe miseczki z płynem. Wypowiedział jego niemożliwie długą nazwę i odszedł pośpiesznie. Mężczyźni wzruszyli ramionami i zanurzyli łyżki w rosole.

– Niewiele zrozumiałem z tego żargonu, ale bez wątpienia słyszałem słowa *foie gras* – powiedział starszy Verlaque.

– Ja także. Myślisz, że jest gdzieś na dnie miski? – zapytał Antoine, poruszając łyżką.

– Znalazłem kawałek! – wykrzyknął jego ojciec zbyt głośno.

Antoine się roześmiał i skosztował zupy.

– To rosół z kurczaka.

– Tak, ale z małutkimi kawałkami *foie gras* – odparł M. Verlaque. – Mam dwa kawałki.

– Ja jeszcze żadnego nie znalazłem.

– Może to tutaj przychodzą kobiety w małych czarnych.

Antoine wybuchnął śmiechem.

– *Comme, maman.*

– Twoja matka...

W tym momencie pojawił się kelner i porwał dwie puste miseczki, uprzednio postawiwszy na stole dwie inne.

– Przepraszam – odezwał się Antoine – ale właśnie zjedliśmy rosół.

Kelner poprawił niezwykle duże okulary i odchylił się do tyłu, jakby Antoine Verlaque właśnie powiedział coś niezwykle obraźliwego, lub nawet go zaatakował.

– To jest drugi rosół z zimowych warzyw ugotowanych na parze, sporządzony, aby oczyścić podniebienie...

– ...z pierwszego rosółu – dokończył Antoine, z przymrużeniem oka.

Kelner wzniosł oczy ku górze i odszedł, a ojciec i syn wybuchnęli śmiechem.

– Mógłbym co dzień jadać obfite posiłki z Burgundii – mówił dalej Antoine, próbując drugiego rosółu.

– Ty zawsze dobrze jadłeś – odezwał się starszy Verlaque. – Sébastiena musieliśmy dosłownie karmić łyżeczką.

Sędzia spojrział na swojego ojca, próbując sobie przypomnieć ich wspólne posiłki. Nie zdarzały się one często. Kiedy pomyślał o jedzeniu razem z ojcem, przed oczyma pojawiały mu się restauracje, w których jego ojcu

towarzyszyła „sekretarka”. Antoine i Sébastien nie mieli nic przeciwko temu – te kobiety zazwyczaj były młode i eleganckie i hołubiły chłopców. Antoine chciał coś powiedzieć o pamięci i o niezwykłości tego, że pewne zdarzenia są zupełnie inaczej pamiętane przez tych, którzy o tym opowiadają. Kim byli ci „my” we wspomnieniu jego ojca, „my”, którzy karmili łyżeczką jego młodszego brata? Czy drugą osobą była ich matka? A może ich babka, Emmeline? Czy też jedna z dziewczyn jego ojca?

– Powiedz mi – zaczął Verlaque junior, odsuwając miseczkę na bok i nalewając wino do kieliszka ojca. Postanowił nie pytać go o rodzinę, tak dobrze się teraz bawili. Od lat nie jedli razem kolacji i tego wieczoru Antoine widział uśmiech ojca, a nawet słyszał jego śmiech. – Czy masz przyjaciół, którzy kupują dzieła sztuki? Mam na myśli drogie dzieła sztuki, impresjonistów, dawnych mistrzów i tym podobne.

– O rany – odparł jego ojciec, odkładając łyżkę. – Nie sądzę, by któregoś z moich przyjaciół było stać na takie dzieła, już nie. Ale miałem kolegę, Enrique de la Prada, który stworzył całkiem wartościową kolekcję tak zwanych przezeń „impresjonistów drugiego obiegu”. Enrique zmarł przed kilkoma laty i jego żona wystawiła wiele dzieł w Sotheby. Malarzy takich, jak Eva Gonzalèz, Armand Guillaumin i Stanislas Lépine. Kilka wspaniałych portretów.

Antoine słuchał uważnie, jak zwykle podziwiając dobrą pamięć ojca, zwłaszcza do nazwisk. A na wspomnienie aukcji Sotheby i portretów pomyślał o domu Edmunda Lydgate’a w Gordes.

Znowu pojawił się kelner, z perliczką, zapiekaną z boczkiem i jabłkami. Obaj Verlaque’owie instynktownie pochylili głowy nad talerzami, by napawać się zapachem pieczonego mięsa.

– O, to dużo lepsze – powiedział Antoine. Nabił na widelec kawałek perliczki i zanurzył go w niezbyt obfitym sosie otaczającym mięso i owoce.

– Zaufałem baskijskiemu szefowi kuchni – rzekł M. Verlaque. – Chociaż życzylibym sobie, by ludzie mogli spożywać posiłki na mieście *sans enfants* – wskazał na pobliski stolik, przy którym mężczyzna i kobieta jedli w towarzystwie dwojga dzieci.

– Ale przecież zabierałeś nas do restauracji – przypomniał ojcu sędzia. – Poza tym te dzieci bardzo dobrze się zachowują. Co prawda chłopiec trochę marudził, zapewne przy rosole, ale my też grymasiliśmy. Gdybym kiedykolwiek miał...

Jego ojciec odłożył łyżkę i wznosił oczy ku górze.

– Czy twojemu przyjacielowi, Enrique, kiedykolwiek skradziono obraz? – zapytał Antoine, zmieniając temat.

– Nie z paryskiego domu – odparł jego ojciec. – Ale opowiadał mi szalone historie o orle z czasów cesarstwa, skradzionym z jego mieszkania w Monte Carlo.

– Złotym orle?

– Tak, stał na kredensie. Enrique był kimś w rodzaju historyka amatora, szczerze zainteresowanego Napoleonem. Złodziejem okazał się być służyący, Korsykanin. Pewnej nocy włamał się do jego domu. Spośród wszystkich dzieł sztuki na ścianach, niektórych bardzo cennych, wybrał orła. I nic więcej. Jak powiedział, chciał go „zabrać do domu”, na Korsykę.

– A zatem nie wszystkich kradzieży dzieł sztuki dokonuje się dla pieniędzy – zauważył Antoine.

– Robi się to dla honoru. Dla prestiżu. Lub tylko po to, żeby mieć – odparł M. Verlaque. – Dla niektórych ludzi te korzyści znacznie przekraczają wartość finansową. – Spojrzał ponad ramieniem Antoine’a na tłum ludzi czekających na miejsce przy stoliku. – Przy drzwiach kręci się spory tłumek. Podają tu drugą kolację, jak mi powiedziano, kiedy tu dzwoniłem w sprawie rezerwacji. Dokąd zmierza ten kraj?

Antoine się odwrócił i zerknął na głodnych klientów liczących na posiłek. Niektórzy wyglądali na zdesperowanych, inni na zmęczonych, a kilkoro żartowało między sobą, starając się jak najlepiej wykorzystać czas. Wielu z nich wcześniej zmkło – znów zaczął padać deszcz. Część z nich wyciągała szyję, obserwując gości, którzy wcześniej zarezerwowali stoliki i próbując dostrzec, kto już zjada deser albo pije kawę.

– Znowu! Nie wierzę...

Nagle hałas w restauracji stał się nie do zniesienia.

– Tato, przy drzwiach jest ktoś, kogo znam – powiedział sędzia, odsuwając krzesło i wycierając usta serwetką. – Zaraz wrócę.

*

Z miejsca, gdzie siedział M. Verlaque, widać było, że jego syn ruga jakąś kobietę. Ta protestowała, unosząc ramiona, i oglądała się za siebie, by spojrzeć przez okno. Antoine coś powiedział i położył dłonie na jej ramionach, po czym oboje się odwrócili ruszyli do stolika.

– Tato – odezwał się sędzia – chciałbym, byś poznał doktor Rebecę Schultz. Wykłada historię w Yale.

M. Verlaque wstał i uścisnął dłoń kobiety.

– *Enchanté.*

– Przyniosę krzesło – rzekł sędzia. – Wciśniemy panią tutaj, Rebecco. Tato, doktor Schultz świetnie mówi po francusku.

– Ale nigdy nie zdołam się pozbyć amerykańskiego akcentu – powiedziała kobieta.

Antoine wrócił z krzesłem i doktor Schultz szybko usiadła, nawet nie zdjąwszy płaszcz.

– Och, tak jak nasza urocza Jane Birkin – pocieszył ją M. Verlaque. – Mieszka we Francji od czterdziestu lat, ale wciąż nie pozbyła się akcentu. Więc jest pani profesorem na uniwersytecie... – ugryzł się w język. Jeszcze jedna pani profesor? Kiedyś spotkał Marine Bonnet i był nią zauroczony.

Co zamierzał jego syn? Verlaque mówił dalej: – Niektórzy mówią nawet, że Jane Birkin trochę udaje amerykański akcent... – przerwał, gdyż zauważył, że zdenerwowanie na twarzy Ms. Schultz przeradza się w lęk.

– O co chodzi, pani Rebecco? – zapytał Antoine, ujmując jej dłoń.

– On tu jest – wyrzuciła z siebie. – Widzę jego czerwony kask motocyklowy.

– Czyj kask? – zapytał sędzia, odwracając się, by spojrzeć przez zaparowane okna restauracji.

– Już pojechał...

– Pani Rebecco, tysiące Paryżan jeździ na motocyklach.

– Boję się...

Antoine pochylił się do przodu.

– Jak pani nas znalazła?

– Pamiętasz, zostawił mi pan numer domowy twoich rodziców – wyjaśniła.

– Tak... – teraz zdał sobie sprawę z tego, że wcześniej wyciszył telefon, by nic nie zakłóciło niezwykłego wydarzenia, jakim był obiad z ojcem.

Rebecca bawiła się szalikiem, zaplatając jego dwa końce.

– Śledził mnie, ale pan nie odbierał telefonu. Zadzwoiłam więc do pańskiego domu, z taksówki. Służąca powiedziała mi, gdzie pan jest.

„Dziękuję raz jeszcze, Hortense”.

– W Aix do stacji TGV jechał za mną motocyklista. To on? – zapytał sędzia.

Para, która czekała na stolik, przeszła za plecami Rebeki, a duża torba kobiety uderzyła panią profesor w tył głowy.

– Czy moglibyśmy pójść gdzie indziej? – zapytała Rebecca, przysuwając krzesło.

– Przepraszam, że zepsułam panom kolację – zwróciła się do starszego Verlaque’a.

– Nic się nie stało – odparł. – Ale co się dzieje teraz?

– Pani Rebecco, czy ten motocyklista ma obraz? – zapytał Antoine, tracąc cierpliwość.

– Czy tego właśnie dotyczyły wszystkie te pytania? – zapytał jego ojciec.

– Częściowo... – odpowiedział mu Antoine.

– Nie, to ja go mam – powiedziała Rebecca. – Pod płaszczem.

– Co? Miała go pani przez cały czas? – syknął Antoine.

– Chodźmy do domu – powiedział starszy Verlaque, wskazując, że chce zapłacić rachunek. – Jeśli tylko któryś z tych wytatuowanych młodych ludzi zwanych personelem potrafi wezwać taksówkę.

– Ale motocyklista będzie jechał za nami – odezwała się Rebecca, drżąc ze strachu.

– Nie, mam pewien pomysł – powiedział ojciec Verlaque’a, wyciągając telefon komórkowy z kieszeni marynarki. – Zadzwoię do Jamela, mojego

taksówkarza. Ucieszy się.

Jamel à la conduite

– Wjedź w rue de la Roquette – powiedział Antoine, patrząc na drogę za nimi przez tylne okno. W wieczornej mżawce widział pojedyncze światło podążającego za nimi pojazdu.

– To jednokierunkowa, ze złego końca – odburknął Jamel.

– Poczekaj chwilę – rzekł Antoine, odwracając się, by porozmawiać z Rebeccą, która siedziała z jego ojcem na tylnym siedzeniu. – Czy ten motocyklista nie jechał za mną wczoraj do domu rodziców? Wtedy, kiedy wysiadłem z pociągu?

– Nie, nie. To mnie śledził. Bo miałam twoją skórzaną torbę.

– Oczywiście.

„Jaki ze mnie idiota” – pomyślał.

Spojrzał na Jamela, który jechał z niebezpieczną prędkością i rozmawiał przez iPhone’a. Sędzia właśnie miał coś powiedzieć o bezpiecznej jeździe, gdy kierowca odłożył telefon do znajdującego się pomiędzy nimi uchwytu na kubek i odezwał się:

– Wysłałem do innych taksówkarzy prośbę o pomoc. Zamierzam się kierować na południe rzeki, by zmylić tego gościa, a moi kumple spróbują go od nas odciąć.

– Wspaniały pomysł, Jamel – stwierdził M. Verlaque. – Antoine, możesz przestać wskazywać drogę.

Sędzia odwrócił się i mimo ciemności zdołał dostrzec uśmiech na twarzy swojego ojca.

– Ale jak się pani udało przejść obok mnie i zabrać moją torbę, skoro była pani w wagonie jedenastym, a ja w trzynastym? – Antoine zapytał Rebeccę. – Przecież bym panią zobaczył.

– Naprawdę nie miałam pojęcia, że jest pan w pociągu. Ale pod koniec podróży miałam ochotę na kawę, więc poszłam do wagonu restauracyjnego. Przeszłam przez swój wagon, potem przez wagon dwunasty, a kiedy weszłam do trzynastego, zobaczyłam, że pan wstaje ze swojego miejsca i idzie w kierunku baru. Zatrzymałam się więc.

Jamel przyśpieszył, by zdążyć przejechać na zielonym świetle. Samochód zarzuciło w lewo, po czym wjechał na pas prowadzący na most Austerlitz. Rebecca wpadła w ramiona starszego Verlaque’a.

– Bardzo pana przepraszam – szepnęła, prostując się.

– Ależ nic nie szkodzi, moja droga, nic nie szkodzi...

– I co teraz? – zapytał Antoine.

Odwrócił się i dostrzegł za ich samochodem pojedyncze światło. W tym samym czasie Jamel spojrział w tylne lustro i mruknął:

– *Merde*.

– Chciałam pana dogonić. Porozmawiać. I wtedy zobaczyłam pańską torbę – wyjaśniła Rebecca. – Na półce. Wiedziałam, że jest tam obraz...

– Bo była pani na piętrze u Lydgate'a.

– Tak. I zorientowałam się, że wiezie go pan do Paryża, do analizy. Dostrzegłam szansę, by zabrać torbę. Kiedy podeszłam bliżej, zobaczyłam na niej pańskie inicjały.

– Pamiętam tę torbę – odezwał się M. Verlaque. – Wydaje mi się, że to ja ci ją podarowałam.

– *Oui, papa* – odparł Antoine.

Tym razem samochód gwałtownie odbił w prawo, kierując się na zachód, na wielopasmową Quai de la Tournelle, która obejmuje Sekwanę. Na każdym skrzyżowaniu dwie lub trzy taksówki skręcały w Quai i kiedy mijali Notre Dame, co najmniej tuzin taksówek jechało obok nich lub przed nimi.

– Są – powiedział spokojnie Jamel i przyśpieszył. – Tutaj zgubimy tego motocyklistę.

– Trzymajcie się mocno! – zawołał M. Verlaque po angielsku z wyraźnym francuskim akcentem.

Samochód jechał coraz szybciej, a inne taksówki zwalniały i wjeżdżały za auto Jamela, odcinając od niego motocyklistę. Antoine spojrział do tyłu i zobaczył tylko rozmazane światła.

Odezwał się dzwonek jego telefonu, to był Jean-Marc. – *Oui*, Jean-Marc – powiedział sędzia do słuchawki.

– Możesz rozmawiać? – zapytał przyjaciel. – Musimy pogadać o następnym spotkaniu klubu palaczy cygar. Ma być u ciebie.

– Jestem teraz w taksówce, ścigany przez jakiegoś maniaka na motocyklu. Czy to może poczekać?

– Dobrze, dam ci spokój – rzekł Jean-Marc ze śmiechem. – Kiedy po raz pierwszy spotkałem Pierre'a, powiedziałem mu, że będę się z nim spotykał, pod jednym warunkiem: musi przestać jeździć motocyklem! Pozdrów Paryż ode mnie. *Ciao*.

Jamel skręcił w prawo, w Pont Royal i w tym momencie opony zaczęły wydawać rytmiczne głuche dźwięki, gdy jechali po bruku na dziedzińcu Luwru.

– *Mademoiselle, le Jardin des Tuileries* – oznajmił Jamel, zwalniając.

Rebecca się roześmiała, doceniając poczucie humoru taksówkarza.

– Piramida jest najpiękniejszą nocą – powiedziała, patrząc na prawo.

– Tak. Zawsze ją lubiłem – odezwał się M. Verlaque.

Antoine się odwrócił, by zaprzeczyć. Dobrze pamiętał kłótnie z ojcem,

kiedy I. M. Pei ujawnił swoje rysunki. M. Verlaque pomstował na jego odważną nowoczesność, podczas gdy obaj jego synowie bronili planów tego urodzonego w Chinach architekta. Zrezygnował jednak i odpowiedział uśmiechem.

*

– *Home again, home again* – próbował sobie przypomnieć następne wersy rymowanki, którą Emmeline mu śpiewała, głaszcząc go po nogach.

– *Jiggety-jig* – dokończyła Rebecca.

– Będziesz musiał podziękować Jamelowi w naszym imieniu – powiedział Antoine, wręczając ojcu whisky.

– Tak zrobię – powiedział starszy pan. – Dam mu też szczodry napiwek, który pozyskam z twojego funduszu urodzinowego.

Antoine się roześmiał, prawie zapomniał, że jego ojciec potrafi żartować. A może dopiero teraz się tego nauczył? Czy może teraz, kiedy matka była w szpitalu, w końcu poczuł się swobodnie, po tych wszystkich latach? Tak dobrze się bawił w jego towarzystwie, że prawie mu się zwierzył, ale komentarze Verlaque'a seniora na temat dzieci w restauracji go zniechęciły. Rebecca zakasłała, więc obaj mężczyźni spojrzeli w jej stronę. Siedziała przed płonącym kominkiem, w spodniach o wielbłądzim kolorze i dopasowanym złotym swetrze. – Przepraszam, nie jestem przyzwyczajona do whisky – powiedziała. – Ale jest dobra.

– *Liquid sunshine* – odezwał się Antoine.

– Nawet w deszczową paryską noc – powiedziała Rebecca, unosząc szklanę.

– Zwłaszcza w deszczową paryską noc – dodał M. Verlaque.

– Tak – zgodziła się – ma pan rację.

Spojrzała na ojca sędziego, podobały jej się delikatne siwe włosy, wąski nos i usta, ale przede wszystkim jego oczy w kolorze wyblakłego błękitu. Wyzierała z nich mądrość, mogły być zabawne i tak bardzo różniły się kształtem i kolorem od szczenińczych dużych brązowych oczu jego syna.

– Skoro już się rozgrzaliśmy i otrząsnęliśmy z Formuły 1 Jamela, to może popatrzmy na obraz – powiedział Antoine. – W tym czasie Hortense przygotowuje nam coś do jedzenia. Dla pani, Rebeko, znalazła piżamę i jakieś kosmetyki, bo nie ma pani ze sobą walizki.

– Zapomniałam wziąć moją torbę z kawiarni – powiedziała Rebecca. – Byłam przerażona tym motocyklistą. Widziałam, że jest na zewnątrz i mnie obserwuje, czeka...

– Ale teraz wszystko jest dobrze – rzekł M. Verlaque. – Jest pani tu bezpieczna.

– A moja skórzana torba? – zapytał Antoine.

– Jest w hotelu Boulogne. Przepraszam – odparła Rebecca.

– Poproszę Jamela, żeby ją jutro przywiózł. – zdecydował M. Verlaque. –

Po tym jak zawiezie was oboje na Gare de Lyon.

– *Merci, papa*. A jeśli chodzi o motocyklistę – zapytał Antoine, zwrócił się Verlaque do Rebeki – czy jechał za panią do parku?

Rebecca przecząco pokręciła głową.

– Nie – powiedziała. – Ale po naszym lunchu czekał pod moim hotelem. Zdjął kask, ponieważ rozmawiał przez telefon, więc mogłam mu się przyjrzeć. Chyba kiedyś widziałam go w Aix, ale nie wiem gdzie. Wbiegłam na górę i starannie zamknęłam drzwi. Rano zapłaciłam rachunek i wymknęłam się tylnymi drzwiami, przez kuchnię. Na szczęście na rogu stała taksówka, więc szybko wsiadłam, ale on musiał mnie widzieć, bo kiedy taksówka dowiozła mnie do Café des Flores, już tam był, po przeciwnej stronie ulicy. – Spojrzała na Antoine'a i dodała: – Pewnie się pan zastanawia, dlaczego wybrałam Café des Flores.

– To nie jest oczywiste – odparł Antoine z uśmiechem. – To raczej mało dyskretne miejsce.

– To z powodu byłego chłopaka – wyjaśniła Rebecca, pociągając łyk whisky. – Zabawne, już mnie nie pali w usta – dodała, patrząc na złocisty płyn. – Kiedy miałam dwadzieścia parę lat, byłam tu na wymianie i zakochałam się we francuskim studencie.

– To dlatego tak dobrze mówi pani po francusku – stwierdził M. Verlaque z uśmiechem.

– To najlepszy sposób, żeby nauczyć się języka – odpowiedziała, puszczając do niego oko.

– I spotkała się tam pani ze swoim byłym chłopakiem? – zapytał Antoine.

– O, nie, Boże, nie. Jest żonaty i ma troje dzieci. Wybrałam się tam, ponieważ czułam się... taka samotna. Wydawało mi się, że jestem w tej kawiarni bezpieczna, kiedyś mój chłopak mnie tam zabierał i wydawaliśmy prawie wszystkie pieniądze na dwie cafés crèmes i jedną drogą *croque-monsieur*. Moi rodzice kolekcjonowali Cézanne'y, ale ja miałam ograniczony budżet studencki, nawet kiedy podróżowałam.

Oczy starszego Verlaque'a błysnęły. – Mówi pani poważnie? Cézanne'y?

Skinęła głową.

– Mieliśmy nawet martwą naturę w kuchni.

– Wprowadzimy cię w to później, *papa*, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, Rebecca.

– Historia mojej rodziny nie jest tajemnicą – odrzekła. – Ale myślę, że teraz obaj panowie zechcą przyjrzeć się malowidłu.

M. Verlaque odstawił pustą szklankę na stół ze szklanym blatem i wstał. Przeszedł przez pokój i wyciągnął rękę do Rebeki, która ją przyjęła, by wstać.

– *Merci, gentil monsieur*.

– Jestem podekscytowany, że zobaczę ten obraz – odezwał się M.

Verlaque, kiedy szli obok siebie. – Ale jeszcze bardziej czekam na opinię o nim od kogoś, kto jadał, jak to się nazywa... kanapki z masłem orzechowym i galaretką pod jabłkami i gruszkami Cézanne’a.

Podeszli do Antoine’a, który z rękami w kieszeniach sztruksowych spodni, przyglądał się portretowi, pogrążony w myślach.

– *Elle est magnifique* – powiedział starszy pan Verlaque, patrząc na obraz, a potem na Rebecę.

– Ale czy to oryginał? – zapytał Antoine, zerkając na kobietę.

– O tak – odparła. – Edmund Lydgate powiedział mi, że nie, ale mu nie uwierzyłam. A teraz, kiedy spędziłam z tym obrazem dwadzieścia cztery godziny, jestem przekonana, że kłamał. Nie wiem dlaczego.

– Myślałem o tym – powiedział Antoine. – Może miał nadzieję, że pewnego dnia wejdzie w posiadanie obrazu, który miał być przez lata zamknięty w Pałacu Sprawiedliwości.

Zanotował w myślach, że musi powiedzieć swojej sekretarce, by zatrudniła studentów prawa jako praktykantów, którzy przygotowują pomieszczenie.

– Jak dużo panowie wiedzą o Cézannie? – zapytała Rebecca, która rękami na biodrach patrzyła na starszego pana i jego syna.

– Jego żona miała na imię Hortense, tak jak nasza służąca – odparł Antoine z uśmiechem.

– Tak, też od razu zauważyłam ten zbieg okoliczności – przyznała Rebecca. – Malował swoją żonę zupełnie inaczej niż tę kobietę. Hortense była surowa, pozowała ze skrzyżowanymi rękoma i usychała z tęsknoty za swoją rodzinną Jurą. Cézanne czuł się nieswojo w towarzystwie kobiet, nawet te monumentalne akty, które malował, koncentrowały się na formie i kolorze. Modelki są zniekształcone, tak jak jego drzewa, jak jego jabłka.

– Czy to nie przemawiałoby za o tym, że to nie jest Cézanne? – zapytał M. Verlaque. – Ten obraz jest taki realistyczny. Ta kobieta zajmuje tu centralne miejsce.

– Dobre pytanie. Ale w 1885 roku Cézanne miał romans z mieszkanką Aix – wyjaśniła Rebecca. – Ta informacja pojawia się kilka razy w jego korespondencji, ale nikt nie wie, kim była ta kobieta. Myślę, że właśnie na nią patrzemy. Obraz jest realistyczny, zgadza się, i różni się od innych jego portretów, ale on był zakochany. To z pewnością Cézanne. Proszę spojrzeć tutaj – wskazała na jasnoniebieską bluzkę młodej kobiety. – Zwróćcie uwagę na staranne równoległe pociągnięcia pędzla. Część płótna pozostała nawet niezamalowana, taka sztuczka. Tak jakby Cézanne mówił do nas: „To nie jest prawdziwe”. Moi rodzice powiadali, że fałszerze – a poznali ich kilku – nigdy nie zostawiliby niezamalowanego płótna, pokryliby każdą jego część. Nie dość uważnie patrzyli na Cézanne’a.

– *Horror vacui* – skomentował starszy Verlaque.

– Zgadza się – odparła Rebecca, starając się nie rozglądać po

inspirowanym średniowieczem pokoju. – Przymus, by wszystko dokładnie wypełniać. Cézanne był od tego wolny. Teraz obaj cofnijcie się o jakieś dwa metry.

Antoine i jego ojciec wypełnili polecenie i zrobili kilka kroków do tyłu. Rebecca podniosła dwie czyste lniane serwetki, które Hortense przyniosła wraz z przekąskami, i używając ich jako prowizorycznych rękawic, podniosła płótno.

– To jest to, co mój ojciec nazywał „testem Judy”, nazwanym tak od imienia mojej matki – oznajmiła. – Spójrzcie na kolory, rytm krzywizn, poziome i pionowe linie. Patrzcie, patrzcie uważnie – odwróciła obraz do góry nogami. – To sprawdza się lepiej z pejzażami – dodała, jakby się usprawiedliwiając.

Antoine gwałtownie nabrał powietrza, podobnie jak jego ojciec.

– Jest piękny, nawet do góry nogami.

– Tak, jest w nim jakaś niewiarygodna energia – zauważył M. Verlaque.

– Widać tu mnóstwo kształtów i wzorów tańczących na całym płótnie.

Rebecca wystawiła głowę znad płótna i uśmiechnęła się szeroko.

– Kiedy patrzy się na Cézanne’a, nawet odwróconego, dostrzega się wszystkie abstrakcyjne elementy obrazu: mnóstwo barw ciepłych i zimnych, które się ze sobą zderzają. Wszystko wibruje. *C'est de la musique*.

– Wydaje się pani przekonana o jego autentyczności – zauważył Antoine.

– Jestem pewna, że jest autentyczny – odparła Rebecca, odkładając płótno. – Dorastałam, patrząc na Cézanne’a, i pisałam o nim doktorat. Ale z pewnością będą panowie szukać opinii kogoś innego – próbowała się przy tym nie uśmiechać, ale Antoine usłyszał ironiczny ton w jej głosie.

– Jutro będziemy musieli zabrać płótno z powrotem do Aix – powiedział.

– Nie chcę go nigdzie przewozić, ekspert może przyjechać do Prowansji.

Jego ojciec chrząknął i próbował zatuszować to kaszlem.

– Hortense przygotowała przekąski, więc może coś zjemy? – zapytał, wskazując gestem nakryty stół, z rzeżuchą, sałatką z pomarańczy i półmiskiem serów.

– Umieram z głodu – odparła Rebecca. – A panowie nawet nie zjedli kolacji.

– Och, powinna nam pani powiedzieć, że jest głodna – rzekł starszy Verlaque, ujmując ją pod ramię.

Antoine stał przy kominku, patrząc, jak jego ojciec i doktor Schultz się śmieją. Chciałby się czuć tak bez troski jak oni, ale zbyt wiele dręczących pytań nękało jego myśli. Dwa nierozwiązane morderstwa. Niezidentyfikowana kobieta z XIX wieku. Groźny motocyklista, którego Rebecca skądś pamiętała. I niewinny telefon od Jean-Marca z tak niemiłą wiadomością – Pierre miał prawo jazdy na motocykl. Czy Pierre był na miejscu, kiedy zamordowano René?

Godzinę później cała trójka podążyła na górę i wszyscy życzyli sobie dobrej nocy, po czym każde weszło do swojego pokoju. Verlaque wziął prysznic i położył się do łóżka. Zanim wyłączył światło, wysłał SMS-a do Marine, życzył jej *bonne nuit* i informował, że przyjedzie następnego dnia. Potem napisał do Paulika, że odzyskał obraz, odnalazł doktor Schultz i że nazajutrz wróci z nią do Aix. Marine nie odpisała, ale odpisał Paulik, deklarując, że będzie na stacji TGV, żeby ich odebrać, oraz że inspektor z Paryża będzie eskortował ich w podróży pociągiem do domu. Komisarz dodał, że Flamant i Schoelcher dokładnie sprawdzali nazwiska właścicieli motocykli, którzy pozostawili swoje pojazdy przed stacją TGV w Aix, a także tych, którzy wynajęli motocykle w wypożyczalni w pobliżu Gare de Lyon, niedługo po przyjeździe pociągu do Paryża.

Antoine Verlaque zasnął w ciągu kilku minut, jak zwykle. Kilka razy budził się w nocy, ale słyszał tylko deszcz bębniący o szyby. Raz usłyszał też, jak w holu otwierają się i zamykają drzwi, lecz odwrócił się na drugi bok i zasnął.

Dzienniki Amandine

Marine posprzątała po składającym się z grzanki z serem lunchu. Wytarła stół w jadalni, a stos *Le Monde*, który wydawał się zajmować pół blatu, wrzuciła do kosza na papiery. Połowy tych gazet nie przeczytała. Miała wyrzuty sumienia z powodu wycinanych drzew, ale czułaby się jeszcze gorzej, gdyby nie miała tej prenumeraty. Chciała wspierać ginący świat papierowej prasy.

Rozległ się dzwonek domofonu, więc rozłożyła na stole cztery ołówki i stosik kartek oraz dwie butelki wody gazowanej i cztery szklanki i przeszła przez pokój, by wpuścić swoich rodziców. Słyszała, jak rozmawiają, śpiesznie pokonując trzy biegi schodów wiodących do jej mieszkania.

– Dzień dobry, *chérie* – powiedziała jej matka, z trudem łapiąc oddech, lecz nie z powodu wspinaczki po schodach, ale raczej rozmowy. Obdarzyła córkę *bise*.

– Jak się udał wieczór filmowy ze studentami? – zapytał ojciec, ściskając córkę, a potem zamykając za sobą drzwi.

– Byli zachwyceni – odparła Marine. – Słyszałam, że niektórzy pociągają nosami.

– *Le Retour de Martin Guerre* – wyjaśnił Anatole, zwracając się do żony. – Marine pokazała ten film studentom pierwszego roku. To jest...

– Wiem, wiem – machnęła ręką Florence Bonnet. – To film o tym żołnierzu, prawda? Który zajmuje miejsce innego mężczyzny. Oglądaliśmy go w kinie, gdy Marine była mała.

– *Maman* – odezwała się Marine, mrugając porozumiewawczo do ojca. – Kto grał Martina Guerre?

– No cóż, twój uśmiech każe mi się domyślać, że to był ten sam aktor, który grał Cyrana – Florence spojrzała na córkę, a potem na męża, jakby szukała w ich twarzach jakichś wskazówek. – A niech to. Nie pamiętam, jak się nazywał.

Marine i jej ojciec wybuchnęli śmiechem.

– Świetnie ci idzie poszukiwanie informacji – stwierdziła Marine. – A właśnie to będziemy dzisiaj robić. Dziękuję, że przyszliście.

– Cieszę się, że możemy pomóc.

– Intrygują mnie te dzienniki – dodała Florence. – Mówisz, że Mme Michaud nigdy na nie nie spojrzała? Niewiarygodne...

– Tak twierdziła, prawda, *papa*? – zapytała Marine. – Przyznała, że była zbyt zajęta dziećmi i prowadzeniem interesów. Myślę, że można jej wierzyć. Proszę, siadajcie przy stole jadalnym. Wszystko przygotowałam.

– Czy Antoine przyjdzie? – zapytał Anatole Bonnet. – Są cztery miejsca.

Marine zrobiło się ciepło na sercu. Cieszyła się, że jej rodzice, a przynajmniej ojciec, lubią towarzystwo Antoine’a.

– Nie – odparła. – Jest w drodze powrotnej z Paryża, z doktor Schultz.

– Uznana specjalistką od Cézanne’a – wyjaśnił żonie doktor Bonnet.

– Wiem, Anatolu – odrzekła. – Myślisz, że jestem aż tak zapominalska? Może nie pamiętam nazwisk gwiazd filmowych, ale nie mogłam nie zauważyć, czym ty i Marine zajmowaliście się w minionym tygodniu.

Ponownie odezwał się dzwonek domofonu i Marine oznajmiła:

– To Sylvie. W czwartki ma zajęcia tylko rano, więc zaoferowała swoją pomoc.

Kiedy Marine wychodziła, żeby wpuścić Sylvie, zobaczyła, że jej matka patrzy na ojca i wznosi oczy ku górze.

– *Coucou tout le monde!* – oznajmiła Sylvie, kiedy weszła i złożyła bise na policzku każdego z obecnych. W tym tygodniu jej krótkie, sterczące włosy były ufarbowane henną. Miała na sobie zieloną plisowaną tunikę Issey Miyake i dopasowane do niej spodnie, co było jednym z jej pierwszych designerskich zakupów. A przy tym jedynym strojem, który przetrwał dwa sezony w jej szafie.

– Dzień dobry, Sylvie – przywitała się oschle Florence. – Jak się miewa mała Charlotte?

– Świetnie – odpowiedziała nowo przybyła, wręczając Marine swoje futro. – Proszę się nie martwić, Mrs. B., to futro należało do mojej ciotki. Nie kupiłam go – mrugnęła okiem i zauważyła, że ojciec Marine tłumi śmiech. Nie powiedziała matce Marine – o której wiedziała, że jest obrończynią praw zwierząt – że w domu ma jeszcze jedno futro, które kupiła w Rzymie po szczególnie udanej wystawie swoich fotografii. – Może od razu zabierzemy się do pracy?

– Dobrze – odparła Marine. – Położyłam dzienniki na środku stołu. Spojrzałam na nie wczoraj wieczorem. Amandine datowała niektóre strony, ale nie wszystkie. A czasem podawała dzień lub miesiąc, ale nie rok.

– To jedno z moich utrapień! – odezwała się Sylvie, podnosząc rękę. – Rok temu paryska galeria podała miesiąc mojej wystawy chez eux, ale nie rok! „A co z potomnością?” – zapytałam. „Co z archiwistami w kolejnych latach?”

Florence Bonnet jęknęła cicho, a Marine próbowała to zagłuszyć, przesuwając dzienniki. Wiedziała, że jej najlepsza przyjaciółka mówiła z ironią. Mimo że osiągnęła sukces finansowy, wciąż onieśmielał ją status wschodzącej gwiazdy w świecie sztuki.

- Czego dokładnie szukamy? – zapytała Florence.
- Wszelkich odniesień do Cézanne’a – odpowiedziała jej córka.
- A także odniesień do dziewczyny, która pracowała z Amandine około 1880 roku – dodał jej ojciec.

Marine przytaknęła.

– Mme Michaud powiedziała nam wczoraj, że jej ciotka urodziła się w 1860 tysiąc osiemset sześćdziesiątym roku, więc miała dwadzieścia pięć lat, kiedy Cézanne namalował tajemniczą kobietę. Przychodził do cukierni, Mme Michaud to potwierdziła. Papa i ja mamy przecucie, że modelką na portrecie jest dziewczyna, w której był zakochany i która pracowała u Michauda w 1885.

– Ale nie mamy pojęcia, jak się nazywała – zauważyła Sylvie.

– Zgadza się – odparła Marine. – Jeśli wierzyć portretowi, miała rude włosy i zielone oczy.

– I być może... – Anatole przerwał i podrapał się po brodzie.

– Być może co? – chciała wiedzieć Florence.

– Być może – mówił dalej – miała jakieś blizny na twarzy.

– Czy zauważył to pan na obrazie? – zainteresowała się Sylvie. – Bo Cézanne wszędzie malował kolory i wzory...

– Wiem – odparła Marine. – Ale ten obraz jest bardziej realistyczny niż inne. Zgadzam się z tatą – w twarzy tej dziewczyny jest coś niezwykłego.

– To tylko taka myśl – rzekł Anatole. – Mogę się mylić.

– No cóż, dajcie znać, jeśli znajdziecie coś interesującego – powiedziała Marine. – Albo to zapiszcie, a potem sprawdzimy notatki każdego z nas.

– *Bonne chance!* – zawołała Sylvie, otwierając torebkę i wyjmując okulary do czytania w lamparce wzory, które właśnie kupiła.

*

Zasłony zostały zaciągnięte, więc Rebecca Schultz obudziła się dopiero po dziesiątej. Usiadła i przetarła oczy, kiedy ktoś delikatnie zapukał do drzwi.

– Proszę wejść – powiedziała.

– *Excusez-moi, mademoiselle* – odezwała się Hortense, stawiając tacę ze śniadaniem na nocnym stoliku. – Sędzia Verlaque poprosił mnie, żebym panią obudziła.

– Sędzia? A tak, pan Antoine. Dziękuję ci.

Hortense bez pośpiechu przeszła przez pokój, by rozsunać zasłony. Chciała dobrze przyjrzeć się gościowi. Nie podobała jej się ta kobieta. Nie to, że była chuda – taka była też Mme Verlaque, ale widać, do czego to prowadzi. I nie chodziło o jej wielkie afro, nieładne, w przeciwieństwie do fryzury pierwszej damy, też Amerykanki afrykańskiego pochodzenia. To raczej *comportement* tej *professeur* (jak ją przedstawili), sposób, w jaki wczoraj siedziała przy kominku z żyrafimi nogami wyciągniętymi przed

siebie, jak gdyby była tu gospodynią. I uśmiech, który, jak zauważyła, Hortense, wymienili...

– Czy wszyscy już wstali? – zapytała Rebecca.

– Sędzia Verlaque pracuje w jadalni – odparła Hortense po rozsunięciu zasłon. – Prosił, żebym to pani powiedziała.

Rebecca wymamrotała podziękowanie i nalała kawy z małego dzbanka do porcelanowej filiżanki. Hortense przeszła z powrotem przez pokój w kierunku drzwi. Jeszcze raz spojrzała na panią profesor i próbowała dostrzec, czy ma ona tatuaże, ale Rebecca przyciągnęła koldrę pod brodę. „Pewnie ma” – pomyślała Hortense, wychodząc i zamykając drzwi. – „I bez trudu mogę zgadnąć gdzie”.

– Flamant i Schoelcher przez cały ranek wydzwaniali do wypożyczalni motocykli w okolicach Gare de Lyon – oznajmił Paulik. – Już mają trzy trafienia. Będę pana informował.

– Dzięki – odparł Verlaque, starając się okazać więcej entuzjazmu dla ich detektywistycznej pracy. Nie dziwiło go to, że miłośnicy motocykli wypożyczali w Paryżu motory, kiedy wysiadali z pociągu – był to najlepszy sposób poruszania się po mieście. Alain i Jules prawdopodobnie znajdą tuzin innych nazwisk, zanim zjedzą szybki lunch.

– Czy możecie poszukać w archiwach Interpolu rodziny z Long Island o nazwisku Bolibar? – zapytał Verlaque. – Powiedziała mi o nich doktor Schultz. Kolekcjonowali przedmioty, które miały być wystawiane na licytacjach w Sotheby, aż przyłapano ich ze stosami tych rzeczy ukrytymi w magazynie. Czekam też na telefon od komendantki Barrès w sprawie Edmunda Lydgate’a. Rodzice doktor Schultz mu nie ufali.

– Zobaczę, co da się zrobić – rzekł Paulik. – Roussel wrzeszczy, że zajmuje nam to za dużo czasu.

– Niech wrzeszczy – powiedział Verlaque i pomyślał o historycznym prokuratorze z Aix. Podziękował Paulikowi i rozłączył się. Nie powiedział komisarzowi, że to Rebecca ukradła torbę i obraz z pociągu. Nie uważał tego za konieczne, skoro sam mógł mieć na nią oko. Poza tym teraz motocyklista stanowił większe zagrożenie i należało go szybko znaleźć. Verlaque nikomu nie powiedział, że zbiegiem okoliczności Pierre jeździł motorem i miał klucze do budynku przy rue Boulegon. I tej nocy, kiedy René został zamordowany, Pierre w rekordowym tempie dotarł do rue Boulegon. Verlaque sięgnął po telefon komórkowy, a Fabrice odebrał po pierwszym dzwonku.

– Tak, panie sędzio?

– Fabrice, jest coś, co mnie dręczy, i chciałbym o tym porozmawiać. Możesz teraz?

– Teraz siedzę w ponurej niedogrzonej przyczepie, którą Julien nazywa swoim biurem – odparł Fabrice. – Kupuję u niego używanego mercedesa dla mojej żony.

– Czy Julien ma zestaw głośnomówiący? – zapytał Verlaque. – Chętnie skorzystałbym także z jego rady.

Z telefonu dobiegły jakieś trzaski i Verlaque usłyszał w tle kłótnię dwóch mężczyzn.

– Niech zgadnę, Julien ma tylko jeden fotel?

– Tak i to on wygrał – po kilku sekundach odpowiedział Fabrice. – Więc o co chodzi?

– Chodzi o Pierre’a z naszego klubu – zaczął sędzia. – Od jak dawna go znacie?

– Ja pierwszy go poznałem – wydarł się Julien do telefonu.

– Nie, ja! – krzyknął Fabrice. – Moja firma naprawiała hydraulikę w księgarni.

– Kłamca! – zawołał Julien. – Spotkałem go tam przed wielu laty. Zapytałem o przewodniki po Kubie i zaczęliśmy rozmawiać o cygarach...

– Ty zakuta pało! – krzyknął Fabrice. – To ja kupiłem ten przewodnik przed naszą pierwszą podróżą na Kubę.

– Ostatni z wielkich nabywców!

Verlaque usłyszał kolejne odgłosy szamotaniny i oparł głowę na rękach.

– Czy wy dwaj skończyliście się już przepychać?

– Hej – odezwał się Julien. – Razem go poznaliśmy!

– Chyba masz rację – powiedział Fabrice. – Tego dnia obaj byliśmy w księgarni. O co chodzi, Antoine?

– Nie mogę teraz powiedzieć – odparł sędzia. – A co o nim myślicie? – Cekał na odpowiedź, ale nastąpiła cisza. – Hej, jesteście tam?

– Zapalamy cygara – wyjaśnił Fabrice.

– No cóż – odpowiedział Julien, zaciągając się. – Zawsze się zastanawiałem, jak pracownik księgarni może sobie pozwolić na tak ekstrawaganckie stroje.

– Julien – rzekł Fabrice. – To ważne dla...

– Gejów? – przerwał mu Julien. – To chciałeś powiedzieć, prawda? To homofobiczne!

– Jak się to pisze, Julien? – zapytał Fabrice.

– Posłuchaj, przystojniaczku – odpowiedział Julien – nie jesteś lepszy ode mnie! Być może masz sklepy hydrauliczne w całej Prowansji, ale tak naprawdę chodzi o zatłoczone kible.

– No dobrze, dam wam już spokój – oznajmił Verlaque. – Dziękuję za...

– Czy powiesz nam, o co chodzi? – wtrącił Fabrice.

– Później – odparł Verlaque.

Rozłączył się i myślał o tym, co powiedział Julien – że Pierre mógł sobie pozwolić na kosztowne ciuchy. Jego też to zastanawiało, bo Pierre ubierał się tak, jeszcze zanim zaczął się spotykać z Jean-Markiem. Sędzia właśnie miał zadzwonić do komendantki Barrès, gdy pojawiła się Rebecca. Wyglądała świeżo, mimo że miała na sobie ubrania z poprzedniego

wieczoru. Jego ojciec wsunął głowę przez drzwi i powiedział:

– Dzień dobry, Antoine, dzień dobry pani Rebecco. Jamel już czeka, by zabrać was na dworzec.

Verlaque spojrział na zegarek.

– *Merci, papa*. Straciłem poczucie czasu.

– Pojadę z wami – oznajmił Verlaque senior.

– Naprawdę?

– Jamel czasami wozi mnie po mieście. To mnie relaksuje. Poza tym mógłbym z Jamelem pojechać do Boulogne i wziąć twoją torbę z hotelu. A pani, Rebecco, gdzie zostawiła swój bagaż? W Café des Flores?

– Tak – odpowiedziała.

– Oj, na pewno go już nie będzie – zauważył Antoine. – Dobrze, ruszajmy. Na stacji dołączy do nas funkcjonariusz policji. Mój komisarz nie ufa mi w sprawie obrazu.

– No cóż, teraz mógłby ci zaufać – skomentował jego ojciec. – Skoro złodziejka jest z tobą – puścił oko do Rebeki, a ona się roześmiała.

Jamel jechał bardzo wolno i miejskie budynki i mosty przesuwały się przed ich oczyma jak w zwolnionym filmie. Verlaque prawie nie pamiętał, jak tu dorastał, chociaż wtedy znał na pamięć każdą ulicę. Ale teraz jego dom znajdował się pod błękitnym niebem Prowansji, gdzie była Marine.

Samochód zatrzymał się przed dworcem. Wysiedli, a ich jedynym bagażem był portret dziewczyny, owinięty w poszewkę na poduszkę, który trzymał Verlaque. Nagle pojawił się obok nich wysoki, szeroki w ramionach, łysy mężczyzna w garniturze, przedstawił się jako inspektor Morice i szybko pokazał Verlaque'owi swoją odznakę. Verlaque ojciec złożył *bise* na policzku Rebeki, a ona delikatnie odwróciła się w stronę dworca, udając, że podziwia budynek, aby ojciec i syn mogli się pożegnać.

– Dziękuję za nocleg i ubranie – odezwał się Antoine. – Bardzo dobrze się z tobą czułem, *papa*.

– Ja z tobą też, Antoine.

– Przekaż mamie pozdrowienia ode mnie – powiedział sędzia. – Zamierzam przyjechać do Paryża w przyszłym tygodniu i się z nią zobaczyć.

Verlaque senior spojrział na olbrzymi zegar nad głównym wejściem do dworca.

– Powinniście już iść. Będę cię informował.

Verlaque objął ojca i uściskał go po raz pierwszy od wielu lat. Poczuł jego ręce na swoich plecach i to, jak delikatnie się cofają. Verlaque zwolnił uścisk i popatrzył na Jamela, który palił, oparty o samochód. – Świetnie jest mieć przy sobie takiego faceta, jak Jamel.

– Rzeczywiście – odparł Verlaque senior. – Myślę, żeby dać mu mieszkanie na parterze. Jest w połowie puste, używamy je tylko jako magazyn.

– To dobry pomysł – odparł Antoine i zawołał do Jamela. – Opiekuj się moim ojcem.

– Tak jest – odpowiedział kierowca z uśmiechem.

– Dziękuję za wszystko – zawołała Rebecca. Pocałowała M. Verlaque’a w policzek i położyła dłoń na jego sercu.

Tak czy nie

– Fascynujące – stwierdziła Florence Bonnet, odkładając ołówek i przecierając oczy.

Sylvie się przeciągnęła. – Zgadzam się Mrs. B. – powiedziała. – Na pierwszy rzut oka, nic tu nie ma tylko pogoda i cena mąki, ale potem...

– Im bardziej się człowiek wczytuje, tym bardziej interesujące stają się szczegóły – powiedziała Marine.

– Właśnie – zgodziła się Sylvie.

– Według zapisków Amandine – odezwał się Anatole – było wtedy bardziej wietrznie. Częściej pojawiał się mistral.

– Zmiany klimatyczne – powiedziała Florence, stukając ołówkiem w stół.

Marine spojrzała na błękitne niebo i słońce wlewające się przez wielkie okna jej jadalni. Mogła stąd widzieć wierzchołki bezlistnych teraz platanów, które wypełniały wspólny ogród poniżej i tyły budynków przy rue Cardinale. Pomyślała, że ten widok nie zmienił się specjalnie od czasów Amandine. Wciąż widać było iglicę Saint Jean de Malte, oddzielona od najwyższego mieszkania ogrodem i dachami pokrytymi dachówkami. Około tuzina nielegalnie dobudowanych balkonów i tarasów, w tym jej własny, pojawiło się w ostatniej połowie XX wieku. Meble plastikowe, drewniane, czy też z kutego żelaza (jak w jej wypadku) przenosiły ten wystrój do współczesności. Podobnie jak talerze satelitarne i głos jej matki.

– Marine?

– *Oh, oui, maman?*

– Ziemia do Marine – powiedziała Sylvie z uśmiechem.

– Zanotowałam imiona kobiet, które, jak sądzę, były sprzedawczyniami – powiedziała Marine, patrząc na swoje notatki. – Kilka razy pojawia się Clara.

– Ja też to zauważyłam – oznajmiła Sylvie. – Wydaje się, że Clara była marudą.

– Tak – zgodził się Anatole. – Amandine pisze, cytując: „Clara wciąż narzeka na swój chory kręgosłup”.

– Znajduję odniesienia do Manon – powiedziała Mme Bonnet.

– Ja też – dodała Marine. – Pojawia się spóźniona szóstego stycznia.

– *Fête des Rois* – rzekł Anatole. – To musiał być ruchliwy dzień u Michauda.

– Niektóre rzeczy się nie zmieniają – zauważyła Sylvie.

– W moim Amandine pisze, że Manon ma usztywnioną twarz – powiedziała Florence. – Czy myślicie, że to oznacza...

– Być może – wtrącił Anatole – ma na myśli, że Manon jest smutna albo zła, ale może się to również odnosić do niedoskonałości jej cery...

– Czy ktoś zauważył Suzette? – zapytała Sylvie. – Amandine mówi o Suzette, cytując: „Biedna sierota...”

– Nie znalazłam nic o Suzette – odparła Marine. – Jest zabawny wpis o orszaku weselnym kontessy Émilie de Saporta, przechodzącym obok Michauda.

– Znalazłam odniesienie do Mme Fédéric, która kupowała ciasto dla księży. Ale wydaje się nieprawdopodobne, by Cézanne miał romans z gospodynią z plebanii.

– Dziwniejsze rzeczy się zdarzały – powiedziała Sylvie, puszczając oko.

– *Mais non!* – próbowała zaprotestować Florence.

– Amandine najwyraźniej uwielbia swoją pracę – powiedział szybko Anatole. – Smak, a nawet konsystencję ciast i cukierków opisuje tak szczegółowo...

– Tak! – zgodziła się Marine. – Wszystko jest opisane z miłością. –

Delikatnie odwróciła jedną ze stron dziennika Amandine i przeczytała głośno: – Michel – to musiał być piekarz, ojciec Mme Michaud – wpadł na pomysł, by dodać smak soczystego grejpfruta do naszych *calisson*.

– Wspaniale – powiedział Anatole. – Zaznaczyłem ustęp – o, tutaj jest – gdzie Amandine pisze o „śmietanie ubitej jak chmurka” i „żółtym jak słońce maśle”.

– Jest fragment, gdzie pisze o karmelu – odezwała się Sylvie. – I pisze: „Nic nie może się równać z zapachem gęstej śmietany i skwierczącego masła w ulubionym miedzianym garnku Michela”.

– Mogłaby być autorką książek kucharskich – powiedziała Marine z uśmiechem.

– Albo profesjonalnym szefem kuchni – dodała Sylvie.

– Oczywiście nie mogła nim zostać jako kobieta – rzekła Florence.

– Dokładnie – zgodziła się Sylvie. – Nawet dzisiaj niewiele jest kobiet szefów kuchni w profesjonalnych kuchniach.

– To smutne, kiedy pomyśli się o życiu Amandine – zauważył Anatole, odkładając okulary do czytania. – Oto kobieta z pasją, która musi zadowolić się zamawianiem dostaw...

– Albo przyglądaniem się weselom innych ludzi – dodała Sylvie.

– I w związku z tym smutnym nastrojem – odezwała się Marine – w drodze z uczelni do domu pozwoliłam sobie kupić u Michauda trochę słodczy. – Wstała, otworzyła szufladę w bufecie i wyjęła niewielką torebkę.

– To się nazywa praca badawcza! – stwierdził Anatole, zacierając dłonie.

– Karmelki – wyjaśniła Marine. – I kandyzowane cytryny.

Verlaque i Rebecca siedzieli naprzeciwko siebie, uważając, by nie dotknąć swych kolan. Officer Morice zajmował miejsce obok Verlaque'a. Na szczęście siedzenie po drugiej stronie było wolne, więc leżała tam poszewka na poduszkę wraz z zawartością, przypominając sędziemu o wszystkim, co musi zrobić po powrocie do Aix.

Rebecca wyjrzała przez okno i powiedziała:

– Powinniśmy mieć taki szybki pociąg na Wschodnim Wybrzeżu. Łączący New York City i Washington z Bostonem.

– Tak, mamy szczęście – odparł Verlaque. – I kiedykolwiek jadę tą trasą, nigdy mi się nie nudzi.

Rozmawiali po angielsku, jak gdyby podświadomie chcieli, by ich rozmowa pozostała tajemnicą, by nie zrozumiał jej inspektor Morice. Policjant wertował czasopismo TGV, udając, że czyta artykuł o Bordeaux, ale przysłuchiwał się każdemu słowu. Nauczył się angielskiego, oglądając filmy z Clintem Eastwoodem.

– Chyba że jest noc – powiedziała. – Wtedy nic nie widać.

– Ma pani rację – roześmiał się sędzia. – Mój ulubiony odcinek znajduje się dokładnie w połowie drogi do Aix – to Burgundia.

– Och – odparła. – Pofałdowane wzgórze i winnice.

– I krowy. Bardzo je lubię.

Znów spojrzała na jego oczy. W Aix obawiała się ich czerni, ale w Paryżu zwilgotniały i posmutniały. „Oczy krowy” – pomyślała.

– Jeśli ten portret naprawdę został namalowany przez Cézanne'a, to trzeba będzie przekazać go państwu. Rouquet nie miał żyjących krewnych.

Sędzia pomyślał o rozmowie z ojcem przy kolacji i o orle Enriquer, skradzionym ze względu na honor i prestiż, a nie z powodu pieniędzy.

– Wiem – odpowiedziała. – Nie zamierzałam go ukraść. Chciałam tylko spędzić z nim... z nią... trochę czasu.

– Kim ona jest?

Rebecca pochyliła się, kładąc ręce na małym białym stoliku, który ich dzielił.

– Zawęziłam to do kilku możliwości. Cézanne nie czuł się dobrze w obecności kobiet, prawda?

– Tak wszyscy mówią.

– Myślę, że jakoś został przedstawiony tej mieszkance Aix – ciągnęła Rebecca. – Nie spotkał jej w kawiarni ani w parku. Potrzebował pretekstu, by zacząć z nią rozmowę.

– Służąca? – zapytał Verlaque. – Ktoś, kogo widziałby każdego dnia i z kim czułby się swobodnie, ktoś wywodzący się z klasy pracującej, prawda?

– To dobry trop – odparła. – Ja także podążałam tym tokiem rozumowania. Ale on był myślącym człowiekiem, nieszczęśliwym z Hortense, myślę więc, że jego kochanka musiała rozumieć i jego, i jego

sztukę.

– To dobra teoria. Malarka?

Rebecca przecząco pokręciła głową.

– Wtedy niewiele było kobiet, które malowały, i wszystkie mieszkały w Paryżu, nie w Aix. Poza tym Berthe Morisot była już kochanką Maneta.

– Naprawdę? Nie wiedziałem.

– To powszechnie wiadomo – powiedziała Rebecca. – Jesteśmy tego pewni w dziewięćdziesięciu procentach. – Uśmiechnęła się. – Nie, myślę, że nasza modelka była siostrą przyjaciela. Cézanne był niezwykle lojalny wobec swoich kolegów. Zola był jedynakiem, ale Jean-Baptiste Baille i Philippe Solari, bliscy przyjaciele, mieli siostry. Baille, Zola i Cézanne mówili o sobie, że są nierozłączni.

– To brzmi jak z hollywoodzkiego filmu.

Rebecca się roześmiała. – Ale ja stawiam na Solariego. Był rzeźbiarzem i miał sześć sióstr. Dorastały w towarzystwie brata artysty. Podobnie jak Cézanne, Solari zmarł w 1906 roku na zapalenie płuc, ale w przeciwieństwie do Cézanne’a, był nędzarzem. W drodze do szpitala szeptał: „Szkoda, że mamy taką pogodę”.

Verlaque pomyślał o swojej matce i zastanawiał się, czy jest umierająca.

– Dlaczego jej tożsamość jest dla pani tak ważna? – zapytał.

– Och, z wielu powodów – odparła. – Po części dlatego, że chciałabym się wykazać wobec moich kolegów.

– Dlatego, że dorastała pani w bogactwie? – zapytał, myśląc o swojej historii.

– Nie w bogactwie – poprawiła go – ale w otoczeniu bezcennych dzieł sztuki. A potem, kiedy pisałam doktorat z historii sztuki, moi koledzy szeptali – wiem, że tak było – jakie miałam szczęście, kiedy dorastałam.

– A identyfikując kochankę Cézanne’a...

– Tak, w ten sposób mogłabym udowodnić moją wartość.

– Ale nie mogła sobie pani wyobrazić, że Cézanne namalował tę kobietę – stwierdził Verlaque, starając się odtworzyć w pamięci wieczór, gdy zamordowano René Rouqueta.

„O, wreszcie dociera pan do sedna” – pomyślał inspektor Morice, przekładając stronę swojej gazety.

– Fantazjowałam na ten temat – rzekła Rebecca. – A kiedy widziałam, jaki nerwowy staje się M. Rouquet, kiedy tylko wspominam rok 1885... – Jej głos przycichł, gdy wyjrzała przez okno, a potem na swój zegarek. – Jesteśmy już prawie w Burgundii.

Zadzwoił telefon Verlaque’a, a on odebrał, starając się mówić jak najciszej. Rozmowy telefoniczne były zabronione w przedziałach, ale nie chciał przeciskać się obok policjanta, by przedostać się do wyjścia. – *Oui, Marine* – powiedział. – *Ça va?*

– Zrobiliśmy sobie przerwę od przeglądania tych dzienników, które

pożyczyła nam Mme Michaud – poinformowała go. – Mówiłam ci o nich rano, w drodze na zajęcia.

– Jakież odkrycia?

– Jeszcze nie, zauważyliśmy jednak pewne możliwości. Ale posłuchaj, jest coś ważniejszego. W czasie przerwy razem z ojcem analizowaliśmy niektóre aspekty tej sprawy i związanych z nią ludzi. Odpowiedz teraz tak lub nie, dobrze?

– Tak.

Anatole ciągnął córkę za rękaw, a Verlaque usłyszał jej słowa: – *Oui, papa, oui!* – Czy siedzisz naprzeciwko doktor Schultz? – zapytała, próbując zachować spokój.

– Tak.

– Czy pamiętasz przypadek Martina Guerre?

– Tak.

– O tym właśnie rozmawialiśmy z ojcem – powiedziała Marine.

– O Martinie Guerre czy o Gérardzie Depardieu?

– Antoine, tylko tak lub nie! – mówiła pośpiesznie. – Martin Guerre podawał się za kogoś innego.

– Tak...

Sędzia spojrział na Rebeccę Schultz, która teraz z przymkniętymi oczyma opierała głowę na oparciu swojego siedzenia.

– Antoine, tu Anatole Bonnet – powiedział ojciec Marine. Verlaque słyszał, że Marine protestuje w tle. – To bardzo ważne – oznajmił doktor. – Zostaliśmy nabrani przez oszusta.

– Tak – odparł sędzia.

Le Fou rozpoznany

Marine znowu przejęła telefon.

– Antoine – powiedziała – chciałam, żebyś odpowiadał tak lub nie, bo wciąż nie jestem pewna uczciwości doktor Schultz. Ale teraz rozmawiamy o Edmundzie Lydgacie. Zastanowiło nas to, że niespecjalnie przyglądał się temu obrazowi.

– Tak.

– Ty też to zauważyłeś, prawda?

– Tak – przypomniał sobie, że Rebecca nie była zachwycona znajomością sztuki Lydgate'a.

– To dobrze. Razem z ojcem przeanalizowaliśmy to, co Lydgate powiedział o płótnie, a było to bardzo ogólne. Tak naprawdę zgadzał się ze wszystkim, co powiedział *papa* i wykorzystywał jego wiedzę, by sam mógł wyjść na eksperta. Szukaliśmy więc wzmianek o Lydgacie w internecie. Nie było ich wiele, tylko dwie dość niejasne, mówiące o człowieku o tym nazwisku, który prowadził aukcję. Wygląda trochę jak mężczyzna, którego spotkaliśmy w Gordes, chociaż na tych zdjęciach nie ma wąsów. Ale tym, co jest naprawdę ważne, ważniejsze niż to, jak wygląda, jest fakt, że przebywa teraz w szpitalu w Nowym Jorku. Właśnie usunięto mu wyrostek robaczkowy.

– Tak?

– Tak – potwierdziła Marine z dumą. Verlaque w tle słyszał oklaski. – Dzwoniłam do jego mieszkania w Nowym Jorku – kontynuowała. – Jego numer był w książce telefonicznej! Posłużyłam się swoim najlepszym angielskim...

Verlaque usłyszał teraz śmiech Sylvie.

– Rozmawiałam z wnuczką jego siostry – studiuje na New York University i mieszka razem z nim. Jest cudowna, świetnie nam się rozmawiało. Powiedziała mi, że w zeszłym tygodniu usunięto mu wyrostek robaczkowy i wciąż jeszcze dochodzi do siebie w szpitalu. To niemożliwe, by mężczyzna, którego spotkaliśmy w Gordes, był Edmudem Lydgate'em. Zadzwoiłam do Brunona i wszystko mu powiedziałam. Oznajmił, że odbiera was ze stacji, ale wysłała funkcjonariuszy do Gordes.

Verlaque znów usłyszał oklaski w tle.

– I to prowadzi mnie do tematu motocyklisty, o którym mi opowiadałeś – rzekła Marine. – Nasz oszust musiał mieć współnika, bo nie wyobrażam

sobie, by mężczyzna, którego spotkaliśmy w Luberonie, mógł być motocyklowym mistrzem kierownicy.

– Nie.

– Jeszcze raz pomyślał o Pierze. Ale skąd mogli się znać? A może umówili się po pierwszym spotkaniu u René? Był wówczas tak zajęty, że nie przejrzał notatek sporządzonych podczas rozmowy z Mme Chazeau. Pierre nie wspomniał mu o kłótni z René.

Marine zapytała:

– Czy wobec tego Rebecca Schultz jest jego współpracowniczką, czy też wymyśliła historię o motocyklu? A może w tym wszystkim macza palce jeszcze ktoś inny?

Verlaque spojrzał na Rebecę, która zasnęła. Ale wcześniej widział przecież motocyklistę, który za nimi jechał. Czy to był ten sam motocyklista? Czy wpadali w histerię bez powodu? To mógł być ktoś opłacony przez Rebecę żeby ich śledził, albo jakiś przypadkowy paryżanin.

– Zostawię cię z tą myślą – powiedziała Marine. – I do zobaczenia później. Kocham cię.

– Tak – odpowiedział sędzia jeszcze raz, zanim odłożył telefon.

Mknęli teraz przez Burgundię, gdzie wydawało się, że w każdej wiosce stoi romański kościół otoczony przez domy z ciosanego kamienia, których nie odnowiono w tak jarmarczny sposób, jak często zdarzało się w Prowansji. Winnice na – wzgórzach z jego ulubionymi gronami, Pinot Noir i Chardonnay – były uśpione, ale jeszcze docierały do nich promienie słońca.

*

– Mam jeszcze dwie godziny, a potem będę musiała odebrać Charlotte z zajęć teatralnych – oznajmiła Sylvie.

– Dobrze, wracajmy zatem do pracy – powiedziała Marine.

Sprzątnęła czajnik i filiżanki, których używali podczas przerwy, nie chciała, by jakikolwiek płyn wylał się na dzienniki. Kiedy wróciła z kuchni, jej rodzice i Sylvie pochylali się nad dziennikami. Sylvie z jedną ręką pod brodą, a drugą zatopioną we włosach, jej ojciec z łokciami na stole, a matka, wyprostowana, z rękoma na podołku, wpatrywała się w zapiski Amandine.

Przez mniej więcej trzydzieści minut słyhać było przewracanie delikatnych kartek, aż wreszcie odezwała się Sylvie.

– To już druga wzmianka o baronowej de Montille, jaką napotkałam. – Zapisała nazwisko na kawałku papieru obok.

Anatole Bonnet zmarszczył brwi.

– Nie – powiedział. – Nie wyobrażam sobie, by Cézanne kiedykolwiek miał romans z arystokratką.

– Wciąż mówimy „romans” – zaczęła się zastanawiać Marine, odkładając

ołówek. – A to dziewiętnastowieczna Prowansja. Kto mówi, że ze sobą sypiali?

– On był artystą – zaoponowała Sylvie.

– Był Cézannem – stwierdziła stanowczo Marine. – Nie Manetem. I na pewno nie Picassem. A modelka prawdopodobnie miała w sobie bojaźń bożą. I to nie był Paryż, tylko małe, prowincjonalne Aix. Prowansalczyki byli bardzo purytańscy.

– Zgadza się – poparł ją Anatole Bonnet. – Cézanne był idealistą, być może ta kobieta to z nim dzieliła. Może to stanowiło podstawę ich związku. I to wszystko.

– Ale artysta był zdruzgotany po zakończeniu romansu – mówiła dalej Sylvie. – Tak mówi w swoich listach...

– O, tu coś jest – wtrąciła się Florence. – Cytuję: „Zapłaciłam Manon cztery franki za perfumy. Lawendowe”.

– A co to za ręka Buddy? – zapytała Sylvie. – Amandine kilka razy o niej wspomina. Tutaj pisze: „Michael kupił pięć rąk Buddy”.

– *Un citron* – wyjaśnił Anatole. – Zabawna gruzełkowata wydłużona cytryna.

– Używano jej do kandyzowania – dodała Florence. – Chyba nadal tak się robi.

– Och – odezwała się Marine, podnosząc ołówek. – Amandine pisze tutaj: „M. sprzedaje teraz nowy zapach. Werbenę”. To znów musi być Manon.

– Przedsiębiorcza kobieta – skomentowała Sylvie. – Zastanawiam się, czy sama wytwarzała te perfumy.

– To pasuje do Cézanne’a, prawda? – zapytała Marine. – Zwłaszcza jeśli Manon sama zbierała rośliny i zajmowała się wytwarzaniem zapachów. Podoba mi się to, co właśnie powiedział papa – ich związek mógł być platoniczny, oparty na ideach i wspólnych zainteresowaniach.

– Posłuchajcie – rzekła Florence. – „Przyłapałam Suzette na kradzieży brioszki. Powiedziała, że to dla jej braci. Pozwoliłam jej ją wziąć, była z poprzedniego dnia”.

– Wzruszające – zauważyła Marine. – Suzette była sierotą.

– Czy to mogła być Suzette? – zapytał Anatole.

– Zapiszę Suzette i Manon – odparła Marine.

– A kto to jest Le Fou? – zainteresowała się Sylvie. – Amandine pisze, że kupił dwie *galettes des rois*, bez pudełek. Dlaczego odnotowała szczególnie dotyczący opakowania?

– To oszczędność dla cukierni – domyśliła się Marine. – Mme Michaud zauważyła, że Amandine miała głowę do interesów. A Le Fou mógł być kimś takim, jak Cézanne – wszyscy uważali go za szalonego.

– A może to po prostu był wariat – zasugerowała Florence.

– Ale wariat z ulicy nie mógłby sobie pozwolić na dwa ciasta u Michauda – zauważyła Marine.

– Masz rację – odezwała się jej matka. – To musiał być bogaty wariat.

– Jak Cézanne – wtrącił Anatole.

Sylvie wstała, przeciągnęła się i dotknęła palców stóp.

– To dobry pomysł, Sylvie – stwierdziła Florence. Wstała i zrobiła to samo, podczas gdy Marine i jej ojciec czytali dalej.

– Oznacz imię Manon gwiazdką – powiedziała Florence, zacierając ręce.

– To się staje coraz bardziej ekscytujące.

Wrócili do lektury. Sylvie zerkała na zegarek. Miała jeszcze pół godziny.

– Poczekajcie chwilę! – odezwała się Marine. – Mam tutaj coś więcej: „Manon znowu zabrała kawałek wstążki. Myśli, że nie zauważyłam. Ha! Ale to był tylko mały skrawek z podłogi”.

– Wstążka! – zawołała Sylvie. – To tak wpadłaś na trop Michauda, prawda?

– Właśnie – odparła Marine. – Dziewczyna na obrazie bawi się kawałkiem złotej wstążki.

Anatole uderzył się w czoło.

– O co chodzi, *papa*? – zapytała jego córka.

– Muszę zadzwonić! – zawołał. – Powinienem o tym pomyśleć godzinę temu. Zadzwonię do Mme Michaud i zapytam, czy jej ciotka Amandine używała jakichś pseudonimów dla Cézanne’a.

– Genialne, doktorze B.! – zawołała Sylvie.

Bonnet wyjął mały telefon starej daty i powoli wertował swoją listę adresową aż znalazł numer swojej nieznośnej pacjentki.

– Skorzystaj z mojego telefonu stacjonarnego, *papa* – zaproponowała Marine.

– To będzie za darmo – dodała Florence.

Doktor Bonnet szybko podszedł do telefonu córki i wybrał numer Mme Michaud, a pozostała trójka odwróciła swoje krzesła, żeby na niego patrzeć. Mme Michaud odebrała po trzecim lub czwartym dzwonku. Doktor i jego pacjentka rozmawiali o jej bolących nogach i o pogodzie.

– *Madame* – powiedział w końcu doktor. – Chciałbym pani podziękować za pożyczenie nam dzienników swojej ciotki. Mam tylko drobne pytanie, dotyczące pewnych zapisków Amandine. Nie używa nazwiska Cézanne’a, choć wspominała pani, że był on klientem. Czy pani ciotka określała go jakimś przydomkiem? Czy coś pani pamięta?

Anatole wpatrywał się w posadzkę, kiedy starsza kobieta odpowiadała. Odwrócił się do Marine, Florence i Sylvie. Uniósł kciuk do góry, podziękował Mme Michaud i się rozłączył.

– Le Fou to Paul Cézanne! – zawołał.

– Manon i Cézanne, to jest to – ucieszyła się Marine i klasnęła w dłonie.

– Zagadka rozwiązana – powiedziała Sylvie.

– Jeszcze nie – stwierdziła Florence. – Jeszcze nie znamy jej nazwiska.

– Masz rację – zgodził się Anatole. – Czytajmy dalej.

– Amandine zwykle nie podaje nazwisk sprzedawczyń – zauważyła Marine.

– Tak, to nie było dla niej ważne – powiedziała Sylvie, chrząkając znacząco.

– No cóż, nigdy nie wiadomo – rzekł Anatole.

Czytali przez następnych dwadzieścia minut, aż Sylvie powiedziała:

– Zostało mi tylko dziesięć minut, a nie mogę się od tego oderwać.

– Tak, to uzależniające – zgodziła się Marine.

Czytali w ciszy, którą przerwała Sylvie.

– *Quel dommage! C'est horrible!* – zdjęła okulary do czytania i ukryła głowę w dłoniach.

– Co się stało? – zapytał Anatole.

– W końcu jest data – powiedziała, kiwając głową w przód i w tył i przejeżdżając palcami przez krótkie włosy. – I rok. – Z powrotem nałożyła swoje okulary do czytania i przeczytała: – „Trzeci kwietnia 1885 roku. Wolny poranek z powodu pogrzebu Manon”.

*

Rebecca obudziła się i potarła kark.

– Czy długo spałam? – zapytała. – Ból szyi wskazuje na to, że tak.

– Zgadza się – odparł Verlaque. – Przespała pani całą Burgundię i większą część Drôme. Jesteśmy prawie w Awinionie, więc niebawem dotrzemy do Aix. *Home*.

Kiedy ona spała, on próbował się połączyć z internetem w telefonie, by znaleźć fotografię doktor Rebeki Schultz z Yale. Na południe od Lyonu sygnał w końcu był wystarczająco silny i Antoine znalazł trzy zdjęcia w katalogu Uniwersytetu w Yale. To bez wątplenia była kobieta, która spała naprzeciw niego. Wyjął swój notes i napisał: „Po co kraść Cézanne’a? R. miałyby (1) portret jego kochanki, a ich romans był jej ukochanym projektem, a w dodatku (2) zdobyłaby Cézanne’a dla siebie, po tym jak urząd skarbowy zmusił ją do sprzedaży kolekcji rodziców”.

Odłożył notes i zamyślił się, patrząc przez okno na już typowo prowansalski krajobraz: białe klify wapienne, skalisto-piaszczyste winnice, gaje srebrnych drzewek oliwnych. Ale dlaczego Rebecca pojawiła się w restauracji przerażona, z płótnem w ręku? Czy to mistyfikacja? Czy obraz w dalszym ciągu nie był bezpieczny? Może zamierzała ukraść go ponownie? A może portret leżący teraz naprzeciwko inspektora Morrice’a był falsyfikatem? Rebecca jednak nie widziała obrazu, kiedy była w Aix, więc jak mogłaby namalować kopię w dwadzieścia cztery godziny? Chyba, że miała w Aix współnika. Lydgate’a. Albo raczej kogoś, kto się za niego podawał. Widział obraz, a Verlaque nieroztropnie pozwolił mu zrobić zdjęcia. Ale Rebecca nie wiedziała, że sędzia będzie jechał do Paryża pociągiem o siódmej pięć, więc uwierzył w jej zapewnienia, że znaleźli się

w tym samym pociągu przez przypadek. Chyba że ona także jechała motorem.

To był dobry, bardzo dobry motyw morderstwa: hołd złożony Judy i Isaacowi Schultzom.

Miłość i strata

Bruno Paulik czekał na nich na peronie. Wszyscy troje podziękowali i pożegnali się z inspektorem Morice'em, który wręczył Paulikowi obraz i ruszył w kierunku schodów na peron, gdzie mógł złapać następny pociąg do Paryża. Minął połowę naziemnego pasażu i patrzył, jak sędzia i piękna czarnoskóra kobieta podchodzą do samochodu komisarza, zaparkowanego na drugiego przed dworcem. Widział stąd Mont Sainte Victoire. Kiedy miał piętnaście czy szesnaście lat, w czasie wakacji z drużyną harcerską z Paryża wszedł na szczyt. Drużynowy, z którym wciąż się przyjaźnił, miał bzika na punkcie Cézanne'a i opowiadał chłopcom, że artysta malował tę górę ponad sto razy, ale nigdy nie był zadowolony ze swego dzieła.

– Kiedy patrzy się na tę górę z daleka – mówił drużynowy – i pada na nią popołudniowe słońce, załamując jej nierówną powierzchnię w fasety kolorów, dochodzi się do wniosku, że mu się udało.

Morice mruknął do siebie:

– A teraz znowu do szarego Paryża – i poszedł dalej.

*

Policyjnym samochodem kierował młody wąsaty inspektor, którego Verlaque widywał w Pałacu Sprawiedliwości. Paulik usiadł na miejscu obok kierowcy, a sędzia z tyłu, obok Rebeki. Zadzwoił telefon Paulika, a ten odebrał i mamrotał do słuchawki „tak” albo „nie” i jednocześnie robił notatki.

– *Parfait, Alain, merci* – powiedział i się rozłączył. Odwrócił się do Verlaque'a. – Bingo w kwestii motocyklistów – rzekł. – Inspektor Schoelcher nie robił wielkich postępów, aż pomyślał, by połączyć nazwiska właścicieli motorów z ich adresami.

– I? – zapytał Verlaque, obawiając się, że usłyszy nazwisko Pierre'a.

– Jeden motocykl, należący do faceta, który nazywa się Eric Legendre, doskonale pasuje do opisu.

– Chyba nie mówisz poważnie – odezwał się Verlaque. Pomyślał o Mme Chazeau, która określiła Erica Legendre jako tyrana.

Paulik zwrócił się do kierowcy: – Wysadzimy sędziego i panią profesor przy Pałacu Sprawiedliwości i pojedziemy na ulicę Boulegon.

Rebecca chwyciła Verlaque'a za rękę.

– To tam go widziałam. To jest sąsiad! Tej nocy, kiedy zamordowano M.

Rouqueta...

– To facet, który zrobił nam herbatę – dodał sędzia.

Mijali właśnie dzielnicę handlową, pełną billboardów, neonów i barów McDonald. Rebecca wychyliła się przez okno i patrzyła z zainteresowaniem.

– O rany – stwierdziła. – Tu jest gorzej niż w New Jersey.

– Skąd może pani wiedzieć? – zapytał Verlaque. – Dorastała pani w Village, a teraz wykłada w Connecticut.

Roześmiała się.

– Trafiony, zatopiony!

Verlaque spojrział przez okno na dom wielorodzinny zbudowany tak blisko autostrady, że sędzia zastanawiał się, czy mieszkańcy w ogóle mogą rozmawiać w takim domu. Pomyślał o luksusowym życiu swoich rodziców, całkowicie odmiennym od tego, co tu widział. Byli tak bardzo uprzywilejowani, że nie musieli nawet wynajmować swojego dwupokojowego mieszkania.

– Bruno – zaczął.

– Tak, proszę pana?

– Kto wynajmuje magazyn przy ulicy Boulegon 23? Pamiętam, że mi mówiłeś...

– Sąsiedni sklep.

Zadzwoił telefon Paulika i komisarz go odebrał.

– Wie pan – odezwała się Rebecca, odwracając się do Verlaque'a – ta para przy rue Boulegon, sąsiedzi, kręcili się w pobliżu, gdy M. Rouquet wpuszczał mnie do swojego mieszkania. A kiedy wychodziłam, wydawało mi się, że mnie obserwują, jakby...

– Patrzyli przez wizjer w drzwiach?

– Właśnie.

Paulik parsknął do słuchawki, roześmiał się i zanim się rozłączył, powiedział:

– Ubawiłeś mnie, Alain. To był Flamant – wyjaśnił, odwracając się do tyłu. – Mają faceta, który udawał, że jest Lydgate'em.

– Świetnie! – zawołał Verlaque. – Martwiłem się, że prysnął.

– Nie mógł – zauważył Paulik.

– Co pan ma na myśli? – chciała wiedzieć Rebecca.

– Pamiętają państwo alibi Lydgate'a? – zapytał komisarz. – Starego farmera?

– Elzéard jakiś tam – odparł Verlaque.

– Bois – uściślił Paulik. – Elzéard Bois. Tej nocy, gdy zamordowano Roqueta, Elzéard chciał odwiedzić mężczyznę, którego uważał za Lydgate'a, wszedł na schody, ale Lydgate stanął w drzwiach i nie zaprosił go do środka. To zaniepokoiło farmera, bo zwykle wypijali z gospodarzem kieliszek czegoś mocniejszego na spokojny sen. Nie widział go przy tym za

dobrze – Lydgate’a, czy też mężczyzny, który się za niego podawał.

– Z powodu ciemności – dodał Verlaque.

– Właśnie. Zaczął więc obserwować dom i budziło się w nim coraz więcej wątpliwości. W końcu wszedł do środka, spojrzął na tego mężczyznę i zdał sobie sprawę, że to nie jest Edmund Lydgate. Ogłuszył go, uderzając strzelbą w tył głowy. Kiedy przybył tam Alain z innymi policjantami, oszust był związany, siedział na kuchennym krześle i klął po angielsku. Elzéard siedział naprzeciwko, ze strzelbą na kolanach, i popijał dobrego burgunda.

– Czy ten oszust jakoś się nazywa? – zapytał Verlaque, kiedy przestał się śmiać.

– Jeszcze nie wiem – odparł Paulik.

– Bolibar – odezwała się Rebecca. – Dałabym sobie rękę odciąć.

– Myślałem, że ich złapano... – powiedział sędzia, kiedy wjeżdżali do centrum Aix. Pokróćce wyjaśnił komisarzowi historię francusko-amerykańskich paserów dzieł sztuki.

– Tylko część z nich trafiła do więzienia, kilku braci i najbliższych kuzynów – dodała Rebecca. – Mózg grupy, Henri Bolibar, się wymknął.

– Jak on wygląda? – zapytał Verlaque. – Mógłby udawać Lydgate’a?

– Chyba tak – odparła. – Jest w podobnym wieku.

– Nasz motocyklista, Eric Legendre, nie ma tego samego nazwiska – zauważył Paulik.

– A co z nią? – chciał wiedzieć sędzia. – Z jego żoną. Tą wścibską sąsiadką?

Paulik sięgnął po telefon.

– *Salut, Jules* – odezwał się do słuchawki. – Czy możesz sprawdzić paszport Mme Legendre? Jak brzmi jej panięskie nazwisko?

– Tu naprawdę wpisują nazwisko panięskie do paszportu? – szepnęła Rebecca. – To archaiczne.

Paulik się rozłączył. – Bolibar – oznajmił. – Françoise Bolibar.

*

– Nasza firma reprezentuje Bolibarów – powiedział Jean-Marc, wręczając Verlaque’owi szklaneczkę whisky.

– Żartujesz? – zapytał sędzia.

– Chciałbym. Nie zajmuję się tym przypadkiem, ponieważ Pierre jest w niego zaangażowany – rzekł Jean-Paul. – Właściciel mojej kancelarii w końcu się zorientował, że Pierre jest moim partnerem.

– Czy to problem?

– Mógłby być – odparł Jean-Marc, nabierając garść orzeszków ziemnych – ale przypomniałem mu, że jakkolwiek jestem gejem, pozostaję wierny mojemu partnerowi i nie zachowuję się tak, jak mój szef na ostatnim przyjęciu bożonarodzeniowym. To zakończyło rozmowę. Ale już nie jestem

z Pierre'm.

Verlaque ostawił szklanę.

– Przykro mi. To wszystko moja wina.

Jean-Marc machnął ręką.

– Nieprawda. Powinien być ze mną szczery.

– Nie wiedziałeś, że pobiera czynsz za magazyn?

– Nie – odparł Jean-Marc. – Chociaż zastanawiałem się, jak może sobie pozwolić na Pradę. – Zdobył się na uśmiech.

– Jak udało mu się wynająć przestrzeń magazynową, która oficjalnie należała do René? – zapytał sędzia. – Jeden z moich inspektorów przyjrzał się aktowi własności.

– Pierre powiedział mi, że zaczął z niej korzystać przed laty, by przechowywać tam swój rower, i stopniowo ją przejął. René nie miał pojęcia, że może wynajmować *débrras*. Nie przyszło mu do głowy, że w centrum puste pomieszczenie o powierzchni około czterdziestu metrów kwadratowych jest warte sporych pieniędzy. Właśnie o to Pierre i René kłócili się na ostatnim spotkaniu wspólnoty. Przynajmniej co do tego był szczery.

– Naprawdę mi przykro.

– Mnie też – odpowiedział Jean-Marc. – Ale były też inne problemy w naszym związku. W każdym razie wrócił do Tuluzy, by zamieszkać blisko rodziny.

– A co jeszcze mógłbyś mi powiedzieć o klanie Bolibarów? – zapytał Verlaque.

– Henri Bolibar, starszy facet, który udawał Lydgate'a, jest wujkiem Françoise, ale twierdzi, że nie wiedział, iż Eric i Françoise zabili René. W Nowym Jorku Henri był aktorem na pół etatu, zrobił kilka programów telewizyjnych i teatralnych.

– W takim razie nie muszę mieć wyrzutów sumienia, że mnie nabrał – powiedział Verlaque. – Jest także dobrym kucharzem.

Jean-Marc się roześmiał. – Eric Legendre i Françoise Bolibar przeprowadzili się do Aix kilka miesięcy temu, z nadzieją, że staną na nogi po fiasku na Long Island, zdarzyło im się również kilka drobnych kradzieży. Stąd do Luberonu jest mnóstwo pieniędzy i antyków. To był czysty przypadek, że zamieszkali pod numerem dwadzieścia trzy przy ulicy Boulegon, choć przyznali, że zachwyciła ich informacja, że to dawny adres Cézanne'a. Jak może potwierdzić Pierre, pomiędzy dwoma mieszkaniami ściany są cienkie jak papier, więc słyszeli Roqueta, kiedy znalazł obraz. Skakał i krzyczał...

– Biedny René – powiedział Verlaque, kręcąc głową.

– Françoise próbowała go oczarować – mówił dalej Jean-Marc – by uzyskać więcej informacji. Miała nadzieję, że zobaczy płótno, ale listonosz był niewzruszony, więc w ostatni piątek, kiedy on był w barze Zola,

włamali się do jego mieszkania.

– A on wrócił do domu?

– Tak – przytaknął Jean-Marc. – Wywiązała się bójka i René groził, że wezwie policję, a wtedy Eric Legendre rzucił nim o ścianę. René rozbił głowę o kant kominka...

– I umarł.

– Szukali obrazu, ale wtedy miał go już Momo. A potem znaleźli zapasowe klucze do mieszkania.

– Mogli więc tam wchodzić i wychodzić, nawet kiedy było już miejscem zbrodni.

Jean-Marc dodał whisky do obu szklanek.

– Françoise zadzwoniła do swojego wuja w Nowym Jorku i powiedziała mu, że René prawdopodobnie znalazł Cézanne'a. W tym czasie Henri odkrył, że Lydgate przebywa w szpitalu...

– Rodzice doktor Schultz nigdy nie ufali Lydgate'owi – stwierdził Verlaque. – Oczywiście temu prawdziwemu.

– W tym dniu, kiedy byliście w mieszkaniu z Pierre'em i Brunonem Paulikiem – mówił dalej Jean-Marc – i kiedy znaleźliście obraz...

– Po przeciwnej stronie ulicy.

– Zgadza się. Françoise Bolibar słyszała was, jak zbiegacie po schodach, widziała przez okno, że idziecie do Momo, a po chwili zauważyła, że wracacie z rulonem pod pachą i z szerokim uśmiechem na twarzy.

– Myślałem, że byliśmy bardziej dyskretni – skrzywił się Verlaque.

– Od razu zadzwoniła do swojego wuja, który złapał następnego tutaj – powiedział Jean-Marc. – Do domu Lydgate'a można było dostać się bez trudu, może zresztą Bolibar miał klucz – sprawdzamy zamki. Posiadłość leży na uboczu, a Lydgate bywał tam rzadko i raczej stronił od ludzi.

– Z wyjątkiem Elzéarda Bois – wtrącił Verlaque ze śmiechem. – Poczekaj chwilę... a co z numerem telefonu Lydgate'a, który znaleźliśmy w mieszkaniu Roqueta?

– Podłożony przez Erica i Françoise w noc morderstwa, kiedy wszyscy już wyszliście. Mieli zapasowy klucz, pamiętasz?

– Chcieli nas naprowadzić na Lydgate'a – stwierdził Verlaque.

– Tak – potwierdził Jean-Marc. – Żadne z nich nie widziało portretu do tamtej pory. To był doskonały sposób, żeby Lydgate położył na nim łapy. Co się teraz z nim stanie?

– Bada go profesor Schultz – wyjaśnił sędzia. – Ona uważa, że to Cézanne. A potem zostanie zabrany do Paryża... Nie przeze mnie...

Jean-Marc nie próbował ukryć uśmiechu.

– Żeby zbadało go więcej ekspertów – mówił dalej Antoine. – To może potrwać miesiące, a nawet lata.

– A tymczasem – stwierdził Jean-Marc – możemy znów się napić whisky.

– Co porabiasz w lecie? – zapytał Verlaque. – W lipcu.

Jego przyjaciel wzruszył ramionami.

– W sierpniu mieliśmy odwiedzić siostrę Pierre’a, która ma dom przy plaży w Vendée. Teraz nie mam żadnych planów. Dlaczego pytasz?

– Chciałbym wydać duże przyjęcie – odparł sędzia. – Z Marine. Zawiadomię cię.

*

Marine, jej ojciec i Rebecca patrzyli na obraz bez słowa przez ponad trzydzieści minut. Studentka czwartego roku prawa, zaangażowana przez Marine, cicho pracowała przy sąsiednim biurku, katalogując przedmioty używane w poprzednich śledztwach, pozostawione w małym pokoju i zapomniane.

Rebecca Schultz wprowadziła Marine w zdumienie. Tak, była piękna, ale też bardzo przyjazna, otwarta i poruszona obrazem. Anatole Bonnet w końcu przerwał ciszę:

– Teraz wiem, dlaczego studio Cézanne’a w Les Lauves zawsze wydawało się takie smutne.

– Stracił Manon, potem matkę, a jeszcze później Zolę. – powiedziała Rebecca. – Zola wysłał Cézanne’owi egzemplarz L’Oeuvre. Malarz odpowiedział mu krótkim podziękowaniem i już nigdy potem ze sobą nie rozmawiali. Cézanne nie wybaczył Zoli tego, że wzorował na nim postać nieszczęśliwego artysty w L’Oeuvre. A trzy tygodnie później Cézanne ożenił się z Hortense.

– Nie byli wcześniej małżeństwem? – zapytała Marine. – Mieli przecież kilkunastoletniego syna.

– Nazywamy ją Mme Cézanne nawet na wczesnych portretach – wyjaśniła Rebecca. – To wszystko upraszcza. Ale nie, nie byli małżeństwem.

– Jakie to nowoczesne – zadumała się Marine.

– *Trahit sua quemque voluptas* – odezwała się Rebecca.

– „Każdy ulega swoim namiętnościom”. Kto to powiedział? – zapytała Marine.

– Wergiliusz – odpowiedział jej ojciec.

– Cézanne napisał to również w liście do Zoli – dodała Rebecca. – W 1885.

– Manon Solari – powiedziała Marine. – A w Aix wciąż mieszkają potomkowie rodziny Solarich. Rebecco, Antoine powiedział mi, że podejrzewała pani, iż ona była kochanką Cézanne’a.

– Tak, ale to było tylko przeczucie – rzekła Rebecca – aż do chwili, gdy pani i pani ojciec nie połączyli złotej wstążki z Michaudem. Kiedy dzięki lekturze dzienników Amandine poznaliśmy imię Manon i datę jej śmierci, łatwo było potwierdzić jej tożsamość.

– To będzie nowy rozdział biografii Cézanne’a, nad którą pani pracuje –

odezwał się Anatole, patrząc na Rebecę.

– Bez wątpienia – odparła. – To może nawet zmienić całą koncepcję książki.

– Będzie historią miłości i straty – zauważyła Marine.

– To dobry tytuł dla pani książki, Rebecco – powiedział Anatole z uśmiechem. – Miłość i strata.

*

– Jest jeszcze coś, co mnie niepokoi – powiedział Paulik do Jules’a Schoelchera. – Znajdziesz czas, by pójść ze mną na rue Boulegon, zanim się ściemni?

Jules odłożył długopis.

– Chodźmy.

Szli przez Aix w milczeniu, ale Jules odgadł, dlaczego wracają do mieszkania René Rouqueta. Kiedy skręcali w Boulegon, powiedział:

– Nigdy nie odkryliśmy, gdzie płótno było ukryte.

– Ukryte przez te wszystkie lata – dodał komisarz. – A przecież dokładnie przeszukaliście mieszkanie.

– No właśnie.

– Chciałbym zapytać Momo, czy coś wie.

– To ten facet od owoców i warzyw? – upewniał się Jules. – Sędzia Verlaque pokazał mi wszystkie akcesoria od Pippy Middleton, jakie kupił Momo.

– Tak. Oto on.

Mohammed Dati poprawiał kiść bananów, zwisającą ze starego, powykręcane go pnia winorośli.

– Bardzo ładnie – odezwał się Paulik, kiedy podchodzili. – Wygląda świetnie.

Momo się odwrócił, z nadruku na jego fartuchu wpatrywał się w nich Wayne Rooney.

– Ładny fartuch – powiedział komisarz.

– *Merci* – odparł Momo. – Wszystkim się podoba.

Paulik się uśmiechnął i przedstawił Jules’a. – Momo – zaczął – wciąż nie wiemy, gdzie René znalazł obraz Cézanne’a. – Dla większego efektu podrapał się po głowie, a Jules przybrał skonsternowany wyraz twarzy i zmarszczył brwi. – Czy mógłbyś nam pomóc?

Momo z ożywieniem machnął rękami i zawołał wujka.

– Wezmę latarkę – oznajmił.

– Czy możemy wreszcie wejść do jego mieszkania? – zapytał wuj chłopaka, gdy Paulik i Schoelcher już się przedstawili i przywitali z nim uściskiem dłoni. – Momo nie może się tego doczekać, ale wcześniej nie mógł tam wejść, ponieważ opieczętowaliście mieszkanie. René dał mu klucze, lecz chłopak nie należy do tych, którzy łamią prawo. René mu powiedział,

że tam jest coś, co jest dla niego ważne. W tym samym miejscu, gdzie znalazł obraz.

– Może pan iść z nami – zaproponował Paulik.

– Dziękuję, ale muszę zostać i doglądać sklepu – odparł starszy mężczyzna. – Zaraz zamykam.

Momo wrócił z latarką w dłoni i przeszedł przez ulicę, nie czekając na policjantów.

– Chodźmy! – zawołał komisarz. – Momo, poczekaj!

Wbiegali po schodach, za młodym mężczyzną, który był już przy drzwiach dawnego mieszkania René Roqueta i otwierał je swoim kluczem.

– Kłapa – powiedział, wskazując na sufit w korytarzu prowadzącym do łazienki.

– Patrzyliśmy tutaj – powiedział Schoelcher. – Z latarkami. Pociągasz haczyk i pojawiają się składane schody...

Momo pociągnął haczyk i trzej mężczyźni pochyłili głowy.

...I zjeżdżają na dół – powiedział Schoelcher, kończąc zdanie.

Chłopak wbiegł po chwiejnych drewnianych schodach i wsunął głowę w szyb wentylacyjny, zapalając latarkę.

– Tam nie można stanąć – odezwał się Schoelcher. – Więc robiliśmy to, co on teraz robi. Świeciliśmy dookoła latarką.

– Drewniana belka – powiedział Momo, odwracając się i patrząc z góry na dwóch mężczyzn. – René mi powiedział, żebym sięgnął do góry i pomacał wierzch belki. – Opuścił latarkę i wyciągnął prawą rękę do belki.

– Mam! – Wyłączył latarkę i zszedł ze schodów z szarą kopertą w dłoniach.

– Kiedy ci powiedział o belce? – zapytał Paulik, patrząc znacząco na Schoelchera, który mocno się zaczerwienił.

– Kiedy poprosił, żebym przechował obraz – odparł Momo. – Powiedział też, że się boi i że jeśli stanie mu się jakaś krzywda, to coś będzie czekało na mnie na belce. To – podniósł kopertę do góry i nią potrząsnął. Wyglądał na rozczarowanego. – Papiery? O to chodziło?

– Zabierzmy je do twojego wuja – zaproponował Paulik.

Chłopak pędem skoczył do wyjścia, podczas gdy Jules próbował zamknąć składane schody.

– Pospiesz się, Schoelcher – powiedział komisarz, skrywając uśmiech.

Zanim oni i Jules znaleźli się na dole, Momo zdążył otworzyć kopertę i teraz jego wuj głośno czytał dokument. Sięgnął do kieszeni i wyjął chusteczkę, by wytrzeć oczy.

– Co to jest? – chciał wiedzieć Paulik.

– To wygląda jak testament M. Rouqueta – odpowiedział starszy człowiek. – Wszystko zostawił Momo. W tym swoje mieszkanie.

– Kupimy sklep – oznajmił Momo. – I nie będziemy się martwić o wysoki czynsz.

Jego wuj odwrócił się do niego.

– Skąd wiesz, że czynsz rośnie?

Momo uśmiechnął się i wskazał na swoją głowę.

– Niewiele ci umyka, Momo – zauważył Paulik.

36

Grób Cézanne'a

Znalezienie grobu malarza nie zajęło wiele czasu. Pochowano tu większość jego rodziny, w tym syna artysty, który też miał na imię Paul. Ktoś dodał płytkę ceramiczną z niewielkim obrazkiem – dość kiepskim widokiem Prowansji. Verlaque miał nadzieję, że nie zrobił tego ktoś z żyjącej rodziny Cézanne'a, i szeptem przeprosił malarza.

Widok rzeczywisty był bardziej stosowny, ponieważ z tego miejsca można było dostrzec Mout Sainte Victoire. Sędzia wyjął z kieszeni jabłko, umieścił je na grobie obok małego niebieskiego pędzla, pozostawionego tam przez innego odwiedzającego.

Ktoś zakasłał i kilka grobów dalej Verlaque dostrzegł starszą kobietę, z którą rozmawiał na Cours w dniu Fête des Rois. Dziś miała na sobie szary wełniany płaszcz, staroświecki w kroju, ale nienaganny, i pasujący do niego futrzany kapelusz. Uśmiechnęła się i pomachała do Verlaque'a, po czym pochyliła się nad znajdującym się przed nią grobem. Następnie wskazała ręką na nagrobek:

– *Mon mari* – powiedziała. – Zmarł na raka w 1982. – Zanim Verlaque zdążył odpowiedzieć, wskazała na grób Cézanne'a. – Przyniósł mu pan jabłko.

– Tak – odparł sędzia. – To wydawało mi się bardziej odpowiednie niż kwiaty.

– To miłe miejsce – powiedziała.

– Spokojniejsze niż centrum. Dobrze, by... pomyśleć.

Uśmiechnęła się i spojrzała na góry, a potem na sędziego. Zdjęła rękawiczkę z sękatą prawą dłoń – zbyt szarą i zbyt nową – i poklepała Verlaque'a po piersiach wierzchem dłoni.

– Stara się pan podjąć jakąś decyzję – rzekła.

– Myślę, że właśnie ją podjąłem – uśmiechnął się, patrząc na nią. – Dziękuję, Mme...

– Solari – odpowiedziała. – Tak nazywał się mój mąż. – Wyprostowała się i uśmiechnęła.

Verlaque aż się zachwiał, zaskoczony. „Aix to naprawdę małe miasteczko” – pomyślał.

– Będzie padać – odezwała się, patrząc na szaroniebieskie niebo. – Miłego wieczoru.

– À vous aussi, Mme Solari – rzekł sędzia.

Patrzył, jak kobieta wolno schodzi kamienistą cmentarną ścieżką, a jej szary płaszcz i kapelusz wtapiały się w szarość otaczających ją kamieni. Sięgnął do kieszeni kurtki, upewniając się, że mała aksamitna torebka od Cartiera wciąż tam jest. Nosił ją ze sobą od szóstego stycznia. Emmeline zostawiła mu ją w spadku. Stał tam przez prawie godzinę, patrząc na grób Cézanne'a oraz inne pobliskie mogiły. Pochylał się, by się przyjrzeć portretom mężczyzn i kobiet w różnym wieku albo przeczytać inskrypcje i daty. Stopniowo zapadał zmierzch i pojawił się dozorca.

– Zamykamy, proszę pana – odezwał się.

– Przepraszam – powiedział Verlaque. – Nie zwróciłem uwagi, która jest godzina. Dobranoc.

Skierował się do bramy cmentarza, szybko i zdecydowanie przeszedł w dół wąskiej Traverse Saint-Pierre, po czym znalazł się na zatłoczonej Cours Gambetta, która skręcała w rue D'Italie. Zanim tam dotarł, włączyły się latarnie uliczne. Antoine patrzył w dół, na wąską ulicę, gdzie okna sklepików świeciły się tak jak w Londynie w czasach Dickensa. Szedł dalej, zatrzymując się od czasu do czasu, by powiedzieć „dobry wieczór” do kolegi czy znajomego lub po prostu skinąć głową i uśmiechnąć się do kogoś, kogo znał z widzenia. Aix było małym miasteczkiem, niezależnie od tego, co niektórzy mówili.

W połowie rue d'Italie zobaczył wychodzącą ze sklepu Rebeccę Schultz i podbiegł, by się z nią przywitać. Po kilku sekundach wahania wymienili *bise*, przypieczętowując tym swoją przyjaźń.

– Cieszę się, że panią spotkałem – odezwał się Verlaque. – Chciałem się pożegnać.

– Mimo, że myślał pan, iż jestem winna – odparła z uśmiechem.

– Tylko przez krótką chwilę – powiedział. – Ale dwa razy pani uciekła...

– Chwilowe zaćmienie umysłu – wyjaśniła. – Tęskniłam za swoimi rodzicami. – Pomyślała o słowach Marine Bonnet: „miłość i strata”.

– No cóż – rzekł. – Szczęśliwej drogi do Stanów.

– Jeszcze tam nie wracam – poinformowała go.

Verlaque wyglądał na zaskoczonego.

– Zostaje pani w Aix? Myślałem, że nie lubi pani tego miasta.

– „Miasto zastygłe w kamiennym śnie na wieki” – odparła niskim dramatycznym głosem, jakby recytowała wiersz. – Obojętne na wszystko.

Verlaque się roześmiał. – Oczywiście nie powiedział tego Cézanne?

– Nie. Edmond Jaloux, dziewiętnastowieczny pisarz.

– Dokąd zatem się pani wybiera?

– Do Paryża – powiedziała beznamiętnie. – Biorę rok urlopu naukowego. Może nawet więcej, kto wie. – I kupuję mieszkanie, czyli to, co moi rodzice powinni zrobić już przed laty.

– W Boulogne? – zapytał.

– Boże, nie – odparła. – Za daleko od...

– Centrum?

– Tak. Za daleko od centrum.

Verlaque spojrział na zegarek.

– Wielkie nieba! – zawołał. – Muszę jeszcze kupić coś u Hédiarda, zanim zamkną. Do widzenia. Może spotkamy się w Paryżu.

– Na pewno – odpowiedziała, machając ręką na pożegnanie i mrugając porozumiewawczo.

Sędzia przeszedł przez ulicę, zastanawiając się, co znaczyło „na pewno” w jej ustach oraz mrugnięcie okiem. Odwrócił się.

– Pani Rebecco! – zawołał, a ona cofnęła się do niego. Nagle zdał sobie sprawę z tego, co się dzieje. To mrugnięcie widział już w salonie przy Petits Péres. Otwieranie i zamykanie drzwi sypialni w środku nocy. Wyraźne zakłopotanie Hortense następnego ranka przy śniadaniu.

– Czy ma pani romans z moim ojcem? – zapytał, patrząc jej prosto w oczy, które mrużyła od suchego, zimnego nocnego powietrza.

– Tak – przyznała. – Teraz jest w moim pokoju hotelowym. Wczoraj wieczorem przyjechał TGV, żeby się ze mną spotkać, i pojedziemy razem do Paryża. Niech pan nie będzie taki zszokowany...

– Proszę mi nie mówić, co mam myśleć – oburzył się sędzia.

– Czy mogłabym wyjaśnić...

Verlaque odwrócił się do niej plecami.

– Tej nocy w Paryżu z panem i z pańskim ojcem – zaczęła. – Nigdy nie czułam się taka... wolna... od lat, chociaż się bałam. Pański ojciec jest wspaniałym człowiekiem.

– Jest dwa razy starszy od pani – powiedział sędzia. – I ma żonę.

Rebecca podniosła rękę wnętrzem dłoni zwróconą w jego stronę.

– Wiem – przyznała. – Od lat chciał rozwodu, a teraz, kiedy pańska matka jest chora...

– Gdyby umarła, ojciec miałby wolną rękę i uniknąłby ciężkiego rozwodu.

Rebecca mówiła dalej, ignorując jego uwagę. – Doświadczyłam tylu strat. Nasza kolekcja dzieł sztuki, moja matka, mój ojciec. Powinien pan wiedzieć, że twój ojciec nie zastępuje mi mojego. On i Isaac są skrajnymi przeciwieństwami. Poza tym zawsze spotykałam się ze starszymi mężczyznami. Chyba dlatego, że otaczali mnie, gdy byłam dzieckiem. Malarze, handlarze sztuką, historycy sztuki...

– Proszę posłuchać, Rebecco – odezwał się Verlaque, machając ręką do znajomej kobiety, która śpieszyła w dół ulicy z siatkami w dłoniach. Uświadomił sobie, że zaczęły się styczniowe wyprzedaże. – Kim jestem, by to oceniać? – zapytał. – Chodzi o to, że mój ojciec ma nie najlepszą reputację. Przez wszystkie te lata był z moją matką, to prawda, ale jest...

– Kobięciarzem – dokończyła zdanie. – Wiem. Powiedział mi. Kto wie, co się zdarzy? Ale ja potrzebuję zmiany, a Paryż wyglądał tak ładnie.

Verlaque zdobył się na uśmiech.

– Zawsze dobrze wygląda w nocy. – Wyciągnął rękę, a ona szybko ujęła ją w swoje dłonie.

– Dziękuję za zrozumienie – rzekła. – Lepiej niech pan już idzie do sklepu.

Sędzia powstrzymał się przed powiedzeniem: „Ale ja nie rozumiem!”.

– Być może zobaczymy się w przyszłym tygodniu. Wybieram się do Paryża.

– Pański ojciec mi o tym mówił. Do widzenia, Antoine.

– Au revoir.

Szybko otworzył drzwi do Hédiarda i zamknął je, opierając się o szybę. Nie mógł się doczekać, kiedy zobaczy Marine. Miła, normalną Marine z jej miłymi, normalnymi rodzicami, którzy często ją odwiedzali, kiedy studiowała w Paryżu. Ojciec i matka, którzy śledzili z uwagą to, jak sobie radzi, interesowali się jej przyjaciółmi i jej pracą. A także jej chłopakiem. Nie ma znaczenia to, że w zimie utrzymują w domu temperaturę siedemnastu stopni Celsjusza i jeżdżą najbrzydszym samochodem na świecie.

– *Bonsoir, monsieur le juge* – powiedział kierownik sklepu. – Miło pana widzieć.

– Dziękuję – odparł Verlaque, podchodząc do niego i witając się uściskiem dłoni. – Jest mi równie miło. Potrzebuję butelki szampana – powiedział. – Zamierzam dziś zadać ważne pytanie pięknej kobiecie, która mieszka tuż za rogiem.

– *Oh la la* – kierownik aż gwizdnął, uśmiechnął się i otworzył lodówkę z winami. – *Félicitations!*

Sklep Hédiarda należał do sieci, więc Marine była zła, kiedy jego czerwone markizy pojawiły się przy rue d'Italie, ulicy, którą uważała za część swojej wioski. Ale Verlaque lubił to miejsce. Mieli tam Pol Rogera, który zawsze był schłodzony.